

Hrabina Cosel





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Hrabina Cosel

Hrabina Cosel

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM I

I

Na królewskim zamku w stolicy saskiej, jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzieś liść żółknie na drzewach i rzadko więcej wiatry chłodne i dni bywają weselsze jeszcze, i nocy jasne i ciepłe...

Tęgo wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianym tle jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, gasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się strażnicy milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę; król zrzucony niemal z tronu, wygnany z Królestwa wrócił na kurfirstowskie gniazdo, oplakiwać swe straty... wysypane próżno miliony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć by tak szlachetnego i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność, nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecji i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezno po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku: dlaczego? nikt nie wiedział? Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że na przekór Szwedowi, August nakaze balety, karuzele i maskarady, aby mu dowieść że swęj chwilowęj przegranej nie brał tak bardzo do serca...

Rzadcy przechodnie przesuający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się iż tak wczesnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże minąwszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonany by się iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie...

Strażnicy tu nie wpuszczali nikogo...

Na pierwszym piętrze, mimo wicheru, okna były szeroko podmykane, z za obłon, któremi napół tylko były okryte, rześiste światło jarzące migotało, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedzińcu, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawała, i obiwszy się o szare mury... powoli słabem obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze, to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle jakby po przebrzmiałej mowie zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka by ją kto posłyszał i drugim szyderyczym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż która z halabardą chodziła pod oknami stawała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię...

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wicheru i milczącej stolicy...

Tam król się weselił...

Od powrotu z Polski, takie uczyły wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufanych ludzi — nazwijmy ich przyjaciółmi — bywały częstsze niż dawniej; August Mocny, zwyciężony przez dziwacznego, półglówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczów pokazywać w licznych zebraniach, zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgrzynę złocistego, po którego umyślnie

słano na Węgry co roku, ustawiano puhary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili gdy wszyscy z krzesel pospadali, a króla Hoffmann, pod rękę, śmiejącego się do łoża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa magiarskiego, niewiele osób było przypuszczonych, poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku puharach dla tych których nie cierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał Herkulesową... gniew olimpijski a władzę nieograniczoną... W dniu powszednie, zrana gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę i oczy błysły i wargi zadrżały, i odwracał się nie patrząc na tego co go tak rozplomienił; ale po kielichu... nie jeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzica padł by nie wstać...

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana ani słodszy, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano nawet że im kogo mniej znosił, tém dlań uśmiech miał miłszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ścisnął ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się toć przecie panu potrzeba było koniecznie... cóż dziwnego że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie żeby się jadły, lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół żeby się z sobą gryźli!.. Ten rodzaj rozrywki najmilszym był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinneć to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich ze sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko... kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził; ile mu z kassy wzięto niedozwolonym sposobem, nawet co zamyślał który z dworaków; jeśli nie wiedział to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tém że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzył z góry na komedya życia, nie gardząc w niej olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król się tak czuł smutnym i znudzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i puharami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą; długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia Wackerbarth, wreszcie domowi Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstemberg, Imhoff, Friesen, Vitzhum i Hoym, i niezrównany w żartach, niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny a umiejący rozśmieszyć choćby się na płacz zbieżało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan...

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękną jego twarz, zwykle jasną oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypóźniony kielich stał przed nim... Kilka flasz próżnych świadczyły że biesiadować nie teraz dopióro poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju... Bursztynowy płyn nie rozżłocił mu ponurych myśli.

Dworzanie barszkowali między sobą, harując słowy aby pana rozbawić; nic to nie pomagało: August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego... bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Z ukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze...

W drugim końcu stołu siedział nie pozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparł, nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzdychał.

Był tak smutny że się wydawał śmiesznym...

— Słuchaj — szepnął Fürstemberg trącając łokciem Wackerbartha (oba byli już do brze podchmieleni) — widzisz ty Najjaśniejszego Pana? Żle jest, nie może go dziś nie rozweselić... jedenasta godzina... do téj pory powinienby już być w różowym humorze... Nasza wina...

— Jam tu gość — odparł Wackerbarth ruszając ramionami — to nie moja rzecz: wyście znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyślcie powinni.

— Znudził się Lubomirską... oczywista rzecz... — dodał z boku Taparel.

— Nie, bo przyznam ci się że i tych Szwedów strawić trudno — szepnął pocichuteńku Wackerbarth. Ja mu się nie dziwię.

— Eh! eh! Szwedów! zapomnieliśmy tymczasem, pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, że przyjedziem tylko zbierać owoce... — zaczął trącając w kielich Fürstemberg — nie Szwedy go gryzą... ale już Lubomirskiej ma dosyć... trzeba mu inną znaleźć.

— Czyż o to trudno? — szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth...

— A! no, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterlę wyszukać... — rozśmiał się Lagnasco...

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszeć nie było, bo król zdawał się przebudzać jakby ze snu i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem.

Niepotrzeba było więcej ażeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa z współbiesiadników wcale nie wiedziała z czego Najjaśniejszy Pan rozśmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

— Kyan! — krzyknął król — co ci jest? czy cię kochanka zdradziła? czyś goły, czy ci nieprzyjaciel wpił się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr o sześciu świecach do połowy zgaś od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

— Kyan, co ci jest? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie — odparł baron — osobiście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zazdrosny, ale rozpacz mnie morduje.

— Cóż się stało? mów! — zaczął król.

— Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję! — odparł poważnie Kyan — tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożem obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałem, z mężstwem niezłomnym, stworzony aby świat ci u stóp leżąc służył... nie masz nic.

— Tak, to prawda — rzekł August chmurząc brew.

— Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśniej, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem radbyś odetchnąć w wesołym kółku, przynoszą ci wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaż mnie co cię Kocham, rozpacz porywać!

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puhar i stuknął nim o stół. Z za kredensu wybiegły dwa karły... jak jeden i stanęły przed królem.

— Słuchaj Tramm — zawołał August — każ podać gąsior ambrozji! Kyan'a robię podczaszym. Wino któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozją zwał się węgryz królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić kazał; było to wino nad wina, niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzymia.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny Murzyn we wschodniej odzieży, na srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

— Kyan gospodaruj — zawołał.

Kyan wstał... karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; szepnął im coś i małemi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwile zjawili się z nowym szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, który zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jął się ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości królewski; dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministeryalne kielichy, po za niemi drobniejszych rozmiarów jak na żart, niby napastrki w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki.. śmieszne.

Wszyscy patrzeli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił najprzód wszystkie drobne. Nie wiele one napozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolej szła

na ministryalne. Wśród powszechnego milczenia, podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał pełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski — wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

— A! dobry z waćpana podczaszy! — rozśmiał się król — dla ciebie ja jestem ostatnim. Cóż to ma znaczyć?

Śmieli się otaczający.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru — jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią co dzień z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszeń nalewa, potem starszyzna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puhar — tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłonie, patrząc szydersko po przytomnych.

— Kyan! twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozyą. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; z ukosa spoglądano na Kyan'a, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

— Mówmy o czém inném! — zawołał. — Fürstemberg wstał.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — godzina nadchodzi, w której o niczém inném mówić się nie godzi, tylko o tém co dniowi i nocy króluje... o kobietach.

— Doskonale — poparł król — każdy niech swoją kochankę opisze... Fürstemberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się — wymówił król te słowa — po twarzy Fürstemberga przebiegł grymas dziwny.

— Dane mi pierwszeństwo — odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec — dowodzi tylko że przed okiem argusowém naszego najmiłościwszego pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy Panie! — dodał ręce składając Fürstemberg — proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

— Nie! nie! poczęto dokoła. Portret być może bez podpisu... jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz Pana święty i nieodwołalny. Maluj Fürstemberg.

Wszyscy potrosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że z pod rózu i bielidla twarzy jój widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstemberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstemberg ociągał, nagle tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i wskazując na Fürstemberga powtórzył:

— Niéma litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi młody roztrzepaniec wychylił swój kielich do dna.

— Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie — zawołał — może mi kto zaprzeczyć, znaż kto co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa... bo jój jednej nie zagraża to, co wszystkim innym... piękność jój dojrzała, jaką jest pozostanie na zawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jój kształty...

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy nie miłego wyrazu. Małe jego oczki świdrujące gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyzółtkły... w téj chwili dopiero po ambrozyi nieco rumieńca nabierał. Hoym słyszał z donżuaństwa, ale jego miłości od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano że się ustatkował. Chodziły wieści iż się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jój nikt... siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony przez dni kilka, do-
trzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno napiły. Poznać to
było łatwo po mimowolnych głowy jego ruchach, po wysileniach z jakimi dźwigał ręce
ociężałe, po uśmiechu ust krzywym, po przymykających się powiekach i całej postawie
zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmiłsza gratka dla króla i jego towarzyszków, ministra od akcyzy schwytać
w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

— Kolej na Hoyma! — rzekł król. — Hoym — dodał — znasz mnie, niema wy-
mówki. Wiemy wszyscy żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez
miłości żyć nie możesz; poza te ściany nie wychodzi nic. Spowiadaj się!

Hoym głową na wszystkie strony wykręcał, a ręką z próżnym bawił się kielichem.

— He! he!, zaśmiał się.

Z cicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust i wypił z tą bezrozumną chciwością
właściwą już napiłym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

— He! he! — zaczął bełkocząc — chcecie wiedzieć jak wygląda moja kochanka... ale
ja mili panowie niemam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam za żonę boginię!

Rozśmieli się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego,
słuchał.

— Śmiecie się — mówił Hoym — kto jój nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę
że i Wenus obok niej wydałaby się praczką z przedmieścia. Mogę ją ją opisać? W jedném
jój oku czarném jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny oprzeć mu się nie potrafi.
Postać jój Praxytelesa dłutoby zawstydzila... na jój uśmiech niema wyrazu, ale to bóstwo
surowe i straszne i ten uśmiech nie rozkwita co dzień.

Kiwali głowami przytomni niedowierzająco, Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.
— Opiszże ją lepiej: to są westchnienia, nie obrazy.

— Któż opisze doskonałość — dodał Hoym z podniesionymi w sufit oczyma...

Wszystkie piękności ma, a żadnej wady.

— Gotowem uwierzyć że piękna — zawołał Lagnasco — jeśli niestały Hoym od
trzech lat się w niej kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

— Przesadza! pijany jest! — przerwał Fürstemberg. Jakto? piękniejsza od księżnej
Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwém okiem mierząc króla; ale król rzekł spokojnie:

— Tu niema innych względów nad prawdę... piękniejsza od Lubomirskiej?

— Najjaśniejszy Panie — krzyknął unosząc się Hoym — księżna jest kobietą piękną,
a moja żona jest boginią. Na całym dworze, w całym mieście, w całej Saksonii, w Europie
drugiej takiej niema!

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiała sala.

— Jaki zabawny Hoym pijany!

— Jaka pocieszna akcyza pijana!

— Co za nieoszacowany człowiek...

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod wpływem ambrozyi i zapominał się gdzie
był i przed kim to mówił.

— Śmiecie się — zawołał — zacie mnie przecie wszyscy: sami mnie Don Żuanem
nazywacie: oddajecie mi tę sprawiedliwość że na piękności niewieściej nikt się lepiej nie
zna nademnie. Dlaczegożbym miał kłamać?... to bóstwo nie kobieta; dość jednego jój oka,
aby w najzimniejszym łonie pożar zapaliło; jój uśmiech... To mówiąc spojrział mimowolnie
na króla... Wyraz twarzy Augusta chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde
jego słowo, przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Radby był się cofnął... lecz
nie mógł sobie zadać kłamu, i jak stężały, zamilkł poblądłszy...

Próżno śmiechami i wywoływaniem starano się go zmusić by szedł dalej: Hoym
ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał
wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozyi, stuknięto w kielichy.

— Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! — zawołał Fürstemberg — teraz zdrowie Najjaśniejszego Apollina naszego...

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc; Hoym wstał chwiejąc się i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło: wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskim stał Fürstemberg, którego król Fürstchen przez pieszczotę nazywał i w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apollo odwrócił się ku niemu:

— Fürstchen — rzekł cicho — akcyza nie kłamie; od lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem: trzeba go zmusić aby nam ją pokazał... Użyj takich środków jakich chcesz, niech kosztuje najdrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürst się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu i innym na rękę. Panująca dotąd królewska kochanka *en titre*, księżna Teschen, miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku pałac na Pirnajskiej ulicy odziedziczyła... a Fürstemberg choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom dobijającym się serca króla, gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiej nie zbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście się i ton, zaczynały nudzić króla, który wołał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach... Fürstemberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale sparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha...

— Kochana akcyzo! — zawołał głośno — wstyd mi za ciebie, kłamałaś bezwstydnie i to w obec króla jegomości, żartowałaś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego lotra jak ty i kobieciarza, nie może być koczokodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ją porównywać, to były żarty!

Hoymowi znowu wino grało w głowie.

— Com mówił — rzekł z gniewem — to była prawda! *Tausend donner-wetter! Potz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufałej król wszystko przebaczał... po pijanemu prości śmiertelnicy chwyтали go za szyję i całowali, nie lękając się by ich Goliat zdusił w objęciach...

— Stawię tysiąc dukatów w zakład — o! — krzyknął Fürstemberg — że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może...

Hoymowi dolewano wina... akcyza piła z rozpaczy...

— Trzymam zakład! — zgrzytnął zębami blady i pijany — trzymam...

— Sędzią... ja będę sędzią! wyciągając rękę dodał August.

— A sądu zwlekać się nie godzi — dodał August. — Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi...

— Hoym! pisz! Kurjer królewski powiezie list do Laubegast... — dodał ktoś z boku.

— Pisz list... natychmiast! — zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron...

W jednej chwili podsunęto mu papier, Fürstemberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśliwy Hoym w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk... ktoś po wschodach zbiegł w dziedzińce, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

— Fürstemberg — szepnęła August — ja widzę po Hoymie że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła; trzeba go spoić na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył...

— Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam — dodał książe.

— A ja nie — spokojnie rzekł król — czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A takibyśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmiezek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się skupiło z kielichami; wyzywano go, wymyślano toasty, dolowano ambrozyę różnemi z flaszek podstawianych kryjomo dobywanemi płynami, i w pół godziny... Hoym blady jak trup, z głową zwieszoną, z usty okropnie otwartymi spał leżąc na stole... Hajducy królewscy na dany znak ponieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże, raczej niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnajską ulicę, położono go w jednym z gabinetów

królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak wcale się nieprzebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali po wyniesieniu tego trupa rozpoczęła się dopiero bachanalia przy zamkniętych drzwiach, w ciasniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajducy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecko do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety! wszystkie jego rysy aż do najdrobniejszego są prawdziwe...

Fürstemberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę tylko aby ochłodzić głowę i zamyślił się głęboko... mówiąc do siebie:

— Będziemy tedy mieli nowe panowanie... Lubomirska nadto się też wdawała w politykę... mogła opanować króla... na co mu rozumna kochanka? niech go tylko bawi i kocha! to jój powołanie...

Zobaczmy Hoymowę...

II

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach i czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzić wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod niebytność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie owego czasu z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuzki z wyginanymi ozdoby i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy murarze ukrasili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała krata żelazna w słupach murowanych, na których stały piękne wazony kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu z galeryą kamienną przybraną w wazony i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutnie jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia, ani licznych sług, ni ruchomego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu z za płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobylem zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnymi, jasnymi, bystre mi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swój młodości, piękności i dumy... mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutną przy tej powadze jak żalobny posąg zdjęty z grobowca... nigdy się nie uśmiechnęło jój oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselęj w niebo... Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki których ani zrywała, ani się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzona. Wiedziano że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta nie widując prawie nikogo oprócz siostry Hoyma Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla a nadzieję pozostania w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej odsuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jój jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jój zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale za to namiętności w niém nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu pod-

żegany, znużył się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie i chciał ten skarb mieć zatajonym przed oczyma ludzkiemi. Tylko gdy króla i dworu nie było w Dreźnie, pani Hoym miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoiło ją dumą, złością, goryczą, smutnemi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwnym. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako wyczekiwanie równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękną i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech i ci co ją zdala widzieli, nie daliby ję z twarzy dziecięcej niemal, ani ośmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszym życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta nieśmiertelna dziewiczość bratowej gniewała. Gniewały ją i inne jeszcze w niej przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda, intrygi i kłamstwa, królewski majestat z jakim z góry swęj potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, możeby ję nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła ję wzajemnie, wstręt ku niej czując instynktowy. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę... przez samą panią Vitzthum, pocichu szepczącą nieraz tajemne skandaliki, wiedziała Anna Hoym, że mąż nie był ję wiernym. Mogła go łatwo jednem czulszém wejrzeniem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była ję pewną: nie chciała. Wydał się ję już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną gdy przyszło do otwartęj kłótni czuł się tak słabym, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dnie w Laubegast... Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodziny. Lecz rodzina nie była ję bardzo przychylną, ojca i matki nie miała od dawna, a księżna Brunswicka, z domu Holsztein Plön, czyby ją znowu na dwór przyjęła? Głośne tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletniej jeszcze Anny, którą książe Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla ję piękności cudnej, chciał pocałować i — dostał publicznie prawie policzek...

Nie miała się więc gdzie podziąć biędna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Dreznia, w którém trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę piérwszję piękności, kilka lat przechadzając się po nad brzegami Elby, nad któremi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniacza czereda otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tém swém ustroniu, że ją żadne niemal nie postrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wisiał niż trzymał się na dworze króla Augusta, a dostał się nań prawie mimowoli i mimowoli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz piérwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniótl w ręku puhary, łamał talary i kruszył podkowy; przy obiedzie w Piekarach po odbytej ceremonii przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającęj przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się z niechcenia pono ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero początki jego w Polsce i rzekł tylko iż ciekawy był widzieć współzawodnika w siłę, bo go jako żywo nigdy w życiu jeszcze nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę pochodzącego bodaj z wielkiej a niegdyś bardzo możnej rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa po koronacyi przedstawić. Ale rzecz, przy tylu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup by ję nie wznawiał, postrzegłszy się iż niezręcznie z tą paralellą wystąpił, gdyby sam król nie napał się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego p. Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jako tako u Jezuitów dokończył, wałęsał się sam nie wiedząc co począć z sobą. Do wojskaby był rad szedł ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypadalo. Po długich więc poszukiwaniach w mieście udało się Zaklikę odkopać gdzieś po niewoli pasującego się z piórem przy kancelaryi. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nierad musiał kazać oporządzić od stóp do głów i dopiero sam obejrzawszy że mu wstydu nie zrobi, trzymał pogotowiu.

Król najczęściej z tą siłą przy uctowaniu występował, gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten experiment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „a gdzież wasz siłacz mój ojcze?” Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębczak, smukły, rumiany, hoży, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim herkulesem. August spojrzawszy nań począł się uśmiechać. Że był szlachcic przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francuzku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem tu słów nie było potrzeba. Stało dwa puhary srebrne jednokowiusienkie przed królem, wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgiał i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydersko się uśmiechając podsunął sam drugi Zaklice i rzekł — Probuje: jeśli puhar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu i garść nastawił i objął blachę twardą; chwilę niby się ważyło co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puhar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconém znać było. Panowie przytomni jęli dowodzić że puhar z cieńszej był blachy, albo nadkruszony...

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice i kruszył je leciuchno nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował go w dwóch rękach i złamał też. Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał; ale już się też i rozpałił, a to mu sił dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła królowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puhary mu darował, a potem namyśliwszy się powiedział żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędnik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz aby się nigdy nie ważył z siłą popisywać ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwisł tak przy dworze ów ubożatko Zaklika, dano mu kilkaset talarów pensyi, barwę co się zowie wspaniałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem gdzie się on ruszył jeździć musiał. A że to było jak mówi przysłowie pokorne ciele, dobrze mu było. Król wprawdzie słowa nigdy doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał by mu na niczém nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuzczyzny słuchać, jął się obojga języków uczyć bystro i we dwa lata już niemi dobrze w gębie obracał. A no z tego próżnowania i że żyć nie bardzo z szołdrami lubił, bo tak ich zwał *salva reverentia* dla króla jegomości, gdy pora była po temu, około Drezna pieszo schodził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzawszy... *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednéto z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod bezpieczną lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście... właśnie o tej godzinie wyszła Anna hr. Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, od razu zamarł z admiracyi: tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tarł myśląc że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy patrząc a patrząc... i napatrzyć się nie mogąc. Zdawało mu się że się oczyma napasie do syta, a im dłużej patrzył, tém więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota... czy szal, dosyć że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu też komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo: w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopaczysko rozmiłowało: że wychudło i zgłupiało. Kobięty służące u dworu u pani Hoymowej, które wyszpiegowały go a domyśliły się pewno co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tém i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go niewidziana, a może się jęj go i żal zrobiło, ale kazała do siebie przywołać i surowo go zgromiła że się tu niepotrzebnie włóczył, a zakazała aby więcej nogą około dworu nie postać.

Że przy tej rozmowie nikogo nie było a chłopca głupota jego znać ośmielała, odpowiedział na to, że przecież patrząc nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda, a dodał iż choćby go tam i ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się tupiąc nóżką pani Hoymowa, grożąc iż go mężowi przeskarży, a nic go to nie nastraszyło. Potem się kilka tygodni z téj strony z której ją widzieć mógł nie pokazywała. Chodziła do Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika po szyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki, stał tak ukryty aby tylko ją zobaczył. Rozgniewała się tedy strasznie i zaczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyla, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, a no nie prawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną téj piękności pał i pał. Już czy jejmość o tém wiedziała czy nie, nie było słyhu, a nie mówiono więcéj o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i królby był może nawet rad żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyżał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król był dużemu koniowi z wielkiego gniewu w jaki wpadł, głowę jedném cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego ów nawet sławny Zaklika nie dokaże. Przeprowadzono szkapę starą z pod dragona i twardo-kościstą. Dawano pocichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój, lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł — jak to mówiono — nikt go nie pohamował. W obec tedy króla, panów i wielkiej ciżby osób, poprobowawszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwałił jak brzytwą... Mówił że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu — ale nic — król słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzyą. Na Zaklikę nikt i nie spojrzal już, a dworscy słudzy których miał przyjaźniejszych, szeptali mu że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy lada małym czém, spotka ciupa na Koenigsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył a wcale się tego nie zląkł... Królewskiego tyle było zwycięztwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować wiele wina strzymać; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklanekę piwa, wina kieliszeczek — dalej niemogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wleli mu puhar węgrzyna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. A no potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znowu chodził na wyglądanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił... Anna hr. Hoymowa która o wszystkiém mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspomniała, zdając się go już niewidzieć, ani wiedzieć o nim...

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze i drągi, jak było we zwyczajach naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, słudzy szli z kurami spać, a pani choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tém nie wiedział...

Téj nocy właśnie gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiaterek bujał, w Laubegast tak go słychać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna rozebrawszy się, czytała w biblii, bo to jéj było czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy Ś-go Pawła... Toż myślała a rozmyślała nad niemi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jéj pokoju, gdy tętent się dał słyścić za domem, a potem jakby kto bramą żelazną targał i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieuleknionego ducha pani, poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żołdactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegali i po górach się kryli tułając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyją później płacić im przyszło, gdy na nich oblawy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to, brama nie przestała dźwięczeć ani psy ujadać... Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiero zobaczyli że tam się z dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służbą. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał...

Gdy go jęj przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu Anna, iż coś złego stać się musiało... pobladła nieco... poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną na liście, uspokoiła się. Przyszedł jęj tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednej nocy do Koenigsteinu i zabrano mu wszystko co miał. Sam Hoym nieraz pocichu spowiadał się jęj z tego, iż królowi nie wierzy i nie będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy zagranicę nie wyniesie.

Dowiedziona to było rzeczą, iż król gdy najczulszym się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba, uspić bowiem pragnął, nim ofiarę swą stracił ze szczytu i lubował się patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, ażali los kanclerza nie spotkał jęj męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy, i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie postrzegłszy na bilecie męża, ręką acz widocznie zmienioną i pośpieszną kreślonym, rozkaz, aby natychmiast przybyła... posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich... a i ciekawość też wiodła... Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży... i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast na zawsze się za nią zamknęły...

Myśli dziwne w drodze ją opanowały... Czula się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jęj na łzy zbierało. Nie wiedziała co jęj groziło i czy jęj co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu po kilkoletniej niebytności, wiadano wszędzie. Z niemi razem powracały do Drezna intrygi, podstępny, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnymi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy napozór lekkie i wesole, a w istocie tragiczne...

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przygrywała weselu tych co zwyciężyli... Nieraz z dała patrzyła Anna na siną górę Koenigsteinu, pełną tajemnic i ofiar...

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedzały pochodnie dworskie i konie pędziły... ani opatrzone się jak stanęła karetka na bruku u domu przy Pirnaiskiej ulicy. To też choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobudzić. W domu tym w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokojów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstręt wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarye i całe izby papierów... Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej wprawdzie, ale ciemnej, ponurzej i smutnej. Nie zastawszy męża w domu, tém więcej się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy ją upewnili iż to była *noc królewska*, i że przy tej zabawie zwykle przeciągał się pobyt na zamku do dnia białego i dłużej. Zmuszona szukać przytulku i odpoczynku, hrabina musiała dziś poraz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obrala gabinet z drugiej strony kancelaryi ministra położony, oddzielony od innych pokojów i tu sobie prawdziwe łóżeczko obozowe usłać kazawszy, zaryglowawszy się ze sługą, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzémała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem...

Dzień już był biały, gdy usnąwszy głęboko na chwilę, przebudziła się słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stapanie. Sądziła zrazu iż to był chód męża i w cichości co najprędzej poczęła się z pomocą sługi ubierać...

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jęj jeszcze wdzięku dodawał. Znużenie podróży, niepokój, gorączka podniosły królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpliwością odryglowała drzwi które ją dzieliły od gabinetu, otwarła je, i stanęła w progu.

Naprzeciw nięj zamiast męża stał człowiek zupełnie jęj nieznamy, którego postawa i twarz wielkie na nięj uczyniły wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckiego duchownego, nie młody, z głową wypetzną i błyszczącą, około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Żółkła skóra przylegała do kości jego czoła, tak iż żyły rysowały się wszędzie wypukło... Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przytęm, nadawały tej twarzy ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zatrzymującego oczy zdumione, iż mimowoli oderwać ich od nięj nie było można.

Patrzała nań Anna, ale i on jakby zjawiskiem téj kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionymi w nią oczyma, w których mimowolne malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom...

Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły zdumieniem napół, napół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł i błogosławić...

Dwie te istoty zupełnie sobie nieznane... badały się tak chwilę oczyma... Duchowny cofał się zwolna... Anna oglądała się szukając oczyma męża... Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał...

— Kto ty jesteś?

III

— Jabym tu prędzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

— W domu waszym? — powtórzył zdumiony duchowny — jakto? więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrział na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonymi powiekami, złożył ręce jakby z rozpaczy i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać zszarżana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się odżywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakimś wielkiem wyraść: stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niej onieśmioną, małą, dziedzinną, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakimś natchnieniem wewnętrznym. Nagle, oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód...

— Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwały swój, jako piękne cnoty naczynie, ty pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrząśniesz pyłu z nóg twych skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz rozdarłszy szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? — zawołał jakby nagle rozgniony miłosierdziem. Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? kto cię weń wrzucił? kto był tym niegodziwym co tak piękne dziecię Boże cisnął w ten świat plugawy?? Czemu nie uciekasz? dlaczego stoisz niestrwożona a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała słuchając go, lecz głos starego takie na nią czynił wrażenie, iż uczuła się, może pierwszy raz w życiu podbitą i onieśmioną. Oburzał ją ten ton duchownego a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta... on mówił dalej:

— A wieszże ty gdzie jesteś? a wiesz, że ta ziemia na której stoisz chwije się pod stopami twemi? że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

— Cóż zaprzestraszające obrazy, kreślisz, mój Ojczy — odezwała się wreszcie Hoymowa — i dlaczego mnie niemi chcesz zatrwożyć?

— Bo z czystego czoła i oczu twych, dziecko moje — rzekł duchowny — widzę żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

— Od kilku godzin — uśmiechając się odpowiedziała Hoymowa...

— I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość swoją, bobyś tak nie wyglądała — uśmiechnął się boleśnie stary — nieprawdaż?

— Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie... od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi... ledwie zdała widziała Drezno...

— A nic chyba nie słyszała o niém... — dodał stary i wstrząsł się.

Wszystko co mi mówisz, przeczytałem na czole twém, w wejrzeniu — rzekł smutnie. — Bóg mi czasem daje zajrzeć głęboko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałem zdjęty widząc cię, piękna pani; zdało mi się że patrzę na lilię białą, rozkwitłą w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąć gdzieś wzrosła i wonieć pustyni a Bogu...

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła przejęta kilka kroków ku niemu... w jój oczach i postawie widać było wzruszenie.

— Ojczy mój — rzekła — ty kto jesteś??

Stary zdawał się niesłyszec, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

— Kto ja jestem? — rzekł — kto ja jestem? nędzna istota grzeszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy lub się z nią wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy...

jam ten który przepowiadam upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem? naczynie w ręku Bożém, przez które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli? Jam ten za którego czarną suknią biegają ulicznicy rzucając na nią błotem, ten którego proroctw nikt nie słucha... nędzarz wśród bogaczy... ale praw i czysty, przed Panem...

I zamilkł ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym... spuścił głowę.

— Dziwne zrządzenie — odezwała się Anna nie odstępując od niego — po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrożę i oznajmienie... Nie jestże to palec Boży?

Wstrzęsła się i dreszcz przebiegł ją całą.

— Zaprawdę dziwne! — powtórzyła.

— Opatrzne — rzekł stary... — a biada tym co litościwej Bożej nie słuchają przestrogi... Chcesz wiedzieć kto ja jestem? nikt! ubogi kaznodzieja od kościoła, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga... Zowie się Schramm... hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto jak się tu dziś znalazłem... Ale kto was tu sprowadził? kto wam tu przybyć dozwolił?

— Własny mąż! — rzekła Anna...

— Proś go niech cię uwolni — szepnął oglądając się trwożliwie duchowny. Wiedziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują jak lalki... tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć... Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz... okolą cię siecią intryg, osnują jadowitemi pajęczynami, uspią, upoją... zawrócą głowę melodyą pieśni, ukołysz serce bajaniem... złudzą oczy bezwstydem... oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spojona, znużona, osłabła... polecisz w przepaść...

Anna Hoym zmarszczyła brwi.

— Nie — zawołała — nie jestem tak słabą jak sądzicie, ani tak zasadzek nieświadomą, ani tak spragnioną życia... Nie, świat ten mi się nie uśmiecha, patrzę nań z góry... niżej on odemnie...

— Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć widziała — odparł Schramm — nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła... Królewskie w niem posągi popaliły się na węgiel i obrukały sadzami... Idź ztąd... idź, idź, szkoda ciebie i białej niewinnej duszy twojej...

To mówiąc ręce wyciągał jakby ją chciał wygnąć i przyspieszyć odejście; ale Anna stała niezatrwożona, szyderski razem i litości pełen uśmiech błąkał się po jęj ustach.

— A gdzież ucieknę? — zawołała — los mój połączony jest z losem tego człowieka... oderwać go odeń nie w mocy mojej... Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się co mi wyznaczono... tylko nie śpiącą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale ja chyba im panować będę...

Schramm strwożony spojrzał, stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca...

W téj chwili otwarły się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczorajszego nie korzystnie się już wydawał; dziś po białym dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu wyglądał gorzej jeszcze... Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlachetnego nie nadawało mu wdzięku, twarz pospolita odznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami konwulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą najsprzeczniejszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały ogniem tryskając, usta śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniały... I w téj chwili, ujrawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzeczniejszych jakichś uczuć. Uśmiechnął się jęj i w chwilę jakby gniewem chciał buchnąć nasrożyć... ale się zwyciężył i zawahawszy wsunął żywo do gabinetu!

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz...

— Szaleńcze, fanatyku, komedyancie przebrzydły — zawołał nie witając się nawet z żoną — znowuś nabroił, znowu do mnie przychodzisz abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? wiem wszystko, pójdiesz precz od kościoła... na wieś, tam, na pustynie, do prostaczków... w góry...

Wskazał ręką.

— Ja ani chcę, ani myślę cię bronić? — dodał zapalając się — podziękuj Bogu jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gdzie do kąta, bo tuby cię dalej, co gorszego spotkać jeszcze mogło...

— Ha! myślicie! — ciągnął dalej, zapalając się minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz — myślicie że tu, na dworze wolno wszystko, i że to co wy nazywacie słowem Bożym, nieocukrowane, możecie podawać ustom do słodczyzawy nawykłym? że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów nawracających pogan...

Schramm... mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocaleję... gubisz się sam...

Duchowny niezachwiany bynajmniej, spokojny stał patrząc ministrowi w oczy.

— Ale ja jestem kapłanem Bożym — rzekł — jam poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niej... niech się stanie...

— Męczennikiem! — rozśmiał się Hoym — toby było zawiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i oplawą wyświadcą.

— Więc pójdę — odezwał się Schramm — ale dopókim tu jest, ust nie zamknę...

— I kazać będziesz głuchym! — szydersko dodał minister... ruszając ramiona. — No, dosyć tego, rób co chcesz... ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze gdy każdy ocali siebie... Jam ci to przepowiadał Schramm... milczyć trzeba umieć, umieć pochlebiać lub ginąć podeptanym... Cóż chcesz, przyszły takie czasy: Sodom i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu pokłonił się Schramm, popatrzał na żonę Hoyma z politowaniem, na niego z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzął, oderwał wzrok ku niemu...

— Żal mi cię — burknął krótko — idź, zrobię co mogę, ale zatop się w biblii i trzymaj język za zębami: ostatni raz ci to radzę...

Schramm prawie nie słuchając wyszedł... małżonkowie zostali z sobą sam na sam...

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, oddawna źle z sobą byli; widocznie nie wiedział, od czego zacząć rozmowę... zakłopotany stał i zły... Chwytał rękami dwa końce peruki swój i targał...

— Pocóżes hrabia kazał mi tu przybyć tak nagle? — zapytała Anna z wymówką i dumą.

— Poco? — podnosząc oczy zawołał Hoym, zaczynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany — poco? bom był szalony! bo mnie ci niegodziwcy spoliłi, bo nie wiedziałem com robił! bom głupi... bom nieszczęśliwy!... bom waryat!

Tak! waryat! — powtórzył.

— Więc mogę nazad powrócić? — spytała Anna...

— Z piekła się nie powraca! — zaśmiał się Hoym, — a waćpani z łaski mojej w piekle jesteś: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła i padł na krzesło...

— A! tak! istotnie oszaleć przyjdzie, — mruknął — lecz z królem niema wojny...

— Jakto? król?

— Król! Fürstemberg! wszyscy! wszyscy! nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie... Dowiedzieli się żeś ty piękna, że ja głupi i kazali mi panią pokazać!

— Któż im o mnie powiedział? — zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta, zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzesła... Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimnym i szyderskim.

— Dość tego, — rzekł cicho zniżając głos — mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię... Wezwałem panią, bom musiał ją tu ściągnąć, król chciał, a Jowisz piorunuje tych co mu się śmiały sprzeciwiać... Dla jego zabawki musi służyć wszystko... królewskimi stopy depta skarby cudze i rzuca je w śmieć... — Zniżył głos i umilkł jakby słuchał czy się kto nie odezwie.

I począł znowu zwolna chodzić po pokoju.

— Założyłem się z ks. Fürstbergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z professy pięknych role grają. Nieprawdaż że ja był głupi?

Pozwalam byś mi to pani powiedziała... Najjaśniejszy nasz pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów...

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzdargą, odwracając się od niego.

— Nikczemny waćpan jesteś, panie hrabio — krzyknęła w gniewie. — Jakto? wy! wy coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skąpiąc mi powietrza i światła, wyprawdzacie mnie teraz jak komedyantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami? to najwyższa podłość!

— Nie szczędź pani wyrazów, mów co chcesz, — rzekł Hoym z boleścią — wart jestem, zasłużyłem... Wszystkiego za mało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy... szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić...

Załamano ręce: Anna zamilkła i patrzała.

— Ja jadę do domu — rzekła — ja tu nie pozostanę, wstydziłabym się sama siebie... Koni! powóz!

Rzuciła się ku drzwiom: Hoym stał uśmiechając się gorzko...

— Koni! powozu! — powtórzył — ale waćpani nie wiesz chyba gdzie jesteś i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie ręczę żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójną złapać cię i odprowadzić... nikt nie odważy się wieść... nikt nie uzuchwali ratować... Waćpani nie wiesz gdzie jesteś?

Hrabina załamano ręce z rozpaczą, Hoym patrzył na nią z jakimś uczuciem niewysłowionej zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

— Nie — rzekł dotykając z lekka jej ręki — posłuchaj mnie pani; nie jest jeszcze może tak źle jak ja mówię, jak przeczuwam: mówmy z flegmą i rozsądnie... Giną tu ci co chcą być zgubieni... Pani możesz nie być piękną gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną... możesz dla ocalenia mnie i siebie... przybrać postawę odrażającą...

Tu zniżył głos...

— Znasz pani historią naszego najmiłoścowszego pana a króla Augusta? — zapytał się z dziwnym uśmiechem. — Pan to wspaniały, hojny... sypiący złotem, które moja akcyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska... Niema drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy..., niema któryby potrzebował bawić się drożęj, nieustanniej i dziwaczniej. Łamie podkopy i kobiety i rzuca je na ziemię; kanclerzy, których ścisnął wczoraj, zamyka na Koenigsteinie... Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodził... Serce ma najlitościwsze, tylko mu się sprzeciwić nie trzeba...

Mówił coraz ciszej, a trwożliwymi oczyma biegał dokoła...

— Znasz pani historią jego! a! ciekawa bardzo — szeptał dalej — lubi kobiety coraz świeże... co raz świeże jak smok ów w bajce, żyje dziewicami, które mu przerażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą... a on je pożera... Któż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona... ale obok znajomych, trzykroć tyle zapomnianych... Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w atlasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na łachmany polować... Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewej ręki, jabym ich naliczył dwadzieścia... Königsmarck jest jeszcze piękną, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach... ale już wszystkie go znudziły. Szuka kogoby pożar!

Dobry pan! łaskawy pan! — dodał śmiejąc się — wszakże zabawić się musi, wszak dla tego na świat przyszedł aby mu służyło wszystko; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr... a straszny jak Jupiter...

— Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz, — wybuchnęła oburzona Anna — maszże mnie za tak nisko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się sprowadzić z drogi honoru! Waćpan mnie nie znasz! to obelga!!

Hoym patrzył z politowaniem na nią.

— Znam moją Annę, — rzekł z uśmiechem — lecz znam dwór, pana, ludzi co nas otaczają i urok jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie byłbym spokojnym...

— Alem przysięgała wam, to dosyć — odezwała się z dumą kobieta — nie pozyskałaś serca, ale masz słowo. Takie kobiety jak ja nie łamią przysięgi...

— Łamały i takie dla blasku korony — rzekł Hoym — księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

— Mogę być żoną, nie chcę być kochanką — zawołała — sromu na czole nosić nie umiem.

— Srom! — rzekł Hoym — a! to piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki...

— Waćpan jesteś obrzydliwy, — przerwała kobieta z gniewem. — Sprowadzasz mnie tutaj sam... i karmisz takimi groźbami...

Wzruszenie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Hoym się zbliżył z pokorą:

— Daruj mi — odezwał się — głowę straciłem, nie wiem co czynię i co mówię... to dzikie domysły i strachy... Jutro jest bal na dworze... Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowej. Mnie się zdaje — z cicha począł spuszczać oczy — waćpani możesz co zechcesz, nawet nie być piękną... Ja chętnie zakład przegram... Będzie ci łatwo stać się śmieszoną... niezgrabną. U króla wiele waży elegancja, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego jak okazać się zaniedbaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic jeszcze... Drezno pełne jest pięknych kucharek... August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele... Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwem postępując ku oknu.

— Każesz mi więc grać komedią dla ocalenia swojego honoru! — zawołała z uśmiechem ironicznym — ale ja nie cierpię fałszu. Waćpana honorowi nic nie grozi... Anna Konstancja Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet co się na łaskę pańską biorą i dają spodlic dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać... bądź spokojnym... Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę...

Hoym zamilkł i pobladł.

— Pani na balu tym być musisz; — rzekł głosem stłumionym: — tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją... Król kazał...

— A ja nie chcę! — odparła Anna.

— Sprzeciwisz się jemu! — spytał Hoym.

— Dłaczegóż nie, panem jest wszystkiego oprócz domu i rodziny, które do Boga należą... Cóż mi uczyni?

— A! wam nic — rzekł niespokojnie minister — nadto dla pięknych pań jest grzeszny; ale ja pójdę na Koenigstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci: nędza, śmierć.

Zakrył sobie oczy rękami.

— Wy go nie znacie — szeptał cicho — on się uśmiecha i jaśniej jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu kto śmiał zwątpić że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu, lub ja zginę...

— A sądzisz pan, hrabio Hoym — odparła Anna — iż ta groźba waszej zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna...

Hoym posunął się za nią blady.

— Na miłość Bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może... zaklinam was.

Kończył te słowa gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i nasrożył się.

— Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnąwszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy po za nim postrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabinę, a po za nią żywo szpiegujące go oczy siostry.

Zdawało mu się że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego, nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechnym. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmięszany nad wyraz, dał znak słudze który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabinę, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic

przeróżającego, przecież na widok jój blada już twarz Hoyma, zdawała się blednąć jeszcze: zmieszał się, jakby w nią groźbę zobaczył...

Siostra jego, pani Vitzthum towarzysząca hr. Reuss, mogła to łatwo dostrzedz w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko wzamian dwa uprzejme uśmiechy.

— Hoym! doprawdy mogłabym się gniewać na ciebie — ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hr. Reuss — jakże to być może! Żona twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nic nie wiem... a ja przypadkiem od Hülchen dopiero dowiaduję się o tém.

— Jakto? — krzyknął minister nieposiadając się ze zniecierpliwienia — i Hülchen już wie o tém.

— A! — zawołała wchodząc pani Reuss — i ona i cały świat i wszyscy o tém tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami więdnąć nie dasz.

To mówiąc posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w nią, jak znawca pięknych koni patrzyłby na zwierzę na targ wyprowadzone.

— Jak się masz droga hrabino — rzekła wyciągając ku niej obie ręce. — Jakżem rada że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej... pustelnico moja śliczna... przybywasz dziś, nie znasz Drezna... każe mi sobie pomódz. Ja i Vitzthum niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie... Biedna ty nasza strwożona ptaszyno...

W czasie tego przemówienia, ta którą hr. Reuss nazwała spłoszoną ptaszką, stała tak dumna i jaśniejąca siłą, wcale nie zatrwożona, jakby tu panowała oddawna.

— Dziękuję wam pięknie — odezwała się spokojnie — właśnie mąż mi powiedział że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością, czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka!

— Nie życzyłabym ci tego pretekstu używać — odpowiedziała hr. Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu podawszy jój rękę przeprowadzał właśnie do ponurzej sali audyencyonalnej — nikt nie uwierzy w chorobę popatrzwszy na ciebie, co wyglądasz jak Juno pełna blasku zdrowia i siły, nikt nie da wiary przestraszowi, boś nieulekniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i korzystając z tego że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

— Kochana Anno! niemasz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać; raz przecie wyjdiesz z tej niewoli, którą dla ciebie oplakiwałam. Zobaczysz dwór! króla... świetność naszą, której równiej nie ma w Europie. Ja ci pierwsza wieszuję. Jestem przekonaną że los najszcześniejszy cię czeka...

— Jam tak do mojego więzienia i ciszy nawykła — cicho rzekła Anna — iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

— Hoym mój — dodała Vitzthumowa — spali się z zazdrości!

I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie którym towarzyszył pomieszany minister, stały w śród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła pochylając się ku pięknej gospodyni.

— Droga moja — szepnęła — bardzom rada że pierwsza cię witam rozpoczynając życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co... Hoym niechący podstawił ci pod nogi podnózek, po którym wynijść możesz wysoko... Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilczała chwilkę.

— Sądząc żem ambitną, mylisz się kochana hrabino — odezwała się zimno — płochę lata przeżyłam, wilem myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko aby do niej i do méj Biblii powrócić.

Reuss się rozśmiała.

— Wszystko to się zmieni — rzekła wdzięcząc się do gosposi. Nateraz myślmy o jutrzejszém ubraniu. Vitzthum patrz i złóżmy walną radę jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa się zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

— Jakkolwiek się ubierze — odezwała się Vitzthumowa — zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze nie ma żadnej, coby nie zgasła przy Annie. Mnie się zdaje że jak najskromniejszy ubiór będzie

jék jak najlepiej do twarzy... niech inne się sadzą na róż, bielidło i fioki... jék dość, choćby dziewiczej sukienki...

Rozmowa o gałgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mięszała się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy...

Hr. Reuss z niezmierną bacznością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jék z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usłyszeć, nad to co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jék wiekowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami iskrzącymi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przecuciach. Pani Reuss przyklaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła żwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewiczą zachował potęgę.

— Cudowna Anna nasza! zachwycająca! niezrównana! — wołała. Jutro wieczorem cały dwór u kolan jék leżeć będzie. Hoym wcześniej powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona co tak jest skłoną do mdłości odkrywających jék wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się... Reuss opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła króla serce omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było rozkoszne... bo August klęczał u nóg jék, gdy po raz pierwszy otwarła oczy...

— Niestety! — dodała Reuss — dziś gdyby nawet napadły ją mdłości, królby się może raczej przestraszył niż uradował niemi. Przeszły pierwsze zapaly. Na jarmarku lipskim Najjaśniejszy Pan puścił sobie cugle i dokazywał z francuzkami aktorkami. Co gorzej, mówią że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau... od której tylko doznał nielitościwej oziębłości... Fürstemberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotówby jakiej piękności uczynić z niego ofiarę.

— Spodziewam się — rzekła obrażona nieco Anna — iż mnie kochana hrabino nie posadzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuzkami aktorkami, choćby po drugiej stronie księżne się znalazły... Serce królewskie wcale nie wesołym jest darem, a moje coś więcej warto niż resztki po księżnie Teschen...

Reuss zarumieniła się mocno.

— Cicho! cicho! dziecko jakieś — odezwała się oglądając — któż ci mówi o tém. Papiemy o wszystkim... dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowaną.

Vitzthum i ja przysłem ci kupców naszych i szwaczki... jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu, albo ci ich braknie, Meyer pożycz w największym sekrecie jakich tylko zapagniesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny... To mówiąc wstały obie i poczęły ścisnąć Annę, która je milcząc do drzwi salonu przeprowadziła... Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akczyzy.

U wschodów na dole stała kareta hr. Reuss, do której wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślone. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie:

— Co pani wróżysz? — spytała.

— To nieuchronne — szepnęła hrabina — to konieczne: Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumną jest... będzie się szczęściu opierać długo, ale nic króla więcej nie drażni nad taki opór z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwaczną: wszystko to przymioty które nie tylko ciągną ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiej nim pochwyty w ręce wodze, potem byłoby zapóźno... Ja ciebie, ty mnie wspomagaj: dajmy sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tój nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nic zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne: królowała nam zadługo. Schodzi z pola, król się nudził, a jeśli kiedy, to teraz gdy jest tak nieszczęśliwym, pociechy potrzebuje i rozrywki.

Fürstemberg, ja i ty potrafimy to nareszcie że ją obalim. Dość mamy wszyscy tój cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumną.

— Biedny Hoym! — zaśmiała się Vitzthumowa — jeśli będzie miał rozum...

— Zyszcze na tém: nie kochał jój od dawna rozpustnik — przerwała hr. Reuss — choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

— Posądzam Fürstemberga!

Hr. Reuss zmierzyła ją bystrém, przelotném wejrzeniem i w oczach jój błysnęło na chwilę, coś, jakby iskierka szyderstwa: ruszyła ramionami.

— A są osoby predestynowane! — rzekła z ironią.

Nagle, po kobiecemu jakoś zaśmiała się głośno. — Wiész — dokończyła — powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecięcej świeżości, będzie jój cudnie do twarzy. Uważałaś jaki to ogień w tych oczach.

— I jaka duma! niestety! — dodała Vitzthumowa.

— Niechno króla zobaczy! — zakończyła pierwsza — niech August zapragnie się jój podobać, ręczę ci i głowę i dumę straci.

IV

Przy Pirnajskiej ulicy, naówczas jednej z najparadniejszych małego, murami obwiedzionego i ściśniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza a dziś więźnia stanu na Koenigsteinie. Księżna Lubomirska z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe; w nagrodę zapewne iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwytały dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaniałą swą umieściła rezydencją. Jeżeli nie odpoczywała w darowanych jój także dobrach Hoyerswerda i innych majątnościach na Łużycach, siedziała naówczas w pałacyku na Pirnajskiej ulicy lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Frydrychstadzie. Owe pierwsze lata gorącej miłości i rycerskiej zalotności, gdy piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiej Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała niecierpliwa na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem swych lat dwudziestu... owe lata szczęśliwe przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, prześpiewane na wspaniałych balach Drezdeńskich i Lipskich, zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia Karolina, karcąc zalotność Augusta II, który do znajdującej się w jój orszaku księżnej Anhalt-Dessau zwrócił swe zapęły, sprowadziła razem pod oczy bałamutnego Don-Żuana trzy jego dymisjonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hr. Esterle i panią Havgwitz... aby króla razem i księżnę Teschen Lubomirską wprawić w kłopot i zawstydzić, od tego balu co się najczulszemi później ukończył zapewnieniami stałego przywiązania; księżna Teschen, jakby po straszném *memento mori*, nieustannie miała na myśli jedno: że może, że musi być jak inne zdradzoną przez niestałego a znudzonego Augustynka... (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości, i „*mein lieber Augustin*” piosenka popularna, do niego się stosowała...). Król wprawdzie, mimo pokątnych bałamuctw bez liku, zawsze okazywał księżnie Teschen, wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała nim władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych, ale czuła w duszy że król lada chwila miał się od niej oderwać na zawsze...

Zwierciadło pokazywało jój jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starannie pielęgnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz czegoś świeżego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go rozmowa pięknej księżnej, jój zręczność w zabiegach dworskich, jój polityka pokryta gazą płochości kobiecój, jój perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą korzyść umiała. August przyjeżdżał do niej jeszcze na parę godzin, ale dziś już, gdyby ją jak niegdyś zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałyby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko napowrót wyjedzie. Mgłą smutku powlekały się jój śliczne łzawe oczy niebieskie, pełne melancholii i łudzące charakterem łagodnym, gdy w istocie księżna żelazną miała wytrwałość w postanowieniach

i zabiegach... Z każdym dniem większa opanowywała ją trwoga, ażali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wiekuiestego z królem rozdziału.

Nic się napozór nie zmieniło, nic jój nie brakło, szanowano ją jeszcze jako panią na dworze, a w oczach dworaków czytała blizki swój upadek; łapała szyderskie ich półuśmiechy i ukradkowe złośliwe spojrzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco, ale naówczas sądziła, że dla niej ustatkuje się płochy, że kiedyś może być królową; złudzenia te dziś się rozchwiały i uszły. Los wszystkich ulubienic pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność gdy królowi podobać się chciała; później zamknięta w domu, płakała pocichu kryjomo, i zemstą zawczasu już, pierś się jój podnosiła... Coraz częstsze bywały teraz listy do prymasa Radziejowskiego... Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia siebie siostrzenicy pierwszego dostojnika Rzeczypospolitej i wysyłał się na przekonanie jój o swém stałym przywiązaniu. Tymczasem szpiegowano księżnę pilnie... Król nim zasłużył na pomstę, już się jój lękał...

Miłość ze strony Augusta II zmieniła się w czczą galanterią, czuć ją było lodem i chłodem... Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowej u dworu, ale w sercu stała na równi z królową, była obojętną.

Marzenia o Koloandrowych miłościach przeciągnęły jak wiosenne obłoki, — duma po nich obrażona została.

Gdy Stolnikówna litewska rzuciła rodzinną ziemię, marzyła o tronie, tron rozsypał się w próchna... pozostawał wstyd chybionej rachuby i sromotne położenie kobiety bez męża i domu... Zapłaconej za chwilę szalu bogatemi podarki tytułów, ziemi i złota... chwila tryumfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuiesty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał strącić z wyżyny, na której się chwiała, myślała o sobie... Nudziła się też... a chłopię które jój kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecię królewskie, przychodziło w uścisku pić gorące łzy, z którymi się matka tała... Księżna Teschen nim miała prawo nazwać się nieszczęśliwą, już się nią czuła... Dziecię jój miało zapewnioną przyszłość, ona żadnej...

Pałac przy Pirnajskiej ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał co dzień tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nie tylko nie wzbraniać, ale ułatwiać przystęp. Możeby był rad aby który z nich pozyskał sobie serce, już mu ciężące przywiązaniem zbyt łzawém...

Niecierpliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze we łzach i tam gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna jeszcze pozornie w łaskach, miała szczerych czy nie, przyjaciół i donosicieli, wiedziała codziennie o każdym króla kroku, uśmiechu i słowie... szpiegowała go zazdrośnie. Z owéj uczty nocnej, gdy wyciągnięto u Hoyma przyznanie się do pięknej żony, gdy go na zakład wyzowano, gdy posłano do Laubegast po piękną Annę, księżna Teschen miała sprawozdanie dosłowne... Niespokojna, w gorączce chodziła myśląc, czy ma się na bału u królowej znajdować, stanąć do pojedynku tego, lub pogardliwie rzuconą rękawicę niepodniesioną zostawić.

Rano około jedénastej doniesiono o przybyciu pani Hoymowój. Nikt jój nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną, wiedziano że urodzona w roku 1680 była rówieśnicą Lubomirskiej, ale rodzaju i niebezpieczeństwa téj piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyan nielitościwy miał się odezwać:

— Nie pytajcie czy piękna, byle do ostatniej nie była podobną...

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe...

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnej był mniejszy niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po mieście nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono że król, jak zwykle gdy mu szło o świetność zabawy, sam jak najstaranniej balowy program oznaczył... i niecierpliwił się już o zakład Fürstemberga i Hoyma. Mówiono że panna Hülschen i hr. Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymowę w swe sieci uwikłać i łaski jój sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jój bratowa zagasi wszystkie urodą...

Księżna słała w miasto, odbierała raporta swych wiernych, rozpaczała i płakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącego zerwać, zatrzymać; teraz zdawała się nadchodzić godzina stanowcza... Łamała ręce, nagle myśl dziwna jęj przyszła... spojrziała na zegar... Dom Hoyma nie bardzo był daleko od jęj pałacu... Szepnęła coś służącej... zarzuciła gęstą czarna zasłonę na oczy od łez czerwone, i cicho zbiegła po wschodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drażnicy... rzuciła się w jedną z nich... Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą, poszli tyłem, ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wązką i pustą, na którą wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy otworzył ją dla wyskakującej z lektyki księżny, która obejrawszy się wbiegła wprost na górę do Hoyma pałacu... W sieniach czekał już na nią młody mężczyzna, który jęj wschody wskazał...

Przez ciemny korytarz zakwefiona i niemogąca się dać poznać, choćby ją kto napotkał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała...

Nierychło je otwarto. Zdaje się że sługa, która ostrożnie uchylała drzwi, chciała tylko zobaczyć kto przyszedł i nie byłaby wpuściła nadbiegającej, ale ks. Teschen jedną rączką wpuściła jęj w dłoń kilka dukatów, drugą popchnęła z lekka, obejrzała się, w które drzwi iść dalej i pobiegła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla nięj urządzać miano, gdy nieznana postać zakwefiona ukazała się na progu... Zdumiona temi niespodziewanemi odwiedzinami cofnęła się marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kwef, stanęła i oczy wlepiła ciekawie, słowa nie mówiąc z Hoymową, zdyszana, przejęta patrzyła... wargi jęj ścinały się i drżały, bladość okrywała lica... obejrzała się lękliwie dokoła i szukając podpory, na blizką kanapkę zemdlna upadła...

Anna podbiegła ku nięj, przybyła i służąca... obie podniosły omdloną...

Oslabienie jęj trwało tylko chwilę, porwała się jak obłąkana, oczy znów wlepiła w rywalkę i milcząc wskazała na służę, aby odeszła...

Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych następująca, niepokojem napełniła przybyłą i tak już strwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla nięj gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno.

Lubomirska wyciągnęła ku nięj bladą, zimną rączkę drżącą.

— Daruj mi, — rzekła głosem słabym — chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzedz. Pędził mnie tu głos obowiązku... sumienia...

Anna milczała ciekawie się w nią wpatrując.

— Patrz na mnie — dodała — rozpoczynasz dziś to życie, które ja kończę. Byłam jak ty niewinną, szczęśliwą, spokojną, szanowaną, w zgodzie z sumieniem i Bogiem... Miałam tytuł księżęcy męża i lepiej niż to, imię niepokalane ojca i rodziny... Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę kładł u nóg moich, oddawał serce...

Poszłam za nim... spójrz na mnie... Ja dziś nie mam nic, imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie niema dla mnie nikogo... Krewni się nie przyznają do mnie, ci co się czolgali u nóg mych jutro znać nie będą. On! on!.. odepchnie jak obcą...

Anna słuchając zarumieniła się.

— Pani — zawołała głosem przerywanym — dlaczegoż widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę? Ja cię nie rozumiem... Kto pani jesteś?

— Wczoraj królowa, dziś nie wiem kto — odparła Teschen.

— Ale ja nigdy żadnej korony nie miałam pragnienia, każda skroń pali — zawołała Anna — dlaczegoż spotykać mnie mają te groźby?

— Prestrogi — przerwała Lubomirska — daruj mi, twój skroni przystała korona, ludzie wcześniej ci ją dają, jam chciała odsłonić złoty jęj wieniec i wewnątrz pokazać cierniowy...

— Mylisz się pani — rzekła spokojnie Hoymowa — nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumną. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny, albo jęj nie dotknę nigdy... Uspokój się pani...

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jęj obudziło litość w Annie, zbliżyła się z ciekawością i współczuciem...

— Wszystko co mnie tu od rana spotyka jest niezrozumiałem — odezwała się z cicha; — chciałabym się wyrwać ztąd jak najrychlej. Któż pani jesteś?

— Teschen, — odparła przybyła cicho, podnosząc oczy — słyszałaś o mnie, domyśl się dlaczego cię tu ściągnięto... Świeżej twarzy potrzeba znudzonemu panu...

Anna krzyknęła z oburzeniem.

— Podli! frymarczą więc nami jak niewolnicami... a my...

— Ofiarami ich jesteśmy...

— Nie! ja nie będę, ja nie chcę być ofiarą — przerwała Hoymowa — uspokój się pani, jam tak dumna, że nędzę raczej zniosę niż upokorzenie...

Teschen spojrzała na nią, popatrzała długo i westchnęła.

— Nie będziesz ty, będzie druga: godzina moja wybiła... lecz choć ty, choć jedna jeśli masz siłę, zaklinam pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzdarcą w oczy. To woła o pomstę do Boga... Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu. — Jesteś ostrzeżoną, broń się... — Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa stała jeszcze słowa wyrzec niemogąc... Zjawisko znikło.

Na wschodach czekał na nią ten co ją wprowadził. Szybko posunęła się ku lektyce, gdy zapuszczając zasłonę w oknie jęj, ujrzała bladą twarz młodego wojskowego, który drżący i niespokojny w nią się wpatrywał.

Twarcz młodego oficera była piękną i arystokratyczną, pełną wyrazu, męztwa i energii; lecz w tęg chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom swoim nie wierzyć... Mimo dwóch tragarzów, którzy już lektykę podnosić mieli od ziemi, zbliżył się do okna.

— Księżna Urszulo — zawołał wzruszony — mamże oczom mym wierzyć, jestże to podobna? Wasze to widzę ukradkiem wyrrywającą się na jakąś schadzkę zapewne... Mówcie, zaklinam, całą prawdę mi powiedzcie, abym natychmiast siadł na koń i więcej nie wrócił, księżno! pani! Ja szaleję z miłości dla was... a wy...

Zakrył oczy...

— Wy szalejecie, to prawda! — popędliwie przerwała księżna, — szalejecie tak żeście ślepi, bo mogliście widzieć, że wychodzę od Hoyma, w którym się przecie zakochać nie mogłam.

Pochwyciła go za rękę.

— Chodź przy mnie, chodź z mną, nie puszczę cię aż się wytłumaczę; nie chcę abyś i książę mnie w tęg chwili opuścił i obwinil... toby już było nadto! tegobym już przeżyć nie mogła.

Piękne, załamane oczy księżnej zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniwała.

Pobiegł więc posłuszny za lektyką aż do pałacu, u wschodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszącemu jęj, aby siadł przy nięj.

— Widzisz mnie książę w gniewie i oburzeniu! wracam od tęg... od tęg, którą tu sprowadzili szkaradni nieprzyjaciele moi, aby króla zająć czémś nowém, aby mnie wygnąć, aby mój wpływ obalić. Słyszałaś już o Hoymowej?

— Nie słyszałem, — odparł młody książę (którym był Ludwik Württembergski) — nie słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony...

— Tak, umiano obudzić ciekawość w Augustcie, osnuto intrygę, — poczęła księżna ożywiając się coraz bardziej. — Widziałam ją, jest piękną... jest niebezpieczną, może być dwa dni królową...

— A! tęg lepiej! tęg lepiej! — porywając się z siedzenia zawołał książę Ludwik — pani będziesz wolną...

Teschen rzuciła nań okiem badawczém, młody chłopak zarumienił się, nastąpiła chwila milczenia. Podała mu rękę, którą on pochwycił i ucałował z zapalem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym... wpadła klaszcząc w ręce osóbką mała, nie piękna, nieco do księżnej podobna, chociaż o wiele od nięj brzydsza...

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać, mogła zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dziesięć więcej. Znać z niej było że nigdy świeżą nie była i mogła się też do późna nie zestarzeć. Nosiła jedną z tych twarzy, co są staremi w dzieciństwie i niby młodemi w starości. Szare jęj oczki, złe, szpiegujące, ostre, kręciły się i biegały, usta miała pełne szyderstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą gorączkową kwoczkę i nieznośną intrygantkę. Strój nadzwyczaj staranny i pstry, obmyślany był tak aby jedyną pięknosć jęj podnosił: figurkę zgrabną i w pasie przeciętą, nóżkę małą i kibić zręczną. Żwawo okręciła się na trzewiczku ku księżnie, klaskając w dłonie w chwili gdy zawstydzony książę Württembergski usta od ręki odrywał.

— *Bravi! bravissimi*, ale niechże ja nie przeszkadzam — krzyknęła ostrym głosem Baronowa Glasenapp — *nous sommes en famille*, niema się co mnie wstydzić. Siostrunia, bardzo słusznie rejteradę sobie zabezpiecza wojskową osłoną... bo... bo podobno zbliżamy się do chwili, w której przyjdzie rejterować z serca króla i dworu!! Dobry wódz zawsze sobie zapewnia drogę do odwrotu...

Mała ta zwinna pani, niecierpiana od całego dworu, który roznoszonemi plotkami starała się klócić i różnić, była Stolnikówna litewska, panna Bokunówna, rodzona siostra Lubomirskiej, żona (natenczas) barona Glasenapp'a, ale tylko z imienia, gdyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schulenburgiem.

— Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawno nie widziały, — rzekła papląc popiesznie — ale w chwili niebezpieczeństwa zjawiam się zawsze, tak i teraz... Słyszałaś Teschen, — dodała śmiejąc się złośliwie, — sprowadzili Hoymowę... Ja ją widziałam raz... wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreźnie i przepowiedziałam naówczas, że jak Helena trojańska komuś będzie nieszczęścia przyczyną... Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek jak Teschen, zawsze najniebezpieczniejsze... żywa, dowcipna, zła, dumna... a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone...

Rozśmiała się głośno...

— Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczęście, — poczęła nie dając nikomu przemówić słowa. — No! ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Würtbergskiego...

Młody chłopak stał zarumieniony i gniewny, Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

— Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

— Jeśli chcesz ja ci jego imię na ucho powiem, — przerwała zrywając się i biegnąc do siostry baronowa. Przyłożyła obie dłonie do ust i rzuciła jęj w ucho:

— Książę Aleksander Sobieski, nie prawdaż? ale ten się nie ożeni!! a Ludwiczek gotów, staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która przeglądając się w zwierciadłach, biegała już po pokoju..., oczyma śledząc dwie istoty, którym rozmowę z taką złośliwością podsłuchaną, przerwała.

— Jeśli Teschen będzie miała rozum — rzekła — może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięzko. Hoymowa prostaczka zrazi króla... spodoba mu się z twarzy, ale dumą go odepchnie; po niej Teschen znowu wyda się miłą i dobrą... Cóż robić, fantazyom króla trzeba umieć przebacać! Ci ludzie mają troski nadludzkie i nadludzkie przywileje... Przykro mi tylko — mówiła ciągle nieprzestając — że cię tak wszyscy już wzięli na zęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary, że Fürstemberg, a nawet szwagierek Vitzthum akyczie gotowi złote rogi przyprawić... Biedny Hoym!! jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabym za niego aby mu osłodzić wdowieństwo... Ale rozpustnik stary ani mnie, ani żadnej nie zechce...

W tém miejscu nieutamowanej gadaniny baronowej Glasenapp, książę Ludwik pożegnał się, a uścisk ręki jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczów bacnych Glasenappowej, która mu dygnęła z daleka.

Dwie siostry zostały sam na sam, milczenie trwało chwilę.

— Nie powinnaś tego brać tak tragicznie — poczęła Glasenappowa, ruszając ramionami — rzecz była doskonale przewidziana oddawna... Król się znudził blondynką... ty masz księstwo, masz Hoyerswerdę, masz miliony, brylanty, pałac po Beichlingu, wyposażenie dla syna... masz twą pięknosć, masz resztkę młodości... i księcia Ludwika, który

się z tobą gotów ożenić... Przyznam ci się że jeszczebym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulemburga w dodatku.

— Ale ja go kochałam — płacząc znowu przerwała Teschen.

— I to już przeszło... wiem! — odparła baronowa Glasenapp — kochaliście się wzajemnie ja sędzę najmniej pół roku, wśród którego on cię z dziesięć razy zdradził pocichu, a ty jego!!

— Siostro!! — zawołała z oburzeniem Teschen.

— No, ani razu!! A jednak, patrzcie, wśród tej miłości dla niego umiałaś sobie na zapas w odwodzie postawić Würtemberga i dziś gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną, jabym tego nie potrafiła... Ja, dopiero gdym się do podrapania skłóciła z Glasenappem, wyszukałam sobie Schulemburga. Mnie bo się nic nie wiedzie... i wszyscy mnie niecierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

— Słuchaj Lubomirska — ozwała się po chwili — królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych dyamentów... ostrzegam cię więc, byś swoje w bezpiecznym złożyła miejscu...

Spojrzała na siostrę, która się jęć zdawała nie słuchać.

— Będziesz dziś na balu! — dodała...

Wyraz bał, wstrząsnął Lubomirską która powstała nagle...

— Na balu!.. tak! — poczęła zamyślona — potrzeba być na balu... tak! pójdę, cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubej sukni... to by było... uderzające;.. lecz — powiedz Tereniu... będziesz mi żałoba do twarzy? — Glasenapp rozśmiała się.

— Niezawodnie... żałoba jest wszystkim do twarzy, lecz jeśli myślisz że tém rozczulisz Augusta i dworaków poruszysz, mylisz się mocno... Śmiać się będą! Oni tragedyi nie lubią...

— Bądź co bądź! w żałobie! pójdę w żałobie, powtórzyła Teschen... ale pójdę... stanę przed nim jak widmo milczące...

— A że Hoymowa będzie rumianą, wesołą i świeżą, znikniesz jak widmo niepostrzeżona.. Wierz mi... przeszłości powrócić niepodobna...

Spojrzała na zegar...

— A! jak późno! żegnam cię... do balu! Ja także będę na nim... ale na drugim planie, jako widz, który aktorom przykłaśnie... Bądź zdrowa!

V

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnej świetności strojów nie było się można domyśleć klęsk wojny, jaka kraj z Saksonią połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu: król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy dyamentowe, szpadę z wysadzaną niemi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśnjącymi dyamentów rosą... Majestatyczna jego postać jakby odmłodzona, promieniejąca, więcjby przystała zwycięzcy, niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacielem zawziętym...

Na sukniach pań błyszczały także mnogie klejnoty... a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowała. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie; August z galanterią i poszanowaniem na spotkanie jęć pospieszył, muzyka zabrzmiała fanfarą... Głównych aktorek dotąd nie było...

Już pan zaczynał brew olympijską marszczyć i oglądał się na Fürstemberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiałym, gdy u drzwi wchodowych, pomimo poszanowania dla osoby króla dał się słyszeć szmer tłumiony... Ludzie rozstępować się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... Fürstemberg szepnął. — Idą!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, zżółkłą, smutną twarz hr. Hoyma, który wiódł pod rękę żonę...

Nigdy może na tym dworze nawykłym do oglądania piękności, bardziej olśniewająca postać się nie ukazała.

Hr. Hoym wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowej na czele, nieulękniona, spokojna, poważna, piękna tak, iż z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwała. Król trzymał w nią od wniścia wlepione oczy... ale się z jęć wzrokiem nie spotkał... Mając być przedstawioną królowej, dała się wieść ku niej, nie zdając wcale być

przejętą blaskiem tego dworu, ani Apollińską pięknnością króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłej przedstawił. Zniecierpliwieniem drgnięciem odmalowało się na pańskiej twarzy...

Hoym jak skazany na śmierć winowajca wiódł żonę... Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się jego męczarnią, wcale nie tajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanej co chwila inaczej. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jej wdzięcznie ale z litością, jakby nad losem tej piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jej piersi...

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął...

Księżnej Teschen nie było jeszcze... Z innych pań nie brakło żadnej i chora nawet panna Hülchen, owa Egeria Augusta przemogła ból, aby nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwykle zapowiedział: rozstąpili się widzowie... król zwrócił oczy... w progu stała jakby wahając się czy ma wejść, księżna Teschen.

Ubrana była cała w czerni żałobnej... August ujrawszy ją, zniecierpliwiony nieco pospieszył na spotkanie.

— Kogóż to księżna straciłaś! — zapytał szydersko — że się nam zjawiasz w tych szatach tak do zabawy niestosownych?

— Ciebie N. Panie — cicho odpowiedziała Urszula — i to nie od dziś dnia...

Oczy ciekawych zrazu zwrócone na księżnę, wprędce ku Hoymowej znowu się skierowały... Kobiety nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczając temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posągowej piękności swjej... Czarne jej oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźnie przyświecały sali balowej, lecz obok nich ginęły wszystkie inne... jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty... W chwili gdy hr. Vitzthum oderwała ją od brata, zbliżył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstembergowi aby podszedł ku nim.

— Kochany hrabio — rzekł — sprawa wasza z księciem rozsądzona... wygrałeś tysiąc dukatów, Fürstemberg jutro ci je zapłacić powinien... Winszuję więc wygranę i żony. Jest ona niezaprzeczenie najpiękniejszą na naszym dworze... *Vox populi* mój wyrok potwierdzi pewnie... szczęśliwy Hoymie!

Patrząc jednak na Hoyma przyjmującego z głową spuszczoną, w pokorze to powin-szowanie, trudno się było domyśleć, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawiał on raczej obraz upokorzonego, zgnębionego, własną winę odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie... Fürstemberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla...

— Widzę N. Panie — szepnęła niedosłyszonym głosem — że wyrok królewski i skrzypki za pana mego zapłacić muszę...

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

— Nie skarż się Fürstemberg, płac tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastreczył widzenie takiego arcydzieła natury... — rzekł król...

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegli ją już wszyscy; postrzegł to August i wedle zwyczaju, by osłodził każdemu upadek, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnie. Wielkie było zdumienie nieobeznanych z obyczajami dworu, gdy ujrzeli N. pana idącego w tę stronę. Wprawniejsze oko hr. Reuss i panny Hülchen, dojrawszy ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

— Teschen upadła! — rzekła hrabina cicho do towarzyszki — król poszedł ku niej...

Starzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu niełaski Beichlinga ściskającego kanclerza, zrozumieli także co ta czulość dla ks. Teschen znaczyć miała. August okazywał jej więcej niż kiedykolwiek przywiązania i szacunku...

— Wiesz pani — rzekł — przyglądając się jej czarnym sukniom i kwefom, jesteś dziś tak piękną mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniej warszawski, gdy mę widział zemdloną z trwogi o mnie...

— Ale Hoym! Hoym jest piękniejszą odemnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia, nieprawdaż? — ozwała się księżna ironicznie.

— Hoymowa może być sobie piękną, jak chce i najpiękniejszą — odparł August: — są rzeczy od piękności piękniejsze, to piersi w których czułe biją serca... Kochana księżno... nie rób z siebie widowiska... wróć do domu, włóż suknię niebieską w której ci tak do twarzy i czekaj na mnie z wieczerzą...

Na lice blade księżnej Urszuli wystąpił rumieniec żywy.

— Królu mój! panie mój! — zawołała zapominając się — miałaby to być prawda? August moimby pozostał...

— Proszę cię... nie wążp o mnie — dodał poważniej król — na cóżbym miał kłamać?

W istocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoym, zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem nappełniła jakąś trwogą. Charakter energiczny tej kobiety malował się w każdym jej ruchu, wejrzeniu, skinieniu; czuł on, że przy niej część swęj potęgi u nóg Omfalii złożyćby musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię panie i mrę z żalosci... Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów król miał do syta... Dlatego pospieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jej tracić i poddać się przeczowanemu jarzmu kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przybranie głowy, krój sukni, dobór barw, podnosiły nadzwyczajną jej piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, noskiem małym, drobnymi usty, oczyma wielkimi, czarnymi i niezmiernie wyrazistymi, z rysami delikatnymi, z bujnymi czarnymi warkoczami. Ręce, popiersie, kibić, odpowiadały twarzy, po której bladość i rumieńce żywe zmieniały się, wchodząc i znikając w mgnieniu oka...

Wystawiona na wejrzenia kilkuset osób Anna Hoym wcale niemi nie była zmieszana; w pierwszej chwili milcząca i poważna, oswoiła się wnet z dworem tym i blaskiem, który się jej wydał rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dochodził świetnością drezdeńskiemu, lecz formy w obu znalazła też same...

Księżna Teschen usłuchała natychmiast rozkazu króla, tryumfująca niemal znowu, rzuciwszy okiem omdlałóm ku niemu, wysunęła się z sali. Po małej chwilce August stał u krzesła hrabiny Hoym. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna spostrzegłszy go powstała. Żądał aby usiadła... usłuchała go nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nieco ustępowali, aby mu swą ciekawością nie byli natrętni i tym razem odeszli wszyscy, a hr. Hoym także pociągnięty z lekka przez Vitzthuma, który właśnie tę chwilę dobrał, aby z nim o czém ważnym się rozprawić — odejść musiał.

— Hrabino, jesteś piérwszy raz na moim dworze — ozwał się król grzecznie pochylając ku niej — lecz jej ukazanie się prawdziwym dla niej jest tryumfem. Cieszę się tu nową gwiazdą na mojm niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

— Najjaśniejszy Panie! wśród ciemnej nocy lada ognik czasem się wyda gwiazdą, lecz po chwili zagasa. Umiem cenić łaskę W. K. M., lecz tylko łasce przypisuję te wyrazy.

— Powtarzam tylko co dokoła słyszę! — odparł August.

— A! N. Panie — śmiejąc się dodała Anna — ludzie zwykle widząc po raz piérwszy, źle widzą. Nowość bawi... to tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak jak piérwszego dnia wydaje.

Królowi zdało się iż piękna pani przymawiała mu, przypominając grzeczność okazaną ks. Teschen — zamilkł chwilę.

— Pani jesteś nazbyt skromną — rzekł.

— O! nie N. Panie — żywo przerwała Anna — do piękności nie przywiązuję wagi.

— Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę — rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jej nie odstępował.

— Po długiej samotności, którą Hoym, ten niegodziwy męczył panią, kryjąc swój skarb — mówił po chwili August — dwór się jej dziwnie wydawać musi.

— Bynajmniej — zawołała Anna — młodość moję spędziłam na mniejszym wprawdzie, lecz dającym zmniejszony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia; wszystkie one N. Panie są jedném.

— Czém? — spyta król.

— Doskonale graną komedią — odpowiedziała Hoymowa.
 — A ja jakąż w niej gram rolę?
 Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.
 — Być może dyrektora trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.
 August zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:
 — Znajdujesz pani że tu jest wszystko udaniem?
 — Jakżeby mogło być inaczej? — westchnęła Anna — królowie prawdy nie słyszą...
 — Być może, mówił August, i dlatego szukają często i serca i ust, coby im spragnionym choć krople tego nektaru dać mogły.
 — A znajdują — dokończyła Anna — tylko może usta, co zręcznie nad inne umiejają łączyć truciznę.
 — To mi dowodzi — odezwał się król grzecznie — iż pani nie lubisz ani dworów wielkich, ani życia na nich... i smuci mnie bardzo, bom sobie wiele obiecywał zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczów, trochę posępne dni naszych niebo wyjaśniła.
 — Najjaśniejszy Panie — odparła żywo Anna — byłabym tu fałszywą nutą: nie umiem tak śpiewać jak inni.
 Dla przerwania tego toku rozmowy, król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającymi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepiej daleko znał charaktery, skłonności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.
 — Widzisz pani — dodał kończąc — że ta komedia dworska dla mnie niema pono tajemnic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje że mnie oszukują, że mną kierują, że mnie oślepić mogą.
 — Tak bogowie patrzą na ziemię — zakończyła Hoymowa.
 Król z bogów zdawał się zadowolony. Pierwszy raz gdy to mówiła wzrok jój spotkał się z wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródki uwielbienie i zapal. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.
 Po tej rozmowie król odszedł zwolna. Badano go zdaleka, Fürstemberg pierwszy się znalazł na drodze.
 — N. Panie, jeśli śmiem spytać teraz czy najpiękniejsza jest także...
 — Najdowcipniejszą — dokończył król. — Hoymowi powiedzieć trzeba, ażeby się nie ważył żony z Drezna zabić. Nadzwyczaj miła... trochę jeszcze dzika, ale to przejdzie z czasem.
 Hoym spoglądał zdaleka... Jemu najtrudniej było odgadnąć myśli Anny, do której teraz z pośpiechem nadbiegły hr. Reuss, panna Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.
 Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.
 — Już się kłaniają wschodzącemu słońcu — szepnął do Fürstemberga — lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrygantki. Fürstchen spojrział zdziwiony.
 — I ty się mylisz i one się mylą — rzekł August spokojnie nachylając się mu do ucha.
 — Hoymowa śliczną jest, od stóp do głów ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony... ale nadto energiczna i bystra i zbytby panować chciała. Kilka dni miłego z nią stosunku to dosyć... nie dobijam się o nic więcej. Piękność mnie nęci — charakter przeraża.
 Fürstemberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł dalej.
 W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach po nad ściśniętym tym tłumem. Oczy jój niespokojne chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niej, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego w tłumie co ją otaczał. Dopiero po odejściu króla odetchnawszy nieco swobodniej, zadumana, przyglądając się ludziom co ją otaczali... przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.
 Wzrok jój zatrzymał się na twarzy bladej długo i pobladła sama zmieszana nieco. Niepewna czy się nie myli, spojrziała znowu... znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie... Nie było wątpliwości, milczący jój wielbiciel z Laubegast przywłókł się aż tu za nią. W wyrazie jego twarzy zdawała się czytać politowanie, smutek, trwożę.
 Ta głowa nieznanego niepokoila ją sobą... co chwila biegła oczyma szukać jój, pragnąc ażeby znikła, i znajdowała jak kamienną, jak do muru przyrosłą, jakby trupią, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biędne to oblicze jakiegoś

włóczgi więcej ją zajęło niż jaśniejsze królewskie, niż nadskakujące jęj dworacze — na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czuła że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczeń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata...

Był-li to oczekujący godziny wyroku kat, czy chwili skazania czekająca ofiara, Anna nie wiedziała; lecz mówił jęj głos jakiś wewnętrzny, niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią, snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo tkwiła nad nią ta blada głowa, w której oczy lyskały i gasły; stawała się coraz straszniejszą, coraz bardziej przerażającą... ilekroć wzrok jęj utkwiony w siebie spotkała, dreszcz po niej przebiegał.

Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jęj jękiem.

W takim usposobieniu zastał ją kwaśny i żółkły Hoym, który rękę podał do wyjścia. Los chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i tłumowi, po nad którym widziała owo widmo dokuczliwe... Ludzie się rozstępowali przed nimi. W chwili gdy przechodzili próg, spojrziała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany... nieznanego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego z obawą spoglądając nań, chłopak spotkawszy jęj oczy, przypadł jakby nieumyślnie na jedno kolano: czuła jak chwycił kraj sukni jęj i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę już go nie było.

Przed nią stała hr. Reuss i prosiła Hoymów na wieczerzę do siebie, tak uprzejmie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstemberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małym kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egeria Hülchen dojrzałych lat panna, której król słuchać lubił i rad jęj zasięgał; tu się gromadzili ci co pragnęli władzy lub chcieli się przy niej utrzymać. Król August śmiał się z tęg klikli, ale niewidzianymi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss z domu Friesen należała do głównych postaci działających u dworu Augusta II. W jęj domu odbywały się najważniejsze narady dotyczące się obalenia jednych a podniesienia drugich faworytów pana; tu przepowiadano nieochoybie łaski jakie miały spotkać piękne panie i przeczuwano najtrafniej chwilę, gdy niestały król affekta swe miał w inną stronę obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hr. Reuss przeczuwając nową faworytę, zawsze zabiegała naprzód by jęj względy i zaufanie pozyskać; raziło go więc nadskakiwanie hrabiny widoczne, każące się domyślać iż w Annie widziała zastępczynię ks. Teschen, okazać jednak gniew i to że grę zrozumiał, ani mógł ani chciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udał więc Hoym iż nic nie widzi, nie domyśla się niczego i poszedł na wieczór do Reussowej.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopiero, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jęj przyjaciółka, Fürstemberg i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o gałgankach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechnym czułość króla dla Teschen, zwiastowała pewne z nią rozstanie. Z wielu względów jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jęj stosunki z Sobieskimi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocniej potrzebował.

W gabinecie Reuss spytała przyjaciela Fürstemberga, o rozmowę z królem, o wrażenie jakie na nim uczyniła Hoymowa.

— Znam dobrze mego pana — odezwał się Fürstemberg — a szczególnie jęj usposobienia dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstręczyło chwilowo, ale piękność jęj przemawia do jęgo zmysłów, a zmysły zawsze nad nim biorą prędkiej czy później przewagę; lęka się jęj i tęg goręcęj pragnąc będzie... a czego chce, to mieć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonną do odegrania roli łatwęg kochanki; wypotrzebuję swę siłę gdy ją zdobędzie, niema wątpliwości iż król się podda.

— Sądziš więc że jęj panowanie nadchodzi..?

— O ile go znam, myślałbym iż się ono zbliża; król w tęg chwili pragnęłby fantazyę zaspokoić, ale w związku trwale nie wchodzić: od niej zależęc będzie jak swę sprawę poprowadzi.

— Domyślasz się księżę jęj charakteru?

— Tylko przeczuwać go można — rzekł Fürstemberg — sędzę że ani mąż, ani najbliżsi jój nie znają, a może nawet ona sama siebie taką jaką będzie gdy okoliczności ją wyniosą. Dziś jest to kobieta dumna, szlachetna, charakter energiczny... dowcip żywy... zdolności wielkie.

— Ale daż ona wpływać na siebie i kierować? — spytała Reuss.

Książę się zamyślił.

— Wiem tylko to — rzekł — że z rozumnymi wolę mieć do czynienia niż z temi co nie wiedzą co czynią.

Stali jakiś czas milczący, Reuss dała mu znak aby wyszedł, zadumana przeszła się razy kilka po gabinecie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak, iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka, wprowadziła nareszcie do gabinetu i posadziła przy sobie.

— Kochana hrabino Anno — rzekła poważnie kładąc jój rękę na kolanach — jeśli masz cierpliwość i pobożanie dla stariej przyjaciółki, posłuchaj mnie i pozwól mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyszy, jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dostyc znasz i dwór i czasy i siebie ażebyś się domyśliła że nie darmo chciano twojego przybycia do Drezna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kimś kochać, to jest jego naturą... bądźmy pobożający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tę jego słabość wybacza, źle czy dobrze, ale tak jest i inaczej być nie może. Nam, co króla otaczamy pozostało jedno ze złego tego tyle, ile można dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zająć najświetniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości... ale trzeba się spieszyć i wiedzieć co czynić.

— Kochana hrabino — rzekła Anna — ambicyi nie mam, w bogactwach się nie kocham: mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

— Nicbym przeciwko temu do zarzucenia nie miała — uśmiechając się mówiła Reuss — ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla którejbyś męczennicą zostać miała. Hoym jest nie miły, zużyty, rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje; kochać go niepodobieństwo: prędzej czy później odezwie się serce.

— Stłumię głos jego.

— Raz i drugi, ale przyjdą lata tęsknoty i znużenia... rzucisz się w objęcia czyjeś z rozpacz i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolój nasza; król jest miły i piękny, życie z nim może być rajem.

— Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiej miłości chwilowej, kaprysu, nie pojmuje, brzydzę się nią, odpycham! To nie dla mnie.

— Słowo kochana Hoym — rzekła Reussowa — związki te zawsze się obiecują być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one zrywają. Naprózno byś go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niej go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy księżyna. Rękojmią trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Męża czy kochanka trzeba umieć utrzymać u nóg i związać: to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

— Biędna to miłość którą na paskach i wędzidłach trzymać trzeba — zawołała — takiej nie chcę.

Szczerość za szczerością, kochana hrabino — rzekła cichszym głosem — mnie nic nie potrafi ująć serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskaćby mnie można... a w chwili gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy umiłowanym; a ten co mnie kochać będzie, musi być mężem moim.

— Ależ król! król!

— Choćby i królem był! — zawołała Hoymowa.

— Przecież wiesz, iż król jest żonaty, chociaż z żoną nie żyje.

— Musiałby jój się wyprzysiądz, a mnie przysięgać — dokończyła Anna. A! taką jak Esterle, Königsmarck, Teschen, ja nie zaspokoję się rolą.

Wstała mówiąc to i majestatycznym krokiem przeszła się po pokoju; Reussowa zamilkła: nie było już co mówić więcej.

— Uczynisz jak ci się zda i zechcesz — rzekła — ja jako dobra przyjaciółka miałam za obowiązek cię przestrzedz i dać dobrą radę; zostanmy więc dobrymi przyjaciółkami i nie mówmy o tém: dodam tylko słowo:

Stanowisko którym wzgardzasz i o którym mówisz z taką obojętnością, nie jest tak nikczemnym i podrzędnym jak sądzisz. Królowie kłaniać ci się będą, możesz rządzić krajem i wielu złemu zapobiedz; ludzi ratować i czynić szczęśliwych... to przecież coś warto.

— Honor mi droższy nawet nad to wszystko — odezwała się Hoymowa — nie mówmy o tém.

Reussowa w milczeniu rękę jęj uściśnęła i w istocie nie mówiąc już więcej wyszły razem z gabinetu! Kobięty znajdujące się w salce spojrzęły na nie chcąc coś z twarzy odgadnąć. Anna była purpurową, a Reussowa jak pargamin bladą, obie jednak uśmiechały się łagodnie, jak gdyby burza przeszła i zostawiła po sobie pogodę żadną chmurką niezacmioną.

Pod oknami mignęł blask pochodni towarzyszących wieczorami powozom króla, Fürstemberg się wychylił; król to w istocie jechał znudzony do Teschen i wydawał się w blasku tych świateł smutny, jakby był skazany na najcięższą karę. Zobaczywszy w oknie a raczej domyśliwszy się przyjaciela, August dał mu znak ręką rozpaczliwy i powozy znikły na zakręcie ulicy.

VI

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naówczas miejsce odpowiadające dzisiejszemu ministrowi skarbu, nie miał przyjaciół ani u dworu ni w kraju. Nienawidzono go szczególnie za wprowadzenie, po tylu innych uciążliwych, najuciężliwszego podatku akcyzy. Sasi bronili się o ile mogli i umieli, opierali się królowi, a król, któremu nigdy nie starczyło na nieobrachowane jego wydatki, ukrywał źle gniew jaki wzbudzał w nim ten upór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawić reszty praw i otoczyć obcemi, którzyby żadnych z nią stosunków i z krajem nie mieli.

Rady tęj w części już usłuchał August II-gi i większa część jego ministrów i ulubieńców wziętą była z obcych krajów... Włosi, francuzi, niemcy z innych prowincyj grali tu główne role. Hoym, człowiek zimny, niezblągany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych dochodów dla króla, który to na Polskę, na wojsko, to na ucztę i na ulubienice miliony tracił, z powodu zręczności tęj w wyciskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie dowierzał, przykład Beichlinga i kilku innych czynił go ostrożnym... wypatrywał tylko chwili gdy będzie mógł naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec z pod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał zblizka, wiedziano że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwięzły i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale ani gorąco do nikogo. Najlepiej ze wszystkich znała go może siostra hr. Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobywała z niego co jęj było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Koenigsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miał tylko sprzymierzeńców... Nienawidził go marszałek Pflug, niecierpieli inni: Fürstemberg był z nim źle także.

Gdy po zakładzie, kazano Hoymowi żonę przywieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden, śmiano się raczej i przedrwiwano.

Nazajutrz po balu Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincyi. Szczególniej na Łużycach coś się tam szlachta głośno przeciwko nięj opowiadała... Król żadnego oporu nie znosił. Po raporcie Hoyma... namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

— Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast. Każ krnąbrnych rozpędzić, dośledź tych co stoją na czele i w mojem imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast bez żadnej wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dalece, ani nawet pożyteczną, chciał zrazu króla przekonać iż mógłby się kimś wysłużyć i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

— Nie ma ważniejszego nic nad złamanie oporu tych pyszałków, którym się zdaje, że ja z nimi w układy wchodzić mogę... Jedź waćpan natychmiast, weź dragonów z sobą... Jeśli się poważą zgromadzać, rozpędzić sejmiki... Powiedz im by się nie zapatrywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy radę wkrótce szlacheckiej bucie...

Hoym jeszcze chciał się tłumaczyć, lecz August nie słuchał, powtórzył po kilkakroć:

— Jedź natychmiast! natychmiast. Wreszcie, popatrzał na zegar. Za dwie godziny powinieneś waćpan być na drodze do Budziszyna... chcę tego i tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko było po pijanemu, naówczas kto się nie lękał aby go udusił, ścisnął go, całował, a inni i popychali; August śmiał się: na trzeźwo miał jedną wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce nazajutrz po balu nadzwyczaj była podejrzaną, znając króla i dwór i to co się tu działo był pewnym, że wypędzano go umyślnie aby do jakiejś intrygi nie zawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? nic. Powierzyć siostrze dozór, było to pijakowi dać klucz od piwnicy... przyjaciela nie miał, stał bezbronny... Czuł że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do pałacu, rzucił papiery o stół... rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni; otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł jak opętany do nowego żony apartamentu.

Była samą. Ciekawym okiem zmierzył pokoje, ją, najdrobniejsze otaczające przedmioty. Złość malowała się na bladej jego twarzy... Anna patrzyła nań spokojnie będąc nawykłą do scen podobnych.

— Ciesz-że się pani... — zawołał — byłem tak głupi żem ją tu sprowadził, teraz robią ze mną co chcą... Zawadzam im do intryg, król mnie odprawia precz; muszę jechać za godzinę. Zostaniesz pani samą...

— I cóż to ma znaczyć? — pogardliwie odpowiedziała Hoymowa — czy straży waćpana potrzebuję dla upilnowania mojego honoru?

— Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zuchwaltwa ich i bezwstydu — krzyknął Hoym stukając o stół pięścią. — Nie wyprawialiby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tém wszystkim czuję palce kochanego Fürstemberga, który mi dziś śmiejąc się szydersko tysiąc dukatów zapłacił, a wiem że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl, sprowadzenia tu méj jejmości.

— Hoym! — krzyknęła podnosząc się Anna, której oczy zaiskrzyły się — dosyć tych obelg, idź... jedź... rób co chcesz... zostaw mnie w pokoju. Sama się obronić potrafię... Dość tego, powiadam ci, dosyć mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypominał mu nadchodzącą odjazdu godzinę.

— Nie potrzebuję panią ostrzegać, — zawołał — wiesz co ją tu czekać może, dodam tylko że bezcześci nie zniosę... Wolno Vitzthumowi i innym pobłażać, ja nie mam ich dobroduszości.

— Ani jam tak nisko upadła, panie Hoym, — przerwała Anna — jak te panie... Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżyła: jeśli życie jeszcze mi nieznośniejszém uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno...

Hoym nie odezwał się więcej. Zdawał się u progu wahać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukano do drzwi, królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu...

Z zamku śledzono chwilę gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał... posłano za nim aby pokryjomu nie ważył się wracać... Wedle ułożonego planu hr. Reuss miała do siebie zaprosić Annę; król mógł tam przybyć niespodzianie, *incognito*... Vitzthumowa została zaraz wyprawioną potajemnie dla spełnienia téj missyi, ale Anna odmówiła stanowczo. Napróżno zapewniano ją, że nikt w świecie o jój bytności wiedzieć nie będzie; domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz wypowiedziała to siostrze mężowskiej.

— Jesteś nadto domyślna i ostrożna — rozśmiała się Vitzthum, — ażebym kłamać chciała przed tobą; byćby mogło iż król ciekawy poznać cię bliżej, a wiedzący o każdym ruchu i kroku... zjawiłby się u Reussowej. A jeżeli dla nakarmienia téj ciekawości przyjedzie tu do ciebie, do pałacu, cóż zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przywoiciejże to będzie i piękniej, gdy sam na sam z tobą spędzi kilka godzin?... Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobladła.

— Ale król nie może być tak... — zabrakło jój wyrazu — tak... natarczywym, król będzie miał wzgląd na sławę moją! to być nie może! toby było...

— Ja ci powiadam że może być wszystko... że król jest znudzony i ciekawy i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go uległością swą despotyzmu... Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowej nie bédziesz...

— Wieszże ty o tém? — spytała Anna — zkąd?

— Ja nie wiem nic ale znam mego pana, — śmiejąc się dziwnie szepnęła Vitzthum — pamiętam pewien wieczór... własnego życia... — To mówiąc westchnęła...

Anna załamała ręce. — A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być potrzeba?.. Znajdę sztylet i pistolety... ani żelaza, ani prochu się nie lękam...

Rozdrażnioną wielce Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie strachy obrócić.

— Powinnaś wiedzieć to — rzekła — że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobiety się nie splamił. To nie jest w jego charakterze... uprzejmy, grzeczny, natarczywy, zbyt jest pięknym i miłym by się do takich środków miał uciekać...

Po długiej rozmowie Vitzthumowa zdołała ją nakoniec nakłonić aby razem wieczorem do Reussowej jechały. Z tą tryumfalną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstemberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział że na chwilę pojedzie do ks. Teschen, a powracając ekwipaże do zamku odeśle z pochodniami, sam zaś lektyką, którą Fürstemberg miał kazać nagotować, *incognito* zanieść się każe do hrabinę Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg tej wielce, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwej historii; musimy skreślić czytelnikowi, równie wierny wizerunek bohaterki naszej, Anny hr. Hoymowej.

Była sierotą, samą na świecie, wyszła za mąż zmuszona a przynajmniej niechętna... pożycie jej z mężem wprędce stało się nieznośnym, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każda inna w jej miejscu radaby była skorzystać z następczącej się swobody, świetnego losu choćby nie trwałego, który potem zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłąd chwilowy; ale Anna wychowaną była w surowych niegdyś zasadach, oburzało ją to lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczej jak skutkiem *miłości* króla i dla króla i... *wiekuistego z nim ślubu*...

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko... Chcieć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płochego jak August, zdawało się czystym niepodobieństwem. Anna widząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała że to jest możliwem.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jej podobać bardzo; blask korony i potęgi dodawał mu uroku, nie dziw też że Anna miała dlań sympatyę, że jej serce uderzyło. Pomimo iż czuła że z nimby być mogła szczęśliwą nie przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczej jak małżeństwem i przysięgą urzeczywistnić się mogło...

W tych kilkunastu godzinach jakie od bału upłynęły, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg mających na celu zbliżenie jej do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, ważyła i powiedziała sobie:

— Mogę być jego, lecz muszę być królową. Opór jej Vitzthumowej był raczej już obrachowanym niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą, mając niezmiennie postanowienie raczej zerwać wszystko, niż stać się igraszką intrygi. Czuła się silniejszą nad nią, zwierciadło pokazywało jej urodę i krasę młodości, w oczach króla czytała wrażenie jakie na nim uczyniła: postanowiła korzystać z tego...

— Nie spodzę się nigdy! — wołała sama do siebie — raczej zostanę nieszczęśliwą Hoymową, niż Augusta kochanką: będę jego żoną lub mu obcą...

W tém wszystkiem było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki... Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobieta roiała... a marzenia są niebezpiecznymi towarzyszami w samotności.

Niekiedy rumieniąc się sama przed sobą przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny...

Duma i chęć panowania budziły się w niej zwolna i duszę skłonną do poddania się im, opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina w której miała się ukazać na wieczorze u Reussowej, Anna ubrała się jak najstaranniej, z niewymuszoną ale smakowną elegancją. Moda

wieku dozwalała jej cudnych kształtów ręce obnażone do ramion i prześliczny tok karczku, i utoczone marmurowe odsłonić popiersie... Cera nie potrzebowała bielidla ani różu, była świeżości wiosennej, a krew to ją obléwała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białość. Czarne krucze sploty włosów utrefione wdzięcznie podnosiły jeszcze blask płci przejrzystej i jak atlasy delikatnej. Lecz wszystko to było niczym przy oczach pełnych ognia i uroku czarodziejskiego... Oczy te, gdy się wpiły w człowieka, mogły go doprowadzić do szału, mówiły więcej niż ona sama kiedykolwiek usta wysłowić mogła. Był w nich ten nieokreślony wdzięk tajemniczości, niezbadany, nęcący, niepokojący, który ciągnie jak wejrzenie bajecznego bazyliuszka, co jednym zabijało błyskiem.

Przejrzawszy się w zwierciadło Anna znalazła się sama tak piękną, iż się swęj postaci uśmiechnęła... Ubrana była czarno, a ponsowych wstęg pęki odżywiały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa która zajechała po nią, ujrawszy ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jej korony nie byłoby jej dziwiło...

— I ty mówisz — zakrzyknęła ręce łamiąc — że chcesz w zaciszu przemęczyć się z moim bratem... a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?

— Już ciż — odparła zimno Anna — żadna kobieta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

— Ależ ty mistrzyni wielka i rady do stroju nie potrzebujesz... No, jedźmy...

Ten sam okrzyk i ciche szepty radośnie przywitały ją u pani Reuss. Piękność jej która na balu była już zwyczajką, tu wydawała się promieniejącą. Wszystkie te panie co się nie wyrzekły były pretensy do wdzięku, poczuły się teraz staremi i zwiędłymi. Anna o której wiedziano iż ma lat 24, wyglądała na ośmnaście. Była to Dyanna starożytna z całą swą dumą dziewczicą i surowością leśnego bóstwa, co się zdala od oczów tłumu schowało...

Nikt się tak nie cieszył jak hr. Reuss, bo jej widokom odpowiadało to najlepiej. Annę otoczono kołem, zawczasu czcząc ją jak królowę i starając się jej łaski pozyskać. Fürstemberg poprzedzający króla na chwilę, zobaczywszy Hoymowę osłupiał.

— Znam króla — rzekł — ta kobieta zrobi z nim co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wcale jej uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu już szukał tej którą chciał widzieć, ujrawszą ją zarumieniał się, pobladł, zmieszał i zapomniawszy o gospodyni, przybiegł ją najprzód przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskiej, milionowych strat, zdrad i zawodów.

Anna przywitała go zdala ceremonialnie i chłodno, ale strój już sam mówił wiele. Chciała się podobać, to było oczywistym, i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrażenia król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i względów należnych płci pięknej. Chociaż niecierpiał hr. Reuss, usiadł przy niej na chwilę rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczów od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchen... potem uśmiechnął się do Vitzthumowej, na okół obdarzył wejrzeniami i galanterią wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonialnego obchodu, pani Vitzthum miała czas ująć bratową pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiejś pilnej ciekawej rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego *tête a tête*, bo jak tylko August ukazał się w progu, i zagał kilką słowy rozmowę z Hoymową, pani Vitzthum poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprawdzie otwarte i podniesiona portiera dozwalała przechadzającym się po salonie paniom oglądać zdala oblicze N. pana, ale nikt nie mógł ztąd posłyszć co mówili między sobą.

August już dziś wczorajszej obawy zapomniał, widocznie był rozplamieniony.

— Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą a zupełnie inną niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką... — zawołał nie hamując się wcale. Hoymowa się skłoniła.

— N. Pan tak znanym jesteś ze swęj pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpochlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć — odezwała się Anna.

— Wymagasz pani przysięgi! na wszystkie bóstwa Olympu przysiędz jestem gotowy... Tak pięknej kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się nielitości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojej akcyzy.

Anna mimowoli się rozśmiała, pierwszy raz z pod warg różowych, wyszedł rząd białych jak perły ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całej jej fizygnomii, stała się

jeszcze bardziej uroczą... Dwa małe dołki, jakby wycelowane ukazały się na rumianych policzkach i znikły... Twarz oblana chwilę karminem... bladła zwolna i przechodziła w ton jakby blaskiem wewnętrznym ogrzana...

Król spojrzął na ręce, a namiętnie lubił piękne ręce całować, i ledwie się mógł powstrzymać od przyciśnięcia ich do ust. Były to arcydzieła snycerskie... W głowie mu zawracać się poczynało...

— Gdybym był tyranem — zawołał — Hoymowi-bym wrócić tu nie pozwolił, bom zazdrośny o tego Wulkaną...

— Wulkan jest też zazdrośny — odparła Anna...

— A Venus przecież go kochać nie może? Milczenie było odpowiedzią: długo król czekał.

— Jeśli nie miłość, są inne kajdany co więżą silniej może nad nią: łańcuchy obowiązku i przysięgi.

Król się uśmiechnął.

— Przysięgi w miłości.

— Nie N. Panie, w małżeństwie.

— Ale są małżeństwa świętokradzkie — rzekł August — a za takie uważam gdy się piękność łączy z taką nieznośną szpetotą... Bogowie naówczas złamanie przysięg rozgrzeszają.

— Ale duma ich skruszać nie dopuszcza.

— Surową pani jesteś.

— Więcej niż się może zdaje W. kr. mości.

— Przerażasz mię hrabino..!

— Was N. Panie? — uśmiechając się poczęła Anna... — nie sądziłam abyś W. Kr. mość miał się tém choć cokolwiek czuć dotkniętym... Cóż ta surowość może pana mego obchodzić?

— Więcej niż się pani zdaje — podchwycił król własne jęj powtarzając wyrazy.

— Tego zrozumieć nie mogę — szepnęła pocichu Anna.

— Jakto? więc pani nie chcesz widzieć tego, że ja od wczoraj, pierwszym jęj wejrzaniem zostałem podbity?

— Moja zdobycz — odpowiedziała Anna — zapewne nie potrwa do jutrzejki... W. K. M. dzielisz tę sławę z bogami, że łatwo kochać i zapominać umiesz...

— Nie — zawołał król czule — wierzaj mi pani, potwarze to są... Cóżem winien że nigdy nie trafiłem na serce, na umysł, na piękność coby mnie stale przywiązać mogły. Nie ja niewiernym jestem... mnie zdradzają. Codzień spada z tych bogiń jedna zasłona... codzień gaśnie urok jeden... cud staje się powszedniem zjawiskiem, anioł traci skrzydła... a w sercu zamiast miłości znajduję zalotność i chłody... Cóżem winien...?

Wierz mi pani — dodał unosząc się coraz — ja szukam do kogobym całe życie mógł należeć, komubym mógł zostać wiernym; gdybym znalazł to serce, tę kobietę... oddałbym się jęj cały.

— Trudno temu uwierzyć — szepnęła Anna — a trudniej jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość coby W. K. M. godną była.

— Wierz mi pani — przerwał August — że ją w téj chwili w was widzę...

— Po dniu białym, niestety, inaczejbym się wydała, ani mi łaska W. K. M. zawrócić może biedną głowę, bo się jęj czuję nie godną.

— Pani jesteś zachwycającą! — zawołał August — sięgając po jęj rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała; król pochwyciwszy białą rękę pieścił ją i całował tak długo, że nareszcie, z całym poszanowaniem dla J. K. M., Anna w płomieniach stojąc by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała z lekka ją wyrwać...

August wstał cały wzruszony.

— Nie mogę się od pani oderwać — rzekł — będę zapewne musiał w pomoc niedołącznym zapałom, które jak widzę, żadnego na niéj nie czynią wrażenia, wezwać moją władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją... Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jęj może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokończył. Anna nie myślała się jakoś wstawiać...

Rozmowa byłaby przeciągnęła się nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, niewiadomo z jakiego powodu przyspieszywszy wieczerzę cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowej. Był to raczej podwieczorek tylko na sposób włoski, złożony ze słodczy, owoców i wina... Król najpierwszy kielich wychylił za zdrowie żony ministra... Fürstemberg baczna na N. pana zwracał uwagę...

— Teschen przepadła! — rzekł na ucho Vitzthumowej.

— I mój brat także! widzę to jasno — szepnęła piękna pani — byle bratowa rozumiała...

— Byle go nie miała nadto... — dodał Fürstemberg. Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie; król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jęj pono głowy zawrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym...

Po tęg *collazione*, od której wstawał każdy gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August z ręcznie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymowę... Została nie wyrrywając się, była wesołą, swobodną, lecz i Fürstemberg i król wiedzieli dobrze iż była zupełnie panią siebie i że świetny tryumf jaki odniosła, wcale jęj nie upoił. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa tak skoro jak inne, i wcale nie zdawała się chcieć z niej korzystać.

Ubodło go to mocno.

Przytomność i lodowaty chłód tęg kobiety zaczynały go gniewać... ale zarazem rozżarzały powziętą miłość.

W pierwszej chwili zamyslał tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy galanteryjny stosunek, któryby pod zasloną tajemnicy nawet księżnej Teschen nie wyrugował z serca, postrzegał teraz że z tą piękną panią daleko trudniej przyjdzie... niż zrazu rachował...

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawną; widocznie starała się na wszelki sposób króla usidlić, lecz sama stawiała mu się prawie coraz zimniejszą, śmielszą i nieprzystępniejszą. Zamiast postępować jak zwykle z Jowiszowém szczęściem, przyspieszonymi kroki do celu, król August widział się coraz dalej od niego.

W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywszym i nie osłaniając swego zapału, dopraszał się kącika w sercu... pięknej pani, zupełnie już z nim oswojona Anna, odpowiedziała dobitnie:

— N. Panie, daruj mi, lecz zmuszasz do nie miłego wyznania. Jestem jedną z tych nieszczęśliwych słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli W. kr. Mość sądzisz iż olśniona urokiem, którego potęgę wyznaję, zapomnę com sobie winna, że mnie chwilowy szal owładnie i dla uroków jego przyszłość mi zniknie z oczów, mylisz się N. Panie: Anna Hoym nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską kochanką chwilową... Serce moje odda się całe, na zawsze, lub... nigdy..

To mówiąc wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potem król z Fürstembergim wymknął się z mieszkania hr. Reuss, która dostrzegłszy go wybiegła za nim na wschody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hrabina Reuss poznała z wyrazu twarzy jak się rozeszli z Hoymową, udała niezmierne ubolewanie nad tęg, lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę, stosunek jęj z królem trudniej zawarty, stalszym być obiecywał. Miłostki krótkie, któreby ks. Teschen nie obaliły wcale, nie odpowiadały jęj myśli; przez Annę spodziewała się i ona pewniejszy wpływ pozyskać.

— Kochana hrabino — szepnął król odchodząc — staraj się zmiękczyć ten posąg. Piękna jest jak Venus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król poczał schodzić ze wschodów. Rozmowa z pufnym przyjacielem jak Fürstemberg w innym już była tonie.

— Kobięta jest zachwycająca — rzekł król — ale przerażająca razem, jak lód zimna...

— N. Panie trzeba czasu... Kobięty są różnych umysłów i temperamentów, cöz dziwnego że się broni...

— Broni! ale ona wyraźnie mówi, że wiekuistych chce ślubów...

— Każda miłość z początku myśli że powinna być wiekuistą, i każdej się ona przyrzeka...

— Z tą nie przyjdzie łatwo — dodał August. — Teschen była daleko powolniejszą.

— N. Panie, ale między niemi porównania niema...
 — Niestety! to prawda... Teschen jój nie dorównywa... Poślijcie Hoymowi rozkaz aby mi się wracać nie ważył...
 — Ale cóż on tam robić będzie? — rozśmiał się książę.
 — Niech robi co chce — przerwał król — nade wszystko niech zbiera jak najwięcej pieniędzy, bo mam przecucie że moja nowa miłość wiele ich kosztować będzie. Taki brylant musi być koniecznie w złoto oprawnym...
 — Jakto? N. Panie, już miłość?
 — Wściekła!! Fürstchen, rób co chcesz... Anna być musi moją...
 — A Urszula...
 — Żeń się z nią.
 — Dziękuję...
 — Ożeń z nią kogo chcesz... zrób co ci się podoba... to rzecz skończona...
 — Już! N. Panie? — zapytał książę ze źle utajoną radością.
 — Zrywam... zerwę... Hoyma ozłocę... ciebie... ją...
 — Ale z kąd tyle złota weźmiemy!
 — Na to Hoyma rozum, — odparł król — piszcie mu niech sam się o akcyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, exekwuje, byle nie wracał.
 — Aż gdy już nie będzie miał po co! — szepnął książę — to się rozumie.
 Król westchnął... weszli do pałacu, a August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślony. Ostatnia kampania nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

VII

W ten sposób rozpoczęło się jedno z panowań kobiecych na dworze Augusta II-go, które dłużej nad inne trwać miało.

Całe miasto i dwór śledzili z niespokojnym zajęciem przebieg sprawy, której koniec łatwym był do odgadnięcia.

Nie przyszedł im jednak tak rychło jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłanemi doń kuryerami wstrzymywano coraz dłużej, nie pozwalając mu powracać.

Codzień hr. Reuss, pani Vitzthum, książę wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknej Anny; codzień pani Hoym była z nim śmielszą i poufalszą, ale August od owego wieczora u hr. Reuss nie postąpił ani na krok, nie usłyszał nic innego nad to co mu naówczas zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, a chłód jój, przytomność i panowanie nad sobą w końcu wszystkich niepokoić zaczynały. Obawiano się aby się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie skorzystano ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym ilekroć ją badano odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wymagała jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Eberhardyna, to uroczystego zapewnienia iż król ją poślubi jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwykajny; w innym czasie, na innym dworze, wśród mniej płochych ludzi, byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mu pierwszy raz o nim doniósł Fürstemberg, nie odpowiedział ani słowa.

— Przyznam ci się, — rzekł do niego w kilka godzin potem, — żem zmęczony temi przedłużonemi konkurami: raz przecie skończyć to potrzeba...

— Zerwać? — spytał książę.

— Zobaczymy — lakonicznie odezwał się król.

Więcej nawet zwykły jego powiernik nie mógł się dowiedzieć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przynieść do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wór był ogromny, i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko... Fürstemberg nie śmiał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskliwy... Wprzeddzień August się widział z Hoymową w Bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na przechadzkę wywiozły. Mówił z nią chodząc długo, był niezmiernie czuły; lecz pani oblewała go chłodem i gdy odjeżdżał

Vitzthumowa zapewniała że na twarzy jego wprawdzie skrywanego, lecz tak straszego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widoczném było dla wszystkich iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal codzień do ks. Teschen, która tonęła we łzach gdy jęj donoszono o Hoy-mowej i osuszała je zobaczywszy Augusta. W tój niepewności przeszło kilka tygodni, czas który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Naostatek Hoymowi już nie pozwolono ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniej zasilał.

Właśnie tego dnia gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owemi stu tysięcy talarów w karecie, kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma...

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym sama jedna w domu chodziła zamyślona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych odwiedzin nad kobiece, zdziwiona była mocno usłyszawszy męzkie głosy na wschodach, a bardziej jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwarły się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przerażona tój zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni pobytu jęj w Dreźnie pistolet nabity: było jęj nieodstępny towarzysz.

Śmiano się z nięj, bo go tam wszyscy u nięj widzieli. Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okryta. Jakkolwiek ruch ten był żywy i zdawał się niepostrzeżonym, oku króla nie uszedł.

— Nie potrzebujesz pani żadnej obrony, — zawołał — a ta którąś sobie wybrała na nicby przydatną nie była...

Anna wlepiła w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

— Słuchaj mnie pani — kończył August rzucając wór złota na ziemię z taką siłą iż pękł i dukaty rozsypały się brzęcząc po posadzce — mogę cię obsypać złotem, dostojenstwem i tytułami...

W tój chwili przyniesione z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

— Ale mogę — dodał — to co mi się opiera, złamać jak kruszę to żelazo. Masz pani do wyboru złoto lub żelazo, pokój i miłość lub wojnę.

Anna stała obojętnie patrząc na kupę złota i połamane żelaztwo.

— N. Panie — odezwała się po chwili — ja się nie lękam śmierci, ani pragnę złota. Możesz mnie zgnieść jak te podkowy, woli mojęj nie złamiesz. Złoto jęj nie roztopi. Dla czegoż nie przynosisz mi jednęj rzeczy, która mnie poruszyć i zwyciężyć może? twego serca?..

August podbiegł ku nięj.

— Masz je oddawna! — krzyknął.

— Nie widzę tego i nie czuję — poczęła powoli Hoymowa — serce się objawia czynem: serce co kocha, nie może pragnąć zbezczęścić to co ukochało!

Nie będę taić ci królu, kocham cię! Nie mogłam się oprzeć tój miłości, ale jęj nie splamię...

Król żywo poskoczył ku nięj i ukląkł: Anna uciekła w drugi koniec sali.

— Posłuchaj mnie królu.

— Rozkazuj.

— Anna Hoym inaczej twoją nie będzie, jak gdy się godną twęj miłości uczuje...

— Więc warunki? mów! jakie są warunki?

— Przyrzeczenie ożenienia na piśmie.

August słysząc to zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczył.

— Anno — rzekł — to dla ciebie samęj niebezpieczny warunek: wierzaj mi.

— Nie odstąpię od niego; życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i w nadziei będę żoną twoją lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król cofnął się krok...

— Dobrze więc — rzekł — chcesz tego, mieć będziesz...

Anna krzyknęła radośnie.

— Reszta jest niczém przy tém, — odezwała się głosem w którym brzmiało szczęście. Muszę mieć rozwód z Hoymem.

— Jutro każę go w konsystorzu podpisać — pospiesznie dodał król.

— Cóż więcej?

— Z méj strony więcej nie mam nic, — przyklękając przed królem, złamanym głosem odezwała się Anna — dla mnie tego dosyć...

— Ale nie dość dla króla, dla mnie, — podchwycił August porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię Anna się uwolniła.

— N. Panie — krzyknęła — wierzę twojemu słowu królewskiemu; lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy co mnie wiążą; rozwód musi być ogłoszony, przyrzeczenie tve podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgam mu wierność i dochowam jój.

August milcząc w rękę ją pocałował.

— Czyń co ci się podoba, co cię uspokoi... jam twój niewolnik, tyś pani moja!! Dzisiaj przyjeżdża Hoym... rozstań się z nim... jutro pałac dla ciebie gotować każę; sto tysięcy talarów rocznie i całe moje dwa królestwa u nóg twoich, a z niemi ja...

Anna widząc go klęczącego u nóg, zlekka pocałowała w czoło i odskoczyła.

— Do jutra!

— Mam wyjść? — spytał August.

— Do jutra — podała mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował się ku drzwiom wzdychając. Na posadzce sali kupa złota rozrzucona została.

Téjże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do drzwi żony i zastał je zamknięte; powiedziano mu iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonej nad wolę swą i potrzebę podróży, hrabia coraz mocniej niecierpliwił się i niepokoił o żonę. Miał wprawdzie swoich zauszników, którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym jej widomym kroku i ruchu; lecz ze wzmianek o odwiedzinach i przejażdżkach, w których zawsze prawie i siostra jego pani Vitzthum udział brała, nic bardzo zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł pomimo to iż intryga zawiązana rosła i plątała się coraz silniej, grożąc jego pożyciu małżeńskiemu, ale do kogo miał się udać aby się o to upomnieć? U góry stał król, a króla lękał się Hoym nad wyraz wszelki, bo go lepiej znał nad innych. Jego pozorną słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go wcale. Los swojego dobroczyńcy Beichlinga miał ciągle na oczach. Największą rękojmią dlań był charakter żony, jój duma i miłość dobrej sławy.

Przybywając do Drezna nie wiedział o niczém więcej nad co mu usłudni jego szpiegowie donosili; w samém mieście od ludzi dworu nie wiele się spodziewał dowiedzieć.

Godzina była spóźniona, a choć na zamku król biesiadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie kusił, pojechał więc do domu i drzwi żony znalazłszy zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano, obiegli go urzędnicy od akcyzy, król przysłał aby się stawił do zamku, tak że niewidząc się z Anną, wyruszyć musiał.

Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król, uściskawszy (był to znak jak najgorzszy). Wymawiał mu nawet że się tak długo w podróży zabawił, chociaż sam starał się o to aby była przedłużoną: udał że wcale o tém nie wiedział.

Hoym z zadziwieniem spojrział królowi w oczy.

— Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczywista — szepnął August uderzając go po ramieniu, — chciano cię od mojego boku oddalić; ale nie lękaj się, masz też we mnie silniejszego nad nich przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmowie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedostatek pieniędzy.

— Hoym kochany, na wszelki sposób musisz się mi ich starać, potrzebuję ogromnie wiele.

Było około południa gdy z téj audyencyi, która mu wiele dała do myślenia do domu powrócił. Zaledwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy drugie od sali się otwały i Anna ubrana czarno, jaśniejąca pięknnością, spokojna i poważna, weszła drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niej żywo: przyjęła go chłodno i zdaleka trzymając.

— Czekałam na was panie hrabio, — rzekła głosem swobodnym — przychodzę mu podziękować za wszystko dobre, jakiegom od niego doświadczała i zapewnić że wspomnienie o tém zachowam na zawsze; ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo nasze, na wzajemnej sympatyi nie oparte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierza do rozłączenia się: kilka lat ciężkiej próby nie pozwalają lepiej wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio.

Znasz mnie pan iż jestem otwartą i lubię postępować jawnie. J. Kr. Mość uczynił mi ten zaszczyt iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie, godzien jest bym jój nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną.

Zdradzać jednak W. pana nie mogę i nie chcę; przychodzę żądać rozwodu, który honor waszego imienia ocali. Nie możemy postępować inaczej. Jeśli rozwód z dobrej woli pan przyjmiesz, możesz być pewien mojej przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkiém; jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwiać się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojej wdzięczności dla niego pamiętać tylko że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędowego i składnego przemówienia żony swej wszystkiego się domyślił, cofnął się jak piorunem rażony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał ażeby rzeczy już w tej chwili zaszły tak daleko.

Błada jego twarz okryła się siną niemal czerwonością; chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć: Anna trzymała go ostrym wzrokiem na miejscu, dopóki nie dokończyła. Hoyma oburzała i treść jój słów, a nadewszystko zimna krew, obojętność z jaką je wymawiała.

Bawiła się sznurami swój sukni, koronką rękawa, chusteczką którą mięła w białych palcach.

Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowiony, jeszcze wyjąknąć słowa nie umiał.

— Mościa pani, — krzyknął z namiętnością podnosząc pięść do góry — wywdzięczasz mi się łaskawie za to żem cię z zapleśniałego kąta wyciągnął... Odegrałem żmiję... Rzucasz waćpani męża i dom uczciwy, aby pójść na łaskę i niełaskę najlekko myślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić dalej.

— Dosyć panie hrabio, wiem odrazu co mówić będziesz, ale wiem téż co czynię. Staranie o mój los mnie zostawcie. Mojego postanowienia nic nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór... chcieli z dobrej woli przystać na rozwód czy nie? mamy zostać przyjaciółmi czy wrogami? tak czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiąłość zwała się galanterią; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla ni-
ej ostygła: w tej chwili jednak gdy pomyślał że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie rozbijając krzesła i bijąc się o stoły. Łamał ręce, stawał w oknie patrząc bezmyślnie w ulicę, to znowu przypadał groźny do hrabini, która nań nieulękłniona czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wie co czyni.

Stosy papierów rzucał pod nogi i deptał niemi, stół obalił. Cała ta passya, którą może chciał przerazić żonę, najmniejszego na ni-
ej nie wywarła wrażenia. Anna niemal szyderczo patrząc nań cofała się milcząca i czekała. Niemożąc wreszcie doczekać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

— Widzę że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój czy wojnę, daję więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczną: masz do wyboru albo wzrost lub upadek.

I wyszła nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle rwąc na sobie odzież, siadał, wstawał, rozpaczał i byłby tak przetrwał nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szalów.

— Co ci jest Hoym? — zawołał — co ci się stało?

— Co się stało? a! wy to lepiej z pewnością wiecie odemnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzuca! królowi jeszcze i tej potrzeba było.

Po cóż szła za mnie? dla czego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na szyderstwo...

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

— Słuchaj Hoymie — rzekł — bardzo pojmuję że ci pięknej Anny żal być może, ale nigdy nie miałeś jój serca, a bałamuciliś się tak, iż wątpię żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwiał. Jest to sprawa miłości własnej. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z poleceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

— Cóż N. Pan każe? — mruknął ironicznie.

— Żąda abys pozwolił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyrzeka, — dodał Vitzthum. — W przeciwnym razie, mój kochany Hoym, bardzo mi cię żal, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Najmniejsza przykrość wyrządzona hrabinie, uważaną będzie za obrazę majestatu.

— Ale po cóż chcecie mojego zezwolenia? — wybuchnął Hoym — wszakże król i bez niego uczynić może co mu się podoba. Konsystorz jemu nie mnie będzie posłusznym. Ja tu nic nie znaczę... Zabiera mi com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

— Jest to dowód łaski króla że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widzieć w tém powinieneś chęć zatrzymania cię na stanowisku.

— Bom mu potrzebny! — mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

— Kochany hrabio, namyśl się — rzekł — gdy wyjdę ztąd będzie po czasie.

Hoym znowu biegł i co spotkał wywracał, w końcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem pełnym gorzycy i padł w krzesło...

— Hoym, król czeka na odpowiedź? — zapytał Vitzthum.

— Wszakże nie mogła być wątpliwą — odparł minister — szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jój, grożąc mu pałką nad głowę. A więc naturalnie kochany szwagrze, zanieśiesz odpowiedź N. Panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczny, iż raczył mnie od ciężaru téj kobiety uwolnić, że zgadzam się na wszystko, żem rad, szczęśliwy, wesół i całuję pańską rękę jego. Przecież to honor niepospolity ofiarować N. Panu od ust nadgrzyziony owoc... cha! cha!

— Gdybyś wypił szklankę zimnej wody — szepnął Vitzthum biorąc za kapelusz, — he?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

— Wierz mi, — rzekł cicho — ty jeszcze lepiej na tém z łaski żony wychodzisz niż inni. Powiem królowi że się zgadzasz... ochłoniesz i odbolejesz.

Vitzthum przypomnieć sobie zapewne musiał mówiąc to własną swą przygodę z siostrą Hoyma, która krótką chwilę szczyliła się łaską N. Pana.

Na odpowiedź męża oczekiwał sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony w końcu kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokojów Anny... Vitzthum miał się udać na zamek, gdy mu oznajmiono iż król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca, August poznał zaraz iż Hoym się upierać nie będzie. Piękna Anna niespokojnie biegła do posła.

— Byłeś hrabia szczęśliwszym niż ja?

— Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może, — odparł kłaniając się Vitzthum — ale byłem cierpliwym. Dałem się wyburzyć Hoymowi i na wszystko się zgodziłem.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

— A! przynosisz mi pan swobodę i szczęście, — zawołała — nie umiem ci odwdzięczyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi.

Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie.

W pudełku była miniatura Anny, przed kilką laty zrobiona.

— A! — zawołał król — przepraszam, to za nadto dla ciebie Vitzthum; prawem królewskiem konfiskuję, w zamian daję ci 20,000 talarów: tego wizerunku nikt prócz mnie mieć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję.

Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych; królewski rozkaz przyspieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscach, bo tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku, który naprędce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galerią krytą.

Więść o tym wypadku piorunem pierwszej chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majątności swój rodziny w Holsztynie kazała się zwać panią Cosel. August poprzysiągł jej że u cesarza Józefa wyrobi tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy od dawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dnie prawie spędzał u niej, stał się niewidzialnym... zapomniał o całym świecie.

W pierwszej chwili zaraz ks. Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zręcznością do ostatniej chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkim. Rozwód Hoymowej, jej przeniesienie się pod zamek nie zostawiały najmniejszej wątpliwości o tém iż panowanie jej było skończone. Ze strony króla ustały wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz ks. Teschen pozostała swobodną, panią swój woli i niełaska nie dotknęła jej więczej w niczem, pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać choćby dla kardynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny, a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym... Pomimo szpiegów jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadził dokoła pałacu księżnej, o zamiarach jej nic się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappową nienawidzącą siostrę, dobyć z niej tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale ks. Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział czy pozostanie w Dreźnie, zamieszka w Hoyerswerda, lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było, życie szło trybem zwykłym, dwór tylko dawniej świetny i liczny znacznie się zmniejszył. Ci co pozostali wiernymi księżnie, posądzeni byli o szpiegostwo; towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden ks. Ludwik Württembergski teraz częściej i dłużej tam przebywał.

Intrygi dworskie na chwilę skierowane na obalenie panowania ks. Teschen i wznieślenie pani Cosel, po zwycięztwie jej inny wzięły kierunek.

Fürstemberg którego król w początku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odegrywającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronnictwa nieprzyjaźne zaczęły się coraz jawniej zarysowywać wśród na pozór sfernego dworu Augusta II-go. Staraniem było dobrego króla najtroskliwszém, niedopuszczyć aby wkoło niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i o ile mógł przykładał do poróżnienia ich z sobą. Jątrzył ich na przemiany okazywanemi jednym łaskami szczególnymi, to dając się drugim dorozumiewać iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marsowo z ukosa na się spoglądających twarzy, cieszył go i ubezpieczał. Jedni w ten sposób skarżyli drugich, dowiadywał się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na uniemożliwianiu zgody.

Vitzthum o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Cosel miejsce powiernika, był jakeśmy mówili szwagrem Hoyma. Rodzina ta pochodząca z Thuryngii była już oddawna w służbie saskiej. Wielki sokolniczy hr. Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pазia, i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbывał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód ciekawych doznali, a po upadku W. kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolniczostwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Koenigsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dla tego że się go nie obawiał; nie był to wcale geniusz, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, grzeczny, łagodny, usłużny, zresztą doskonały dworak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególniej w rycerskich ćwiczeniach ulubionych królowi, celował Vitzthum, jeździł doskonale konno, strzelał, gonił do pier-

ścienia, a gracz był tak namiętny, iż gdyby mu wolno tylko było, grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też nie złośliwym ale miłym dowcipem i wesołością. Mówiliśmy już jak szlachta saska ostrożnie ale uparcie starała się królowi z uszanowaniem opierać, gdzie szło o jej przywileje. Vitzthum był tej szlachty przy dworze potajemnym i zręcznym obrońcą. Poufałość jakiej mu król dozwalał, szczególnie przy ucztach i winie, dawała mu zręczność powiedzenia czasem skutecznego słowa, które uchodziło za żart, a w istocie było bolesną i gorzką prawdą.

Wyjawszy tę straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie mięszał, od intryg stronił, ambicyi nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i po za Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniej, jeśli nie więcej niż mężczyźni rządziły. Pani Vitzthum była naówczas jeszcze bardzo świeżą i ładną... słusznego wzrostu, jak większa część pięknych saxonek arystokratycznych rodzin; oko miała szafirowe, płeć świeżą, noszek odrobinę zadarty i wesołość często zbyt dużą, bo ją po śmiechu poznawano zdaleka. Śmiała się dziecinnym piskliwym śmieszkami. Pani Vitzthum jak grą bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawiała sidła, rzucała ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie, i bez niej częstoby zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie, nabywała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambycją, bo jemu na niej zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa, stali oni na stronie i napozór niżej od Flemminga, Fürstemberga, Pfluga i innych, niemniej jednak wiedzieli najskrytsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciółom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Cosel, stanęli też w takich z nią stosunkach, które obiecywały że będą dzielić jej wstręty i przyjaźni i natchnąć je potrafią jednymi i drugimi.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem, dwór cały uczył że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą jak ks. Teschen: nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jak królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłuszniejszym jej wielbicielem. W pięknej głowce kobiety, którą traf zbliżył do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświetniejszym zdawno pamiętnych karnawałów.

VIII

Nie zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawnych i oryginalnych figurach, których jedynym powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do N. Pana.

Codziennie z rana, z tak zwanego naówczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowem nazywa, przejeżdżał na koniu w najpocieszniejszym ubraniu, znany od uliczników do ministrów, wszystkim mieszkańcom, kuglarz a trefniś pański Józef Fröhlich, który się tytułował nadwornym J. K. Mości artystą figlarzem. August w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Traurig*. Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugich śmieszył i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Błażeńskim (*Narrenhaus*), udawał się na służbę, zdolną była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały, okrągły, rumiany, nosił się w rodzaju fraczka hanswurstowskiego, a takich fraków miał z łaski króla różnego koloru dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny śpiczasty z piórem kapelusz, z tyłu zaś nakształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne srebrne naczynie, mające kształt kluczowi podobny, które w istocie za dobry puhar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncji. Był to podarek króla, a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnej uczy pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś byłby znużył może jednostajną wesołością swoją, gdyby z obrachowanym artyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kontrastu w osobie niejakiego kammerkuryera barona Schmiedel, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało conceptów, min i siły, na podstawkę byli trefnisie podrzędni, tak zwany Saumagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzymia Cojanus'a, dwanaście par karłów ze sławnym Hante na czele i Trammem, murzynów, albinosów... a dalecy będziemy od poznania nawet téj maluczkiej części dworu, która ku poufałej pańskiej zabawie służyła.

Sławny Kyan dowcipniś nie inną też tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszej uczcie jak król go szacował. Fröhlich był przy swój wesołości człowiekiem roztropnym i wcale nie złym. Powoli sobie grosza ciulał, żył oszczędnie, śmiał się może pocichu z tych co się z niego głośno śmieli i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wiele parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojej jace i kapeluszu udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do błazeńskiej kamienicy rzadko kiedy kto zapukał, bo i gospodarz w niej był gościem. Dziwnie się więc wydało pannie Locie, dojrzałej jejmościance zostającej na usługach Fröhlicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było weszło, ktoś począł dobijać się do drzwi!

Nadworny kuglarz nastawił ucha; nie był jeszcze ubrany, koń nie gotów, a sądził że przez jaki osobliwszy kaprys król do rana się zahulawszy przysyłał po niego. Lote wyrzawszy przez szybę we drzwiach nabrała tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską: w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głów oczyma Lote, spytała czegoby chciał.

— Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem — odparł przybyły.

— Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Ze się różne poselstwa tajemnicze trafiały, Lote nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznanego na górę, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznanemu i natychmiast wchodząc w swą rolę w wielkich krygach i przesadnych ukłonach, powitał go jako Ekscelencyę. Nic mniej do Ekscelencyi nad tego biédaka podobnym być nie mogło: bładny, zbiédzony młody człowiek stał w progu dusząc kapelusz w rękach.

— Czém mogę służyć Waszój Ekscelencyi? — zapytał w półzgięty Fröhlich.

— A, panie Fröhlich — odezwał się cichym głosem przybyły — nie żartujcie sobie z biédaka... dla mnie wy prędzej będziecie Ekscelencyą niż ja dla was.

— He? He? — spytał Fröhlich — ja dla was; czy król was przysyła? nie!

— Nie, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam na sam!

— O audyencyą? he? — podchwycił pusząc się Fröhlich — *donnerwetter!* czy przez sen, sam o tém niewiedząc nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cyt!) wszystko być może. Ministrowie się tak gryzą, iż ich w końcu niestanie, a naówczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojenstw. A ja sobie ministerstwo skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówił, na twarzy przybyłego mimo wesołego wyzwania, ani promyk jaśniejszy nie błysnął: stał chmurny i milczący.

— Chwila rozmowy sam na sam? ze mną?... akorduję...

W całym domu niema nikogo oprócz Loty, która gotuje śniadanie i Hausknechta który konia drapie.

Siadł w krześle, rozparł się i począł udawać dygnitarza przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nierozśmieszony wcale.

— Panie Fröhlich — rzekł — zdziwisz się mocno gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnej.

— A toś się o drzwi omylił!

— Nie — rzekł nieznanomy — wcale nie... widuję waćpana co dzień na dworze, z twarzy jego wyczytałem żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

— Kochanie! pewnie chcesz pieniędzy pożyczyć — przerwał Fröhlich trzepiąc rękami — ale cię uprzedzam że z tego nic nie będzie. Wszystkiem szafuję: radą, śmiechem, ukłonem, grzbietem, czém chcesz; ale pieniędzmi! No nie mam. Król goły, jakże ty chcesz żebyś ja pieniądze miał?

— Ani mi się śniło prosić was o to.

— A! — oddychając rzekł Fröhlich — to czegoż u licha możesz odemnie żądać? Żebyś cię sztuki jakiej nauczył? Naprzykład jak się z jednego jajka stopięćdziesiąt łokci wstążki wyciąga...?

— I to nie — odparł przybyły.

— Szukasz mojej protekcji? — spytał Fröhlich.

— Byćby to mogło — smutnie rzekł nieznajomy — gdy kto innéj niéma.

— To się choć do błazna udaje! — rozśmiał się stary. Ale dalipan, Schmiedel jako baron i kammerkuryer lepijby ci przystał; widzę z barwy że należysz do dworu? ale akcent masz obcy. W tém niéma nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na saskim dworze z latarką szukać przyjdzie.

Któżés ty?

— Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.

— Polak, więc szlachcic, to się rozumie — rzekł Fröhlich — siadajże, szanuję szlachectwo... a żem ja mieszczanin, będę stał.

— Nie żartuj panie Fröhlich.

— Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem, gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi: mów szanowny Polaku co ci to jest? choryś? jam nie doktor.

Jakąś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać nie mógł, ten humor Fröhlicha widocznie go nękał.

— Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedzieć.

— Kilka? chętnie.

— Dostałem się na ten dwór wypadkiem... słyszałeś pan o mnie pewnie.. Trafiło mi się nieszczęściem łamać podkowy, giąć puhary i ścinać koniom łby na wzór N. Pana... kazano mi za to wisić przy dworze.

— Już wiem, wiem; przypominam — rozśmiał się Fröhlich — nie zazdroścę ci, kochany panie: jakże?

— Zaklika...

— Kochany panie „Unglücku” — kończył Fröhlich... — Ale któż był tak... prostodusznym, by ci mógł radzić mierzyć się z królem... Trzeba być bardzo... domyśl się, by sobie tak smutną obrać rolę.

— Od czasu jak wiszę u dworu... życie mi obrzydło... ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki... nikogo...

— A wiesz że i za opiekuna i za przyjaciela mnie chcieć wybrać, to równie szczęśliwa myśl, jak łamać podkowy! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła... nie skruszyłbym słomy ze strachu abym nie obudził zazdrości: pięknie się wykierowałeś..

— Stało się — rzekł Zaklika — niemasz tu nikogo.

— I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi... Nie chciałbym być w twój skórze..

— Właśnie że mi w niéj niewygodnie, myślałem że choć Fröhlich się nademną ulituje...

Stary trefniś wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył ręce na piersiach... potem przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu puls macać... jakby był doktorem...

— Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało... — rzekł cicho.

— Byćby to mogło! — uśmiechając się odezwał Zaklika...

Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nałogu...

— O cóż ci idzie? — spytał.

— O to aby mnie ze służby dworskiej N. Pan uwolnić raczył...

— O to najłatwiej — rzekł Fröhlich pocichu — zrób głupstwo jakie, postawią ruszowanie na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny...

— Na to jeszcze czas — odparł Zaklika...

— Cóż myślisz robić gdy cię uwolnią? powleciesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

— Nie, zostanę tu?

— Czy ci jaka Drezdenka wpadła w oko? — Zaklika mocno się zarumienił...

— Nie — rzekł — mogę dawać lekcje fechtów i konnej jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska zaciągnąć..

— Czy mrzesz głodem na dworze?

— Nie, mamy wszystkiego do syta...

— Czy ci nie płacą?

— Owszem...

— Dlaczegoż ci źle...

Zaklika się zmięszał. Niemam tu co robić, jestem niepotrzebny...

— Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój a szukasz biedy...

— Może — odparł krótko Zaklika — ale się wszystko znudzi..

— Szczególniej gdy komu dobrze i niema nic do roboty, — dokończył Fröhlich... Jednakże ja w tém wszystkim nie widzę jakbym ci mógł być pomocnym?

— Najłatwiej... stoję często przy drzwiach pomiędzy pańskim dworem; lada konceptem zwrócić możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę, król miewa różne fantazy.

— A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał powiesić? — spytał trefniś.

— Waćpanbyś mnie obronił...

Fröhlich przeszedł się po pokoju włożywszy spiczasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce w kieszenie.

— Donnerwetter! — zawołał — zaczynam się dorozumiewać poraz pierwszy, że ja tu jestem potęgą, kiedy się ludzie zgłaszają po moją protekcją. Waćpan mi otworzyłeś oczy! Przez samą wdzięczność cośbym rad uczynić dla niego...

Któż wie... mówią że Kyan zostanie komendantem Königsteinu, ja mogę być przynajmniej kaznodzieją nadwornym lub radzcą w konsystorzu!! Zaczynam nabierać ambicyi...

I upadłszy w krzesło Fröhlich śmiać się począł... popatrzał z politowaniem na Zaklikę...

— Świat przewrócony! donnerwetter! szlachcic polski oddaje się w protekcją trefnisi... a Szwedzi którzy żyją śledziami biją Sasów...

Plasnął w ręce... Na to hasło wpadła Lotte, stając w progu z polówką winną na talerzu...

Fröhlich dał komicznie znak Zaklice aby zamilkł i skłonił mu się jak minister, który audyencyę zamyka... Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika smutny spuścił się ze wschodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisi, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znużony swą rolą komparsa na dworze... snuło mu się po głowie, że swobodny mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowej, która nagle zmieniła się w panią Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta... Śnił niezrażony niczém, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu... téj, w której czarne oczy patrzeć było dlań największém szczęściem...

Tak dziwaczne miłości jak ta która Zaklikę opanowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzeć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadném większém szczęściu nad to... Chciał być jój stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą;.. domyślał się że musiała mieć nieprzyjaciół... lękał się o nią, pragnął zyskać jój zaufanie i całego siebie, choćby życie oddać na jój usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu... powolny na pozór, ale upartej woli a niezłomnej. Śmiał się sam ze swój miłości dla téj, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegast, gdy ukryty mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jój myśli, teraz mu się rajem wydawały. W Dreźnie twarz pięknej królowej rzadko miał szczęście dojrzeć na chwilę... Widywał ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć: tego wszystkiego było mu mało.

Roił że się tam kiedyś musi dostać do jej domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne, ostatnie pragnienie... Dla dostąpienia go byłby nietylko trefnisiowi się pokłonił, ale daleko większe zniósł upokorzenie...

Miłość dla tej idealnej piękności, biednego chłopca, nic zresztą nie ma w sobie tak dziwnego; daleko osobliwszemu mogłoby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała zdaleka, Cosel z całą swą dumą, ze świeżą miłością dla pięknego Augusta w szczęściu które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: Co też z tym dziwakiem z Laubegastu się stało? Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jej strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poją ambrozyą życia, jest bardzo niezwykłym uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą: była namiętną, energiczną, zuchwałą, ale serce jej nie łatwo się litością poruszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę aby na nią popatrzeć, przypominał się jej mimowolnie. Pochlebiali to jej piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którym nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się ktoby sądził, że rozmiłowany August II-gi dla pięknej Cosel, wyrzekł się swych nocnych uczt z przyjaciół. Z wielu rachub i względów były one dlań potrzebą i nałogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siało często królewskie słowo niezgodę, która była panowania narzędziem; a zręczne badanie dobywało z rozweselonych wyznań, na któreby się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych nie jeden skrywany grzeszek król wyciągnął. Dnia tego znowu wieczorem była hulaczka na zamku. August był teraz w najlepszym humorze, myślał o tym jak swe bóstwo otoczyć olympem wspaniałości, zbytku, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, którymi dobry król otarł lzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym był potrzebny, gdyż na wszystko i nadewszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wyciśnięcia ich z zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano co nigdy dawniej nie płaciło, ściągano grosz cudownymi wymysłami, król nagradzał hojnie tych co mu dostarczali.

Lecz najgenialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc było trzeba do środków gwałtownych i azardowych. Upadek W. kanclerza do którego i polityczne przyczyniły się pobudki, w znacznej części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych zebranych przezeń bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję milionowego po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu darowanym ks. Teschen, na kilku wioskach i na pół milionie talarów, które ich był królowi niegdyś pożyczył, a tych mu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtora milionowej fortuny kanclerza rozdzielili między siebie jego nieprzyjaciele, Fürstemberg, Pflug, może Flemming. Król co się wiele spodziewał nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi summ bajecznych jakich jego fantazje wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będące chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August jak inni panujący na alchemią chorował. Nie powątpiewano bynajmniej, że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszców na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył jak wszyscy marzyciele w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on i wielu innych karmili w Augustie II-im myśl tę, że znajdą człowieka co mu będzie w garnuszku smażył miliony, tak nieodbitcie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodziły chwile zapału do alchemii, w których nie mówiono o niczym prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstemberg, do której król sam przychodził, mieli je inni miłośnicy wielkiego dzieła.

Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędrcach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadali.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniądze dostarczać umiał, gdyby Fürstemberg nie mówił Augustowi że znajdzie człowieka, który mu złoto będzie robił, i zrobi go daleko więcej niż kanclerz mógł z kraju wycisnąć.

Tym mędrcelem na którego Fürstemberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlina, którego początkowa historia dość jest ciemną, ale późniejsza najlepiej dowodzi, że zło-

ta wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustem. Na lat kilka przed temi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptecę w Berlinie fabrykacją tynktury czyli jak chcą inni, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiącego się Laskarysem i archimandrytą monasteru greckiego w Mitylenie... Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saxonii, Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieniędzy: schwyciono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstemberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkim dziełem, a król najmocniej wierzył iż lada dzień złoto się z tygla posypie.

Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i łaskami, ale trzymano go pod strażą. Upływały lata, wywrócono z pomocą téj nadziei tynktury Beichlinga... tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkuryusz i różne ingrediencye dla zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha; król August spowiadał się, siadał nad tygłem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies stłukł merkuryusz przysłany przez Böttigera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany jak w więzieniu u Fürstemberga na zamku, potem w fortecy na Königsteinie, gdzie o mało nie oszalał, i znowu potem na zamku... przy wszelkich wygodach... a no, złota nie robił. Cała ta historia nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku... Ten więziony adept, tynktura, tygłe w których ma się wytopić złoto na wojny i maskarady, król godzinami pracujący „po spowiedzi” z Fürstenbergiem nad tynkturą... a potem odpoczywający u ks. Teschen — są to nieoszacowane rysy obrazu wieku...

Böttiger korrespondował z królem, i król oświadczał się dlań z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla 40,000 talarów!

Gdy Cosel na tron po ks. Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie na tarasie, otoczonej ogródkiem... zajętego ostatecznym wykończeniem formuły złotodajnej. Oczekiwanie było wielkie, nikt ani wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje... Szczególna rzecz, zastrzegął on sobie ażeby nie spożytkowano źle jego wynalazku, aby „pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny i tego rodzaju dzieła nieprawości... Powiadał że posiadającemu *arcantum*, niegodziło się służyć panu, któryby był publicznym jawnogrzesznikiem i małżeńską łamał wiarę lub niepotrzebnie krew rozlewał”...

Zdaje się że tym sposobem obwarowując robienie samo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakimby się z niepowodzenia niewinął...

W dniu tym w którym Zaklika oddał się pod protekcją Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczonym był „nadworny kuglarz” do zabawiania towarzystwa... Leżało mu na sercu by młodzieńcowi usłużyć, który w nim wiarę pokładał... łamał nad tém głowę, ale nie był w swéj roli. Umiał dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł że mu w tém zęcności brakło... Król przyjmował u pani Cosel, Fürstemberga, Vitzthuma i kilku zwykłych towarzyszków wieczornych. Pani Reuss, Vitzthum i Hülchen składały dwór nowéj pani.

Po wieczery Fröhlich musiał pokazywać sztuki... Śmiano się do rozpuku... Między innemi udawał alchemika, który miał robić złoto i przyniósł w tygłu trochę śmiecia. Z tego król August się nie rozśmiał i owszem pochmurną stała się twarz jego. Cosel już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpytywać pocichu. Nie rad się król przyznawał do téj tajemniczéj słabości, chociaż naówczas dzielali ją z nim najuczestsi ludzie wieku.

— Fröhlichowi — szepnął król — wolno się śmiać nawet ze mnie... a więc i z rzeczy tak poważnej jak tajemnica robienia złota. Ten który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jęj nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych... Udało mu się wymknąć na ziemie cesarskie i ledwieśmy go ztamtąd wydobyć potrafil... Przekona się w końcu, że posłusznym być musi... trzymamy go pod silną strażą...

— N. panie — rzekł Fröhlich — dopóki przy nim niéma tak silnego człowieka, któryby każdego czasu mógł go pochwytać i któregooby się obawiać musiał, niéma téż

pewności że nie zbiegnie. N. pan sam być był dlań najlepszym stróżem lub człowiek coby miał równą siłę Herkulesową... ale takiego drugiego na świecie niema...

— Mylisz się Fröhlich — rzekł August — był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny...

— Nigdy o nim nie słyszał!

W ten sposób August przypomniał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczów był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono...

Biedny Rajmuś korzystał z téj zręczności, by króla prosić o uwolnienie od służby... August potrząsł głową.

— Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny — zawołał — mam skarb który chcę twój sile i poczciwości powierzyć; pójdiesz na dwór pani Cosel... będziesz czuwał nad jój bezpieczeństwem... jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jój nie spadł.

Zaklika uszom nie wierzył... zarumienił się, zamilkł i pokłonił, nie pytając więcej. Los usłużył mu lepiej niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła zobaczywszy go w liczbie ludzi swojego dworu... Zrazu oburzyło ją to... ale dowiedziawszy się że był przysłanym przez króla, zmilczała. Król tegoż wieczora wytłumaczył dlaczego przysłał jój Zaklikę... Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegaście, ale nie powiedziała jój królowi... i Zaklika pozostał na swém miejscu.

Fröhlich zobaczywszy go w kilka dni potém tłumaczył się przed nim, iż mu się nie udało dotąd uwolnić go ze służby...

— Na miłość Boga! panie Fröhlich — zawołał Zaklika — ja już zostaję gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć.

IX

Któżby się w pośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odegrującego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłości króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiniéj (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta... sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czém utrzymać.

Wśród szarów i hulank walil się ów gmach dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły... Saksonia wycieńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszym...

Pomiędzy dwiema bitwami, wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szalach zapomnienia swych strat i upokorzeń...

Przy muzyce balowej dawano instrukcje tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się napróżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa, nie objawiała się najglówniej w kręconych żelaza sztabach i łamanych podkowach, największą siłę okazywał pewnie mogąc podolać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłostkom i zamętowi jaki go otaczał... Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu gdzie się tajne krzyżowały depesze, nocą ucztowano, balowano wieczorem... Aby długie lata życiu takiemu bez chwili spoczynku starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakimi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednéj na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Cosel, które miało trwać krótko, zaniosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jój stosowało się do tego... Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo ją nie odstraszało...

Wprędce umiała poznać charakter Augusta i dojrzyć sieci snujących się intryg dokoła; ze spokojem umysłu i wesołością niezachwianą niczém, bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawném wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł, ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli płochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyspieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać... Piękność jęj szczęściem zdawała się spotęgowaną. Napróžno oczy zazdrosnych kobiet śledziły w niej zmiany, znużenia, przekwitwu; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabinęj. Było to cudo i arcydzieło... Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje... chłodne na lato, ciepłe, wesołe i słoneczne na zimę... Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabiów, koronek co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Cosel okryta brylantami, zwycięzka, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem pociachu zwała. Płochy August choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Cosel był najmocniej zakochany... Czarem płonęły jęj oczy, a cudzoziemcy co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki; lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci, zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmocy jęj trwożyć się mieli prawo... Chwila działania przeciw tęj, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnej i łagodnej ks. Teschen, nie wybiła jeszcze...

Każdy dzień nowym był dla niej tryumfem... Napróžno duchowieństwo zgorszzone tém jawném króla przywiązaniem poczęło, z namowy niektórych dworaków, grzmieć z kazalnicy przeciwko pięknej Betsabe... Gerber sławny naówczas kaznodzieja jednego dnia odmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jęj imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście tylko o Cosel Betsabe... Wieczorem doniesiono królewskiej ulubienicy o napaści kaznodziei. August przychodząc do niej wesół, zastał ją we łzach...

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo — zawołał chwytając ją za ręce...

— Sprawiedliwości, królu! — zaczęła łkając i zanosząc się od płaczu — mówisz że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, bronilibyś nieszczęśliwęj... Publicznie obelgami mnie obrzucają...

— Cóż się to stało? — począł król niespokojny.

— Żądam ukarania Gerbera! trzeba przykładu przeciwko zuchwałstwu które nic, nawet korony poszanować nie umie. Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mnie jako Betsabe...

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! jam prawdziwą żoną twoją — panie mój! wołała Anna obejmując go — ukarż go, uczyn przykład...

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

— Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę — rzekł — w której mu wszystko co chce mówić wolno: ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zszedłszy z ambony szepnął jedno słowo, byłby ukaranym niechybnie... Tam, miejsce go broni...

Gerber pozostał nie poskromionym, jednakże więcej historii o Betsabe nie powtarzał...

Wśród największych klęsk jakeimi były odznaczone te lata, rozwijała się owa miłość królewska... Dziki Karol XII, z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitośny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów, dawały się bić i rozpierzchały... W Polsce, mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich... słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętymi usty

myślał tylko jakby kość swą całą z niebezpiecznej gry wycofać... Dawna kochanka pana, hr. Königsmarck wysłana w potajemnym poselstwie nic dokazać nie mogła... Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał... Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II... Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągać nie chcieli... a Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom...

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać...

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze... Trwało to jednak krótko, Cosel się uśmiechała... wesołość wracała na pańskie oblicze...

Wieczorem cztery części świata tańczyły kadrylle w pałacu czterech pór roku... August z Cosel Azyą przedstawiali... Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie prędko bardzo podejrzanymi się jej stały, potem nienawistnymi. Hr. Reuss, Hülchen, nawet zręczna Vitzthum... dostały odprawę... Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich...

Strach ogarniał dwór cały...

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani. Vitzthum który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata bieły niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie... Fortuna której zmiany spodziewano się co chwila... która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju... Szwed zwyciężał, gnał, pędził, i groził już zrzuceniem z tronu... August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem... Pocichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr... wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonii Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Północ stał się straszliwy.

Po przegranej pod Frauenstadt, zjawiały się luźne gromady rozpierzchłych zbiegów, które chwymano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków... Nieład opanował wszystko... Dnia 1 września Szwedzi pokazali się w Saksonii... August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Śląsk, do Czech, ale już było za późno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mienia... Bronić się nie było podobna, musiano karmić... Szwedzi rozleli się po całym kraju, garstka pozostałych wojsk Augusta ścigana, uchodziła aż pod Würzburg. Drezno gdzie dowodził Sinzendorf, twierdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski Stanisław Leszczyński przybył do Saksonii. Z Drezna pochodziło co żyło... królowa do rodziny w Beyreuth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a później do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął cały i stał się pustynią, wywieziono towary, i sam ich transport beczki złota kosztował. Dopiero zapewnienie Karola XII, dozwoliło jarmark Święto-Michalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niego kontrybucją wycisnąć. Szlachta chcąc się od niej uwolnić, przedstawiała królowi szwedzkiemu, że oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojnę, innych ciężarów nie była obowiązana ponosić.

— A gdzieżecie byli z waszemi rycerskimi końmi? spytał Karol XII; gdyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby tu nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i hulać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj walczyć, siedzą w domu... Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucji; możecie ją sobie wziąć z kąd chcecie... ale inni będą wolni...

Po zrzeczeniu się pełnym korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat altranstadzki... 1706 roku a tymczasem w Polsce się jeszcze bito... i August nie przyznawał się do tego co podpisał... Udawał że wysłani dla zawarcia układów, Imhof i Pfingsten przekroczyli dane im pełnomocnictwo i ratując honor swój zasadził ich do więzienia...

August który w istocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzeć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono, upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich... August sam czuł że dźwignąć się będzie trudno i głuszył w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku...

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj...

Tryumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranej pod Kaliszem ożywiony nadzieją że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszonym był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonii...

Pani Cosel która zrazu towarzyszyła królowi, w bitwach, obozie, wśród niewygod kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go aby jęj dozwolił przebrać się po męzku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Cosel, chce choć jedną ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklice który na krok nie odstępował swęj pani, powierzył król odprowadzenie jęj do Drezna... Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapalem zakochanego spełniał więcj własne swe natchnienia niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy chwyciła władzę w białe rączki i silna królewską miłością, rządzić się poczęła jak królowa, wbrew Fürstbergom, namiestnikom i wszystkim którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo... Pomnożyło to liczbę jęj nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jęj, August nie przestał być sobą, miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce... Tracił królestwa ale zdobywał serca...

Panowanie hrabinęj Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szczęku broni odegrywanymi. Namiętność do nięj żyła jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od nięj oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biędny, zwyciężony, teraz więcj niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu co go dla nięj oziębiać mogło...

Odsunięty przez nią Fürstberg, hr. Reuss i cała klika nieprzyjaciół, szukała już środków jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jęj o tém odpowiadała niedowierzającym uśmiechem... Węzeł który ją łączył z królem wzmocniło przyjsie na świat dwóch córek... Dumna pani... mówiła sobie iż drugięj jęj podobnej August znaleźć nie może, ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdrygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozowań pod gołem niebem...

A jednak, już w czasie pobytu w Warszawie, serce jęj mówiło nie nadaremnie że została zdradzoną. Król wykradając się przed nią zawiązał był stosunek z córką francuzkiej kupcowej, do której sklepiku na wino uczęszczali oficerowie... Anna groziła dowiedziawszy się o tém królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali; król śmiał się, całował jęj rączki i przebłagać potrafił. W istocie mimo tych zalotów, kochał ją, ze wszystkich ulubienic tronu była najmiłsza, ona jedna bawić go nieustannie umiała... z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna Cosel pocieszała się tém jedynie, że otoczona własnym dworem wielbicieli, na których jęj nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczala wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstbergowi... Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniej życia Cosel, nie zmniejszyły zbytków... Utrzymywano po królewsku hrabinę, pieszczono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstberg jeździł otoczony gwardyą, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonią... i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę pół-boga.

Wśród szczęku oręża, podpisawszy traktat, hańbą swą August II... powrócił do stolicy... a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się do pałaca hrabiny Cosel...

U drzwi jęj apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który sparty na poręczy krzesła, w głębokięj zadumie był zatopiony... Ujrawszy króla Rajmuś się porwał wstrzymując Augusta. — N. Panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjsia na świat... — Zlekka odepchnąwszy go król wszedł... W pokojach głęboka panowała cisza... U drzwi sypialni usłyszał płacz dziecięcia Augusta.

Cosel biała jak marmur, wysilona cierpieniem, niemogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce... wskazując mu dziecię, które staruszka trzymała na ręku... król wziął je i pocałował, zowiąc swoim... Potem przystąpił do łoża i usiadł... czoło kryjąc w rękach...

— Anno — rzekł — świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz... Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego.

— Auguście — z płaczem odezwała się Anna ręce łamiąc — biédnego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę...

— A! potrzebuję téj pociechy — dodał król ponuro... — nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięzcy nikczemnie kłania się świat cały... on tu panuje nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie, chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się zewsząd wojskowi dowódcy i urzędnicy... W korytarzu wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstemberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę, przerażonych kłęskami które na Saksonią spadały... Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak bóleści i znękania, król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia jakiego doznawał... Egoizm w nim głużył wszystko... dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic... nie rumienił się niczym...

Dnia 15 grudnia 1706 przybył August do Drezna... nazajutrz zniknął... Samo-trzéd z Pflugiem i jednym sługą, był już konno w Lipsku... trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien że jasnością oblicza i wielkością swą na niezbląganym Szwedzie wyrobi lepsze pokoju warunki.

Dowiedziawszy się iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu... Dwaj królowie rozminęli się w drodze... August przybywszy do Günthersdorf, gdzie stał hr. Piper, dowiedział się że w Altrandstad (o pół godziny drogi), króla szwedzkiego nie było...

Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz surowego postrzyżonego Karola XII, ufryzowanemu Augustowi...

Spotkali się dwaj monarchowie na wschodach... Nigdy może dwa charaktery z sobą sprzeczne, wyraziściej się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina... Sas na dworaka Ludwika XIV. Zjadli wrogowie przywitali się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczęły się ceremonie, kto ma wnijsć przodem... kłaniali się oba długo, Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk... a potem rozmowa w oknie, która trwała godzinę, której nikt nie słyszał, z której August II wyszedł błądy i zmęczony...

Dzień ten spędzony z Karolem XII zaciężył na życiu króla... nie wspominał o nim nigdy... Nazajutrz milczący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII, etykietalnie krótką oddał mu wizytę... W traktacie jednak nic pono się nie zmieniło...

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla, dusiła go ta szwedów przytomność na saskiej ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą... Pomiędzy Altrandstem, Moritzburgiem, Lipskiem, starając się o ratyfikację traktatu spędził August dni upokorzenia.

Król saski w zlocistej sukni *à la française*, w *allonge*, peruce utrefionej starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową, w sukiennym mundurze granatowym ze stalowymi guzami, w butach za kolana i łosiowych spodniach... Spotykali się wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów... Te obrabiał Piper i Cedernhiölm... Karol XII między innymi zapewniał króla saskiego, że od lat sześciu prawie, długich butów swych nie zrzucił, nie miał czasu... August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie przyjął nigdy, August choć mu spartańska polewka szweda nie smakowała, zasiadał z nim i męczył się, bo u stołu szweda nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu... a obiad trwał godzinę...

Po podpisaniu traktatu... parę miesięcy królowie się wcale nie widywali z sobą. Karol XII, jednak wychodząc z Saksonii nie myślał... Znudzony w końcu August II, mówią że spotykając nawet szweda w Lipsku, udawał iż go nie widzi...

Miał biédny król wistocie wiele na głowie, nielicząc téj nieprzyjacielskiej załogi... Musiał polować i kochać i płać intrygi dworaków, aby o swój biedzie zapomnieć...

Dwór był zawsze równie świetny... Karol XII nieustannie odbywał mustry swoich żołnierzy. August II wydawał bale... Truń mu tylko spokój i rozkoszne sny nieznośny Fürstemberg, ówczesny, przypadkowy namiestnik w Dreźnie...

O tym nieprzyjacielu terazniejszym Anny Cosel, kilka słów dopowiedzieć musimy... Wśród dworu Augusta złożonego z cudzoziemców i Niemców z różnych krajów, dlatego by wpływ saskiej szlachty usunąć, Fürstemberg w istocie zrazu obco się wydawał. Przybył tu z cesarstwa, był katolikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wielce charakterem, ani nadzwyczajnymi zdolnościami; lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywy i dar wmawiania królowi największych niedorzeczności. Fürstemberg grał tu rolę magnata i arystokraty... a zajmował się najpilniej walką skrytą z nieprzyjaciółmi i wiązaniem intryg coraz nowych. Wierny hr. Reuss był jej narzędziem... Dom jego i towarzystwo służyło Fürstembergowi... Ani się spostrzegł zrazu przeznaczony na odpięcie szlachty saskiej księżę, jak sam się jej dał związać. Schwycili go Friesenowie przez hr. Reuss i zaprzęgli do swojego wozu...

Cosel po swém wyniesieniu wprędce uwolniła się z więzów Vitzthumowej, pani Reuss i jej kółka; zdawało jej się że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za narzędzie im służyć... Oziębienie i zerwanie stosunków było hasłem do wypowiedzenia podziemnej wojny...

W czasie niebytności króla, szpiegowano każdy krok Anny, powtarzano każde jej słowo, tłumaczono każdą czynność, aby się tęp później posłużyć przeciw niej... u króla... Pora działania jeszcze nie była przyszła... Fürstemberg czekał... i wstrzymywał innych... Powrót króla był tryumfem Cosel...

W czasie gdy jeszcze z łóżka nie wstawała... a chciała mieć ciągle Augusta przy sobie... jednego rana oznajmiono królowi, iż pilne depesze przysły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjść, Cosel prosiła aby ministra Bose wpuszczono z niemi do jej sypialni. Nic w tęp nie było nadzwyczajnego... despotycznej woli jej, wyrażającej się gwałtownie, król ulegał... Wpuszczono pana Bose.

Z trzech tego imienia na dworze Augusta znanych wysokich urzędników, wchodzący z ceremonialnemi nader i niezmiernie niskimi ukłonami, Bose był najstarszym... a jak mówiono, najmądrzejszym...

Zaczął od uczczenia majestatu zgiąwszy się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzieć, a ta nie należała do najwykwintniejszych. Taką samą czcią powitał piękną chorą, która cała w puchach i koronkach zagrzebana, wyglądała jak blada na śniegu różyczka...

Pod pachą niósł Bose papiery...

Cichuteńko szepnął królowi — pilne, z Warszawy...

Oba z nim ustąpili ku jednemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapyony. Cosel nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz z Warszawy i badała z dala twarz króla, aby z niej wyczytać co znalazł w tych papierach. Bose z uszanowaniem, w dwu chudych, kościstych palcach wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał Najjaśniejszemu kopertę po kopercie... Zrazu szła jedna po drugiej poważne z wielkimi pieczęciami... Cosel nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce...

Wtęp Bose coś szepnął i wręczył królowi list mały, niezgrabny, podejrząny... król rozerwał kopertę, rzucił nań okiem, uśmiechnął się i zarumienił: mimowolnie wzrok jego pobiegł na Cosel...

Anna usiadła niespokojna.

— Co to za list? — spytała...

— List, w sprawach kraju; cóż chcesz... — rzekł król.

— Proszę mi go pokazać? — krzyknęła chora.

— Niepotrzeba! — rzekł zimno król czytając dalej.

Twarz Cosel zapłonęła... zapominając o przytomności szanownego staruszka, który się cofnął jak piorunem rażony zakrywając oczy... Anna w koszuli skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta... Król się zmięszał, spojrzął na radzcę, ten stał w pokornej postawie człowieka który nie wie co począć z sobą...

Cosel pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przeczucie nie omyliło jej: list był od Henrietty Duval, którą król, oszukując Cosel, poznał w Warszawie, i donosił Augustowi o narodzeniu córki, która później być miała sławną

ową hrabiną Orzelską... Biedna matka kończyła pytając króla, co każe uczynić z dziećmi.

— Niech je wrzuci do wody! niech je utopi! — krzyknęła Cosel — tak jakbym ja ją utopiła gdybym mogła!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowymi pokłonami, widząc że nie w porę przyszedł cofał się ku drzwiom.

— Cosel, na Boga! uspokój się! — rzekł król — przystępując do łóżka...

— JAKO? ty, któremu ja poświęciłam wszystko, którego jestem żoną, tak, żoną, która ciebie jednego kocham... śmiesz mnie zwodzić, zdradzać...

Nie pierwszy to był wybuch zazdrości Anny, która odgrażała się za każdym króla bałamuctwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u nóg jej o przebaczenie prosił i poprawę przyobiecał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rękach napróżno...

— Cóż chcesz żebym uczynił? — zawołał.

— Jeśli słowem jednym odpowiesz tej niegodziwej, jeśli dasz znak życia i zajęcia nią — krzyknęła Cosel z wzrastającą popędlivością — biorę pocztę, jadę do Warszawy, zabiję matkę i córkę, przysięgam. Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie iż się nie odezwie, że zapomni, i własnemu losowi zostawi swych kaprysów ofiary...

Tak naostatek skończyła się ta scena, o której Bose nikomu nie wspomniał... bo nikt nad niego nie lękał się więcej narazić niepotrzebnie wszechmocnej pani... Jego polityka zależała na tym by chodzić cicho i takimi drogami, na którychby go nikt dośledzić i dostrzedz nie mógł. Ludzi wielu miało go za prostodusznego staruszka... mówił mało, i udawał że nic nie wie.

X

O przygodzie tego poranku niktby pewnie nic nie wiedział, lecz wieczorem król bardzo zmęczony zebrał w małej jadalni zwykle kółko zaufanych, aby się z nimi rozerwać... Zapijano pamięć Szweda. Po drugim czy trzecim puharze, bo tam kielichów nie używano... król się śmiać zaczął, patrząc na Fürstemberga.

— Wielka szkoda — rzekł — żeś ty w miejscu starego Bosego z papierami z Polski nie przyszedł... byłbyś się może z Cosel pogodził, zobaczywszy ją w tym stroju, w jakim się przedstawiła staremu...

— Cóż to było? — zapytał książę — wszak hrabina z łóżka nie wstaje...?

— To też w koszuli z niego się porwała, aby mi z powodu listu tej biednej Henryety zrobić najokropniejszą scenę... Zazdrośną jest jak żadna, i nie dziwiłbym się wcale, gdyby kiedy w przystępie tej pasji, dotrzymała mi dawno danego słowa i strzeliła... Pistolet jej nigdy nie spuszcza.

Fürstemberg się obejrzał ostrożnie, aby się przekonać znać czy niema zdrajcy między niemi: byli tylko swoi, o których wiedział dobrze iż Cosel nienawidzą.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się z uśmiechem dwuznacznym — hrabina Cosel... będąc tak zazdrośną o serce W. Kr. Mości, co nikogo nie zadziwi, powinnyby przynajmniej sama powodu do podejrzeń i zazdrości nie dawać...

Król podniósł powoli głowę, zmarszczył brwi, wyduł usta i spytał zimno:

— Mój Fürstembergu, kto coś podobnego mówi, powinienby dobrze rozważyć swe słowa i rozrachować następstwa... Na tym coś powiedział zatrzymać się nie można: powinien się wytłumaczyć.

Książę spojrział po towarzyszach...

— Ponieważ słowo mi się to wyrwało, naturalnie usprawiedliwić go muszę. Przecież nie ja jeden, ale my tu wszyscy patrzaliśmy na postępowanie hrabiny w czasie niebytności N. Pana...

Proszę spytać jak się hrabina bawiła tutaj... boć pałac był pełen zawsze... gości pełno, wielbicielei mnóstwo, a starszy hrabia Lecherenne... w nadzwyczajnych łaskach, prawie z pałacu nie wychodził. Niekiedy widywano go z bratem lub bez brata, wymykającego się około północy... Codzień na obiedzie, codzień na wieczerzy...

Ci dwaj Lecherenne, hrabiowie, z których starszy był bardzo pięknym, postaci pańskiej, wielce wykształconym i pełnym dowcipu mężczyzną, a młodszy mało mu ustępu-

jący, kawaler maltański i do stanu duchownego przeznaczony, od kilkunastu miesięcy przybyli szczęścia szukać na dwór drezdeński... Widząc z kądem płyną łaski, przywiązali się szczególnie do hrabiny Cosel, i za jej protekcją, król ich szambelanami mianował. Spodziewali się znać dalszych łask i pozostali w stolicy saskiej. Dwór widział już w nich niebezpiecznych współzawodników, gdyż król chętnie się cudzoziemcami otaczał... Dlatego Fürstemberg rzucił to podejrzenie, aby zarazem i Cosel zaszkodzić i pozbyć się starszego Lecherenne, którego zdolności mogły podnieść wysoko...

Król August wysłuchał Fürstemberga z pozorną obojętnością, lecz i on i wszyscy przytomni co znali jak umiał w sobie tłumić wrażenia i z każdego drgnięcia nauczyli się je odgadywać, postrzegli że strzała uwięzła...

— Co mi ty prawisz, Fürstemberg — odparł August — zazdrość mówi przez ciebie! Cosel cię nie lubi! Chciałżeś aby zamknięta wśród czterech ścian nudziła się? potrzebowała rozrywki, Lecherenne jest dosyć zabawny...

— N. Panie! — odparł namiestnik z udaną prostotą — wszakże to com powiedział wymknęło mi się prawie mimowolnie. Nie myślałem wcale donosić o tém N. Panu; mając łaskę W. K. Mości, fawory hrabiny mniej cenię. Lecz przykroby mi było jako przywiązanemu słudze, miłość tak stałą, tak gorącą, tak wielką, widzieć opłaconą niewdzięcznością...

Sposepniał August... Puhary stały nalane... rozmowa się przerwała, król wstał...

Po wrażeniu jakie to uczyniło na królu, Fürstemberg zmiarkował że sprawę przegra. Ile razy August chciał się pozbyć którejś z ulubienic swych, rad był gdy mu się nastroczała zęczność; nasylał nawet dworzan, aby mieć pozór do gniewu i rozstania: gniew jego dowodził, iż Cosel nie była mu wcale obojętną...

Tego dnia hrabina wstała po raz pierwszy... Niechcąc przedłużyć wieczorną ucztę, August skinieniem pożegnał swych gości i wszedł do gabinetu...

Fürstemberg i dworacy pozostali zafrasowani, książę wszakże dodawał sobie odwagi, udawał że się uśmiecha i choć trwoga ogarnęła go o następstwa... nie chciał się do niej przyznać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła u stołu... niewidzialny świadek mimowolnie ją podsłuchał. Zaklika o którego wierności i przywiązaniu do siebie, Anna była najmocniej przekonana, używanym był przez nią zwykle do odnoszenia biletów do króla, gdy je do rąk jego własnych doręczać było potrzeba. Znudzona samotnością, właśnie napisawszy do króla, wyprawiła go z listem, gdy zasiadano do puharów. Przerywać zabawy królowi nie wolno było. Służbie jednak raz na zawsze wydano rozkazy aby Zaklikę wpuszczano. Niewidziany wszedł właśnie i stał za ogromnym kredensem, wyczekując chwili gdy się do króla będzie mógł zbliżyć, w czasie kiedy Fürstemberg opowiadał o Lecherennie...

Niebezpieczeństwo grożące, jak mu się zdawało, Annie, dało mu odwagę wycofania się... Nie oddając biletu królowi pobiegł Zaklika nazad do pałacu i zapukał do sypialni...

Cosel znała go dobrze, był to jedyny sługa któremu ufała, płacąc mu niekiedy uśmiechem... Gdy wszedł, z bladej twarzy jego wyczytała że coś złego stać się musiało.

— Mów! — zawołała podbiegając — król! nie stało się co królowi?

— Nic — odparł Zaklika — mogę winien że tu powracam; lecz oto czego byłem świadkiem, com słyszał i co donieść, zdaje mi się, powinienem być pani...

To mówiąc pospiesznie drżącym głosem powtórzył oskarżenie Fürstemberga. Cosel wysłuchała go zarumieniona, zmieszana, obrażona; odebrała w milczeniu list z jego rąk, skinęła głową... i dała mu znak aby odszedł... Serce jej biło gwałtownie... Sama niewiedząc dlaczego wysunęła się z sypialni... Za gabinetem który go od sali przedzielał, usiadła w pustce ogromnej, którą tego wieczora, jak zawsze oświecono, choć nikt nie miał być przyjętym. Ściany sali okrywały portrety i obrazy z życia Augusta II: jeden z nich przedstawiał obchód królewskiej koronacji.

Łzawemi oczyma machinalnie się wpatrzyła weń Cosel... gdy kroki słyszeć się dały, po których poznała Augusta... Szedł szybko szukając jej wszędzie, blade był, zmieszany, gniewny...

Cosel powstała i jakby niewidząc go zbliżyła się do obrazu...

— A! — odezwał się August, w którego głosie przebijał się gniew źle hamowany — cóżto, raczysz pani wpatrywać się w mój wizerunek? to chyba omyłka? Nie mogę przypuścić abym na ten honor zasługiwał jeszcze...

— N. Panie — odparła Cosel dosyć spokojnie — byłoby śmiesznością abys W. K. Mość znając co go wyższym czyni nad innych ludzi, przypuszczał że ktoś inny moje oczy po nim zwróci na siebie może!... Najpłochsza z kobiet nie popełniłaby nic podobnego. Jak możesz W. Kr. Mość mieć podobne podejrzenia...

— Tak — przerwał król głosem drżącym — dotąd pochlebiałem sobie... sądziłem... myślałem... ale pozory mylą, a dziwactwa kobiet są najczęściej niezrozumiałe...

Mowa króla, tłumiony gniew, uradowały Annę: czuła zazdrość w nim, która dowodzi przywiązanie, udała jednak obrażoną.

— Nie rozumiem was N. Panie — odezwała się — co znaczą te tajemnicze wyrazy? Nie sądzę bym do nich powód dać mogła? Racz mówić jaśniej, niech przynajmniej wiem z czego się mam usprawiedliwiać i uniewinniać...

— Usprawiedliwiać, uniewinniać — przerwał król gwałtownie — tak że Cosel się ułękła — ale są sprawy, z których się uniewinnić niepodobna! Myślałaś pani ukryć je przedemną... tymczasem, mam dowody...

— Dowody! przeciwko mnie! — Cosel załamała ręce... — Augustcie! — zawołała — to sen, to marzenie, to męczarnia! Mów, ja cię nie rozumiem... Jam niewinna...

Rzuciła się na szyję królowi, który z razu odepchnąć ją chciał; pochwyciła go za suknię, z rozpaczą porwała rękę i zaczęła płakać.

— Zlituj się nademną! mów! Niech przynajmniej wiem za co mam cierpieć... jaki niegodziwy oszczerca śmiał mnie zbójceją potwarzą dotknąć!

Nierychło gniew króla, który po winie bywał wściekłym czasami, Cosel ukołysać potrafiła; lzy go wreszcie zmiękczyły, posadziła go przy sobie.

— Królu mój, panie, wytłumacz mi, co twój gniew wzbudziło, — poczęła błagającym głosem — widzisz co się dzieje ze mną... Ja szaleję z bólu! Powiedz mi, odkryj. Więc nie kochasz mnie chyba? Szukasz pozoru byś się mnie pozbył... A! dawniej, dawniej miłość twoja była taką, że nawet błądy mi przebaczyła, dziś... serce twe gdzieindziej...

August już był ochłonał.

— Dobrze — zawołał — chcesz wiedzieć, powiem wszystko: wychodzę z zamku, gdzieśmy z Fürstembergiem rozmawiali.

— A! z nim, nic już mnie nie zdziwi! to mój wróg! — przerwała Cosel.

— Książę mi powiada, że całe miasto było zgorszone postępowaniem twém z Lecherennem...

— Z Lecherennem! — śmiejąc się powtórzyła ruszając ramionami Cosel...

— Lecherenne, — mówił król — nie zadawał sobie nawet pracy ukrywania swych uczuć dla was; przyjmowaliście zakochanego w méj niebytności, codziennie, siadywał wieczory całe, widywano go...

Cosel przybrała minę poważną, chłodną kobiety obrażonej.

— Tak jest — rzekła — wszystko to prawda: Lecherenne zakochany jest we mnie, ale ja śmiałam się z tego i śmieję. Bawił mnie czułościami swemi, słuchałam ich, żartując sobie z niego! Nie sądzę bym zawiniła wielce! Nie kryłam się z tém, bom nic do ukrywania nie miała... Myślisz więc królu, że dosyć jest kochać się we mnie aby być kochanym?..

A to okropne! — dodała ręce łamiąc. — Więc lada taki Fürstemberg słowem złości-wém przeważy ufność twą dla mnie! wiarę w serce Cosel...

Padła na sofę płacząc. Król już był złamany, przykląkł przed nią i ręce jęj zaczął całować...

— Cosel, przebac mi — zawołał, — nie byłbym zazdrośnym gdybym cię nie kochał... Znam Fürstemberga... prawda, jest to najjadowitsza żmija... jaką wyhodowałem na dworze... Daruj mi! Nie chcę aby moją Annę podejrzewać nawet śmiano, aby dała powód do potwarzy.

Anna płakała ciągle.

— Królu — mówiła łkając — jeśli potwarców dopuścisz do tronu, pamiętaj, nie skończą oni na nas, na mnie; język ich dotknie twój świętej dla nas osoby... bo dla nich nie ma nic świętego...

— Bądź spokojna, bądź spokojna — odparł król — przyrzekam, daję słowo, nie dopuszczę aby mi kto śmiał co rzec na ciebie...

Tak się ta scena skończyła czułościami i zapewnieniami najuroczystszymi z obu stron. Cosel musiała dać słowo iż Fürstembergowi nie okaże tego, iż imienia oskarżyciela się dowiedziała.

Dzięki więc przytomności Zakliki, Cosel odniosła zwycięstwo.

Uspokojony zupełnie król wrócił na zamek, a nazajutrz słowa nie przemówił do Fürstemberga, omijając go widocznie. Przez W. Mistrza dworu kazał August Lecherennowi dać znać, by tego samego dnia służbę opuścił i z Drezna wyjechał.

Rozkaz ten spadł tak niespodzianie na młodego hrabiego, iż z razu nie wiedział czy mu ma wierzyć. Komendant miasta kazał mu go powtórzyć, dając dwadzieścia cztery godziny czasu.

Lecherenne strwożony pobiegł nie wiedząc co zaszło do pałacu hrabiny. Zaklika poszedł o nim oznajmić swęj pani. Zarumieniła się z trwogi i niepokoju.

— Powiedz mu wać pan, — rzekła cicho — iż nie mogę przyjmować tych, którym król zakazał się pokazywać przed sobą... powiedz mu... — zniżyła głos — że mi żal szczyry iż odjeżdża...

To mówiąc zdjęła pierścień z palca, który król niedawno jęj był darował.

— Daj mu ten pierścień odemnie — rzekła zniżonym głosem — odwracając się od swego powiernika.

Zaklika zbladł.

— Pani hrabino — ośmielił się odezwać stłumionym i cichym także głosem — racz mi przebaczyć, to pierścień od króla.

Cosel, która nie cierpiała by się jęj kto śmiał sprzeciwić, odwróciła się ku niemu z twarzą groźną i brwiami namarszczonymi, tupnęła nogą:

— Nie o radę was proszę, ale wydaję rozkaz: masz go spełnić!

Zaklika zmięszany wyszedł, chwilę się zatrzymał za drzwiami. Przed kilką laty za dowód nadzwyczajnej siły otrzymał był od czeskiego hrabiego, który u dworu przebywał, kosztowny pierścień, z podobnym kamieniem. Jakieś przeczucie kazało mu zamienić je: poszedł ze swoim do Lecherenna, a hrabiny dar ukrył przy sercu.

Czwartego dnia potęm król w czasie gdy Cosel ubierała się wszedł do jęj gabinetu. Anna zwykle pierścień ten nosiła na palcu, oko zazdrosnego kochanka dojrzało jego zniknienie.

— Gdzie jest mój pierścień ze szmaragdem? — zapytał.

Cosel z wielką przytomnością umysłu zaczęła go szukać niespokojnie na gotowalni, na posadzce, w całym pokoju. Twarz króla okrywała się coraz krańniejszym rumieńcem.

— Gdzież się podział? — powtórzył.

Cosel zwróciła się do służącęj.

— Ale ja go od dni czterech na ręku u pani nie widzę, — szepnęła sługa.

August policzył iż od wyjazdu Lecherenna, o którego bytności u drzwi Cosel wiedział dobrze, właśnie cztery dni upływało.

— Nie szukajcie go nadaremnie — odezwał się szyderczo, mógłbym może powiedzieć gdzie się podział.

Cosel mimowolnie się zmięszala. Król wybuchnął gniewem. Nie chciał słuchać tłumaczeń nawet. Służące wybiegły aby nie być świadkami tęg sceny, a głos pana rozlegał się po pałacu. Trwoga ogarnęła wszystkich.

Cosel miała zemdleć już i lzy dobywały się jęj z oczów, gdy do drzwi zapukano: nim miała czas się zwrócić ku nim Anna, spostrzegła bladą i smutną twarz Zakliki.

— Pani hrabina raczy mi darować że wchodzę, — rzekł — służące mi mówiły, że szukały napróžno pierścienia, ale ja przed godziną go około gotowalni znalazłem i czekałem tylko chwili, aby oddać.

Król rzucił okiem i zamilkł.

Cosel ani spojrzala na Zaklikę, ani odezwała się do Augusta; włożyła powoli pierścień na rękę i rzuciwszy wejrzenie gniewu pełne na kochanka, wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrzeba było więcęj nad to, aby uspokoić króla i zmusić go do przeproszenia na klęczkach obrażonęj pani, która nie łatwo przebłagać się dała.

Król cały dzień zabawił w pałacu, nie mogła więc nawet kazać przywołać Zakliki, aby się przed nią wytłumaczył. Chciał wynagrodzić swą popędliwość, podejrzenia i niewiarę, czuł się upokorzonym i winnym. Cosel przyjmowała zimno tłumaczenia, płakała trochę i nie odpowiadała na czułości tylko rezygnacją i pokorą, które nieszczęśliwego Augusta do rozpacz przyprawiały. Nad wieczór dopiero piękna pani jakoś się przebłagać dała i pokój został przywrócony.

Wypadek ten wzmocnił w Augustcie wiarę w nią i zwiększył jęj potęgę, nieprzyjaciele zmilknąć musieli.

Po północy już król udał się do swego gabinetu dla narady z oczekującymi nań ministrami, Karol XII ciężał nad niemi brzemieniem nieznośném; lekceważenie jego dla Augusta, wstręt dla tego pięknego bohatera, dolegały wszystkim zarówno. Czuli się w nim dotknięci. Dziki młodzik, bo Karol XII nie miał nad lat dwadzieścia kilka, wydawał im się rodzajem Atylli, świętokradzko burzącym wspaniałość tego żywota blasków i świetności pełnego.

Zaledwie król odszedł, Cosel porwała się z siedzenia, na palcu jęj jaśniejący szmaragd przypomniał jęj Zaklikę.

Zadzwońiła królowa. Karzeł który wszedł, bo i ona jak prawdziwa królowa karłów miała na posługach, wysłany został po Zaklikę.

Obyczajem swym wierny Rajmuś siedział na straży w przedpokoju, czytając w jakiejś odartęj księdze. Zobaczywszy karła domyślił się że przyszła sądu godzina. Ocalił on Cosel, ale samowolnie; wiedział że mu to za grzech będzie poczytane i zadrzał. Czuł się szczęśliwym że ją uratował i czuł winnym. Drżący i onieśmielony stanął w progu; Cosel w sukni rozpuszczonej z rozwitemi na ramionach włosy czarnemi, piękna jak bóstwo, dumna jak wszechwładna pani przechadzała się po sali. Na widok Zakliki zmarszczyła brew i stanęła przed nim groźna.

— Kto ci pozwolił zmieniać moje rozkazy? popełniać tajemnie nieposłuszeństwo? mieć za mnie przebiegłość o którą cię proszą? Co to jest za zuchwalstwo?

Zaklika stał długo niemy ze spuszczonei oczyma, zwolna podniósł je na hrabinę.

— Przyznaję się do winy — odezwał się głosem spokojnym — tak, zgrzeszyłem... Przypomnisz sobie pani Laubegast i pobożność z jaką z daleka wpatrywałem się w twe oblicze. Niech mnie to uczucie szalone i niedorzeczne, dochowane do dziś dnia tłumaczy. Chciałem cię ocalić pani!

— Ja nie potrzebuję pomocy niczyjéj aby być ocaloną — zawołała surowo Cosel — w słudze żądam posłuszeństwa i nic więcéj, rozumu nie chcę... a uczuciem słuźalców gardzę! To obraza dla mnie.

Zaklika spuścił głowę.

— Gdybym słowo powiedziała królowi, jutro byłbyś zamknięty w Königsteinie, lub powieszony na rynku.

Któż ci powiedział że mnie nie więcéj boli to, iż Lecherenne pierścienia nie otrzymał, niż to żeś mnie z chwilowego zakłopotania, jak ci się zdaje, wybawił?

— Lecherenne pierścień otrzymał — rzekł Zaklika, po którym te bezlitosne wyrzuty ośliznęły się jak wody po skale.

— Jaki pierścień? — spytała Cosel.

— Zupełnie do tego podobny; miałem go danym za okaz siły przez czeskiego magnata Sternberga w przeszłym roku: przeczuwając iż król o pierścień swój zapytać może, oddałem własny.

Cosel stanęła zdumiona i popatrzyła na Rajmunda, który głowę miał na piersi spuszczoną.

— A! należy ci się więc nagroda! — szepnęła zmięszana.

— Nie, tylko przebaczenie — odparł Zaklika — nagrody żadnéj nie przyjmę.

I cofnął się pod same drzwi opierając o nie. Długo i dziwnie spoglądała nań Cosel. Jakąż zmiana zasła w jęj uczuciach, zrodziła się litość, ale duma ją w pierś nazad wtoczyła.

W milczeniu postąpiła do Zakliki podając mu pierścień przeznaczony dla Lecherenna: Rajmund obudził się jak ze snu zobaczywszy go przed sobą w białej ręce drżącój.

— Pani — rzekł — ja przyjąć go nie mogę... nie! przypominałby mi tylko żeś dla mnie była nad miarę okrutną.

W tej chwili pierścień znikł ujęty drugą ręką, a biała dłoń zbliżyła się do ust Zakliki, który ją z zapalem przykleknąwszy ucałował; potem jak szalony wypadł z pokoju Cosel, która została sama zadumana ze łzą w oku.

— Tak kochają biedni ludzie — rzekła w duszy — królowie inaczej.

Wśród tych scen przedłużało się zajęcie Saksonii przez Szwedów. Karol XII w wymaganiach swych niczem się złamać nie dawał. Dla króla był bezlitośnym i szyderskim, dla szlachty ostrym, dla kraju ciężkim, bo lud żołnierze jego wylapywali i gwałtem zaciągali do szeregów. Cóż było począć z człowiekiem, który proszony na łowy i biesiady, posyłał swój dwór a sam jechał nowozacieżnych mustrować? Na żadnym balu, koncercie, maskaradzie być nie chciał. Pokój był podpisany, Patkul wydany, a Karol XII siedział i siedział na saskiej ziemi.

Tyle upokorzeń, tyle ofiar wyczerpały cierpliwość aż do rozpacz. Zuchwalstwo Szwe-
da, który we dwadzieścia lub trzydzieści koni jeździł po zawojowanym kraju, żadnymi się nie otaczając ostrożnościami... budziło oburzenie w umysłach śmielszych wojaków.

Jednego ranku hrabia Schulenburg zameldował się do króla, w chwili gdy był na radzie z ministrami. Starego wojaka zaproszono na nią, ale mówić nic nie chciał, prosząc o osobne posłuchanie.

Flemming, Fürstemberg i inni ustąpili po chwili: zostali sam na sam.

— Cóż mi powiesz generale — zapytał August — może szczęśliwą przynosisz nowinę, że Szwedzi wychodzą?

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie, N. Panie — chwilę pomyślawszy odezwał się Schulenburg — byłby może jednak środek pozbycia się ich.

— Przyznam ci się że go nie widzę, chyba Pan Bóg zesłał wojsko swoje z Michałem Archaniołem na czele, pod twoją komendą.

— Królu — przerwał Schulenburg — zdaje mi się że z trochę rozpaczliwej odwagi obeszlibyśmy się bez archaniołów. Szwedów rozsianych po całej Saksonii jest dwadzieścia kilka tysięcy, garść to tylko, którą jeden śmiałek straszną czyni.

Tego śmiałka pochwyć, a reszta nie będzie dla nas straszną.

— Co ty mówisz? pochwyć? wśród pokoju? nie obawiającego się, ufającego nam!

— To właśnie czyni słuszną naszą zemstę możliwą — odezwał się Schulenburg.

Z oficerami naszej jazdy schronionymi przy granicy Turyngi rekognoskowałem je-
go kwaterę. Słabo jest obwarowaną. Mogę nocą napaść nań i porwać go. Zawiozę do Königsteinu... niech go oblegają: nie dam się tam. Zresztą głowa króla ręczyć mi będzie za bezpieczeństwo i podpisze mi naówczas taki traktat jak my zechcemy.

August słuchał z uwagą.

— A jeśli ci się nie powiedzie? — zapytał.

— Nie powiedzie się naówczas mnie, a nie wam N. P. — rzekł generał. — Ja kraj chcę ocalić i Europę od młodego drapieżcy, który ją gotów ogniem niszczyć i mieczem.

— Generale — mruknął król — zdaje mi się że ci się śni, w żadnym razie ja ry-
cerski obyczaj szanując najwyżej, na nieprzyjaciela w ten sposób zdradziecki, podstępny napaśćbym nie dozwolił: nie mogę — dodał zapalając się. Nienawidzę go, zadławiłbym go gdyby mi się dostał w ręce, ale go chwycić wśród nocy, ale go napadać gdy mi ufa: nie! Generale, to nie Augusta mocnego rzecz.

Schulenburg ponuro nań spojrział.

— Zawsze się z tobą królu po rycersku obchodzono? — zapytał.

— Wolno jest gburom jak ten młodzik czynić co chcą, to są nieokrzesiani barbarzyńcy; ale August którego lud zowie mocnym, a monarchowie wspinałym, nie dopuści się tak niskiego czynu.

Stary wojak węża pokręcił kłaniając się.

— A gdyby się go nieposłuszny żołdak dopuścił? — zapytał.

— Musiałbym nieprzyjaciela bronić i sam go uwolnić! — zawołał August — to nie ulega wątpliwości.

— Jest to nadzwyczaj rycersko i pięknie — rzekł Schulenburg niemal ironicznie — ale...

Nie dokończył i skłonił się nisko.

Odchodzącego król ujął za rękę.

— Kochany generale, proszę cię rzuć tę myśl i nie mów o niej nikomu. Nie, nie chcę tym kosztem zwycięstwa.

Schulenburg podniósł zbladłe oczy jak gdyby pytał niemi, czy wydanie Patkula, czy uwięzienie Imhoffa i Pfingstena, szlachetniejszymi były czynami nad krok, którego się August wzdrygał.

Król zrozumiał może ten wyrzut niemy, domyślił się co znaczyło milczenie, bo po twarzy krew mu falą purpurową przebiegła.

Schulenburg stał smutny.

— Czémś rozpacziwém ratować się musimy — mruknął pod wąsem — pospolitemi środkami, zapóźno. Kość trzeba rzucić o życie lub śmierć. Nie mamy do stracenia nic... Stracona korona jedna, która kosztowała miliony; złamana druga, a po niej szczątki tylko: cóż dalej będzie?

August z uśmiechem na ustach przeszedł się po gabinecie.

— Wiesz co będzie dalej? — spytał — oto uzuchwalony młodzik pójdzie dalej. Kilka zwycięstw dały mu szaloną, zuchwałą, nieopatrzoną odwagę... rozbije się z nią o jakiś zuchwały zamiar, bo sił rachować nie będzie. Dlaczegoż mamy się plamić, by przyspieszyć tylko to co nieochybne? co nieodzowne? Czemu nie znieść cierpliwie przeciwności, aby później korzystać tylko z tego co kto inny dokona?

Karol XII wzbity jest w pychę; kłania mu się Europa przelękną... trzeba ją w nim karmić i dać jej się rozbujając, aż się sama gdzieś o mury roztrzaska.

— A tymczasem Saksonia... N. Panie!

— A! lud ucierpi! zapewne — zawołał August — ale generale, lud jest jak trawa, którą gdy bydło stratuje, na przyszły rok zielenszą jeszcze odrasta.

— Toć ludzie! — rzekł Schulenburg.

— Gmin — odparł król — w jakim rachunek kto bierze masy i tłumy?

Zmilkli tedy a generał króla pożegnał. Już w progu wstrzymał go jednak.

— Mówiłeś z kim o tém? — zapytał.

— Oficerowie moi pierwsi mi tę myśl podali — szepnął Schulenburg — wiem że ją podziela gorąco Flemming, jak ja utrzymując, że przeciw zdradzieckiemu najeźdźcy wszystkie środki są dozwolone.

— Wiedzą więc wszyscy? — niespokojnie powtórzył król.

— Odemnie? nikt — poważnie rzekł generał — od drugich może.

— Każcie milczeć!! na bogi! niech mi nikt z tém nie wychodzi.

Generał skłonił się znowu... król siadł w krześle zadumany.

Po wydaniu Patkula, to rycerskie uczucie było przynajmniej rzeczą szczególną...

XI

Zuchwałę kręcenie się Karola XII po Saksonii, nie w jednym Schulenburgu obudziło myśl pochwylenia go i pomszczenia się klęsk kraju. Oprócz Flemminga, hrabina Cosel nieulekniona, śmiała, mściwa, myśl tę karmiła w cichości i spiskowała potajemnie. Cały jej dwór związany przysięgą, pracował nad tém. Ona to pierwsza przez oficerów, którzy tajemnie oglądali kwatery Karola XII i przypatrzyli się jego wycieczkom w kilka koni, poddała myśl tę Schulenburgowi... Nie wspominała o tém królowi, wiedząc z góry iż on śmiałego tego planu nie przyjmie. Szła pełna zemsty kobieta dalej niż inni spiskowi, żądając ażeby Karola XII pochwyconego natychmiast zabito. Myśl ta rozgorączkowała ją, roznamiętniała, nie dawała jej spoczynku.

Lecz ilekroć zdala nawet i jakby przypadkiem starała się króla wybadać, August mówić o tém nie dawał. Trzeba więc było poza nim prowadzić sprawę. Nieprzyjawnego Cosel ale śmiałego Flemminga zyskano dla tej myśli; gorąco popierał ją Schulenburg i ofiarował jazdę swą do wykonania.

Cosel utrzymywała że gdy rzecz będzie dokonaną, August oburzy się może, ale skorzysta, a nikt w Europie nie ujmie się za awanturnikiem.

Skrycie bardzo umawiano się, snuto, zabiegano, wreszcie Schulenburgowi polecono wybadać króla.

Po wyjściu jego z gabinetu choćby nikomu się nie zwierzał, z twarzy jego poznaćby było łatwo że projekt został odrzucony. Wieść się o tém rozeszła wkrótce.

Cosel jednak wcale się tęm nie zraziła; czuła w sobie siły stanąć nawet przeciwko króla i walczyć z nim o to.

August tajemnic dla nięj nie miał; tegoż wieczora wydał jęj rozmowę z Schulenburgiem. Hrabina porwała się z siedzenia.

— Jakto? nie przyjąłeś królu...? nie chcesz spróbować przynajmniej odegrać swe straty na tym zbójcy?

— Znajdzie się kto mnie pomści — rzekł król — mam to najmocniejsze przekonanie: nie mówmy o tęm.

Ze zmarszczonego czoła zmiarkowała Cosel iż nie pora była się sprzeczać, zaczęła więc zabawiać inną rozmową. Dworskie plotki wystąpiły na scenę...

Oddawna domagała się od króla aby ją kiedy do pracowni alchemika zaprowadził. Böttigera trzymano naówczas w baszcie narożnej zamku, z której był widok na Elbę i dalekie lasem okryte jęj brzegi. Kilkanaście lat już więziony biédak, wśród tęj niewoli utrzymywany był ze wszelkimi względami należnymi temu, od kogo się wiele złota spodziewa.

Fürstemberg co chwila ludził króla że cel jest prawie dopięty. Sam on pracował z więzieniem, to we własnej pałacowej swęj chemicznej kuchni, to na tarasie. Böttiger miał tam mieszkanie wygodne, prawie wspaniałe, ogród pełen kwiatów i drzew zamorskich, stół na srebrze, u którego mnogich gości przyjmował, a dla rozrywki pozwolenie przechadzki po całych czarnych gankach, długiej galerii, która zamek i twierdzę otaczała i służyła królowi także do tajnych jego wycieczek. Oswoiwszy się ze swym losem, widząc że z pod straży wydobyć się nie potrafi, Böttiger bawił się już raczęj i ludził Fürstemberga... nięż na seryo myślał o zlocie. Wyczerpał wszelkie formuły, przeczytał wszystkie książki, wypróbował wszelkie recepty: na próżno!

Widząc jak Cosel jest wszechmocną, więzień skarbiąc jęj laski zdaleka, co dzień jęj z najpiękniejszych swych kwiatów bukiet posyłał.

Hrabina pragnęła go raz widzięc; król zwłóczył i odmawiał. Tego dnia była tak natarczywą, tak czuła zarazem, tak piękną, iż August wstał, podał jęj rękę i rzekł:

— Chodźmy do Böttigera!

Nie było nikogo pod ręką coby mu oznajmił te odwiedziny. Król przez okno zobaczył Fröhlicha w śpiczastym kapeluszu opędzającego się dworakom, którzy go napastowali: śmiech się rozlegał dokoła.

August skinął na trefnisia.

— W sam raz poseł do oznajmienia o takich odwiedzinach — zawołał — wyszę go przodem, aęby mój alchemista miał czas przywdziać suknię, lub ębyśmy go w zbyt nie przyzwoitęm nie zastali towarzystwie.

Böttiger o którego dobry humor dbano, przyjmował nawet i pęc piękną.

W progu ukazał się Fröhlich.

— Na dziś, ale tylko do wieczora mianuję cię szambelanem — rozęmiał się król — aębyś nie powiedział że darmo dźwigasz klucz tak ciężki. Idź i oznajmij Böttigerowi że bogini Diana odwiedzi go wraz zemną.

— Z Marsem, Apollinem i Herkulesem... — dodała Cosel uradowana...

— Cały więc Olympus — rzekł Fröhlich z ukłonen — a gdzieę się on tam pomieści! Fröhlich z wielką powagą wyszedł laską torując sobie drogę, czarnym gankiem, ku baszcie narożnej.

Dnia tego właśnie wesołe towarzystwo zabawiało się u stołu alchemisty. Kieliszki i dęwcipy krężyły. Książę Fürstemberg wielki przyjaciel Böttigera, sławny amator alchemii Tschirnhausen, sekretarz i nadzorca Nehmitz, znajdowali się wśród gości. Grubemi mury otoczony pokój krężył w baszcie, który całe jęj piętro zajmował, a służył więźniowi do przyjęcia gości, urządzony był ze smakiem i wytwornością prawie pańską. Ściany okrywała jedwabna materya perska w kwiaty, złotemi laseczkami uęta, oęzywiały je zwierciadła, zapęniały spręży lakierowane i zęlcone. Stoły i szafki zdobiły brzozy w smaku epoki. Maleńkie schodki w grubym murze, do których utajone wiodły drzwiczki, łączyły bawialnię tę z pracownię na dole, a drugie z sypialnię w wyższęm piętrze.

Wśród swych gości Böttiger wyróżniał się piękną postawę, wesołą twarzę, z której tryskało szybkie pojęcie i dęwcip swobodny i wesoły. Ubrany starannie wydawał się ra-

czej majątnym szlachcicem w odwiedzinach niż owym sławnym więzionym człowiekiem wielkich tajemnic, wychudłym nad tyglami. Nie znać na nim było tego co przeżył, ani wyczerpania sił na odsłonięcie wielkiego arkanu. Przy kielichu był najjowialniejszym z bięsiadników, w towarzystwie najwymowniejszym żartownisiem. Właśnie gromadka gości wychylała kielich za jego powodzenie, a aptekarczyk miał jęj odpowiadać, gdy poseł królewski w śpiczastym kapeluszu i ponsowym tego dnia fraku, zjawił się w progu.

— A! Fröhlich! Fröhlich! — zawołali bięsiadnicy — cóż ty tu?

— Przepraszam, nie jestem dziś prostym Fröhlichem, jak się panom zdawać może. Podobało się J. Kr. Mości kreować mnie na godzin dwadzieścia cztery szambelanem i w spełnieniu tęj funkcji, wysłać z oznajmieniem że bogini Diana wraz z Herkulesem zaszczyci Böttigera zjawieniem się swoim. *Dixi!*

Stuknął laską o podłogę; wszyscy zerwali się od stołu. Böttiger z Nehmitzem i zwołanym chłopakiem poczęli co najprędzej stół oczyszczać. Otwarto okna, gospodarz posłał po bukiety. Tschirnhausen, który znał dobrze gospodę, otworzył drzwiczki i spuścił się do laboratorium, aby ukryć się przed królem. Inni rozpięrchli się bocznemi gankami, wiedząc że czarnym gankiem król iść będzie: pozostali tylko Böttiger, Nehmitz i książę.

Z niezmiernym pośpiechem ustawiono sprzęty w porządku... posypano posadzkę kwiatami, bukiet z pomarańczowych kwitnących gałęzek wziął Böttiger w ręce i stanął w progu.

Zjawienie się hr. Cosel w całym blasku piękności rozświeciło komnatę, u której wnijścia więzień przykleknął.

— Bóstwa się na kłęczkach przyjmuje, — rzekł — a ofiarą im tylko kadzidła i kwiaty! Mrok wieczorny natychmiast rozbiło wniesione światło.

Z uśmiechem przyjąwszy z rąk gospodarza bukiet, Cosel podziękowała mu uprzejmie rozglądając się ciekawie i dziwiąc że tu nie było najmniejszego śladu „wielkiego dzieła.”

Król który wszedł za hrabiną wytłumaczył jęj to pocichu.

— Ale ja właśnie tam być chciała, gdzie się w pocie czoła, z modlitwą na ustach, dokonywa wielka tajemnica.

— Pani, — odezwał się Böttiger — jest to jaskinia tak straszna, wzywiy jęj tak są nie zdrowe, pozór tak smutny, iż bóstwu zstąpić do tych piekieł się nie godzi.

— Ale ciekawość kobięca! — westchnęła Cosel i spojrziała na Augusta. Król oddał to wzrzenie Fürstembergowi: książę ruszył ramionami.

— Pani hrabina nie nawykła chodzić po tak ciemnych i ciasnych wschodkach — dodał.

Niezważając na opór i wahanie się, Cosel odezwała się do Böttigera.

— Bóstwa rozkazują, prowadź nas i poprzedzaj.

To mówiąc zwróciła się do drzwi, gdy gospodarz w przeciwnęj ścianie pocisnąwszy brązowy guz w nięj utkwiony, otworzył skryte wnijście i z kandelabrem w ręku stanął w nięm.

Nie sprzeciwiał się August milczący. Szli więc wszyscy po ciasnych i niewygodnych wschodkach, zamkniętych żelaznemi drzwiami od pracowni. Gdy je Böttiger otworzył, ukazała się ciężkimi sklepieniami zczerniałemi od dymu, okryta izba obszerna, jakby z starego zapożyczona obrazu. Przy grubych słupach jęj było kilka pieców, na których stały ostygłe retorty i tygle; rozmaity sprzęt dziwacznych kształtów, mnóstwo flasz i słoów okrywały mury; na kilku stołach nagromadzone były stare księgi o mosiężnych klamrach, pergaminowe zwoje, zapisanie arkusze i najróżniejszych kształtów narzędzia.

Wszystko to razem wyglądało tajemniczo, posępnie, dziwnie i obudzało jakiś strach w hrabinie, która się na ramieniu króla zwiesiła.

Böttiger podniósłszy do góry światło, stał milczący. August z pewnem poszanowaniem rozglądał się w tęj pracowni wielkich nadziei, która wszystkim jego marzeniom dostarczyć miała siły, by się w ciało obróciły.

Gdy tak toczą wzrokiem po izbie i król posunął się kroków kilka ku stołowi, oko jego zatrzymało się z uwagą na przedmiocie, który wśród papierów się znajdował.

Było to kilka jaspisowęj barwy filizanczek, które wielkiemu znawcy i miłośnikowi porcelany, N. Panu, co mieniał ludzi za wazony japońskie, wydały się wschodnim wyrobem.

— Böttiger! — zawołał — co to jest! porcelana japońska, a kształty nie jój: zkądżeś ty to wziął? To przecie osobliwość rzadka!

— N. Panie, — kłaniając się nisko odparł gospodarz — to zabawka moja... Probowaliśmy sobie z przywiezionej mi glinki zrobić coś nakształt porcelany.

Król pochwycił żywo podane mu naczynko pięknego koloru i w milczeniu oglądał je, ważył, przeciw światłu w nie patrząc począł niedowierzająco.

— Jakto? utrzymujesz żeś ty to zrobił? ty?

Böttiger schylił się i z ziemi podniósł rozbitych kilka skorupiek podobnych, potem z za papierów dobył kilka miseczek i podał je Cosel i królowi.

— Ale to najślicznieszka w świecie porcelana! — zawołał król zachwycony.

Böttiger milczał.

— Tyś wynalazcą, tyś odgadnął ich tajemnicę, — kończył August — nim zrobisz złoto... Na Boga, rób mi porcelanę! Za jeden serwis w Chinach z memi herbami zapłaciłem 50,000 talarów... Prusak mnie zdarł i wziął mi kompanię najpiękniejszych ludzi za wazy olbrzymie... a ty możesz robić porcelanę i milczysz!!

— N. Panie, to była próba!

— Która ci się najszcześliwiej udała... Dla Diany pierwszy serwis zrobi Böttiger i złoży u jój stóp.

Widząc jak król zachwycał się wyrobem Böttigera, wszyscy się zbliżyli dla oglądania go; lecz oprócz Cosel i Augusta nie unosił się nikt. Fürstemberg myślał w duchu, że robiąc porcelanowe lupinki, Böttiger zaniedba tynkturę.

Król który się bawił gorąco wszystkim, ucieszył się bardzo swą porcelaną. Nie wiadomo czyby go więcęj uradowała wieść o wyjściu z Saxonii Szwedów. Zabrał z sobą pierwszy kubek dając go Cosel do schowania i wyraziwszy całe swe zadowolenie Böttigerowi zabierał się do wyjścia. Ażeby uwolnić N. Pana i Cosel od niewygodnych wschodków, gospodarz otworzył drzwi, które wprost wiodły do jego ogródka i król poprzedzony przez służbę, która tu już czekała, udał się znów ku czarnym gankom do zamku wiodącym. Dzień to był pamiętny w historii Saxonii, która w istocie kopalnią złota zyskała w wynalazku przypadkowym Böttigera, długo pod karą śmierci zachowywanym w jak największej tajemnicy.

W kilka dni potem, daleko dramatyczniejsza scena poruszyła Drezno całe. Chociaż Schulenburg wyrzekł się zupełnie myśli pochwycenia Karola XII, w skutek pierwszej swój z królem rozmowy, śmielsza daleko Cosel i ze swój strony Flemming, wcale jój nie rzucali. Nieopatrzność Karola XII, codzien prawie nastęrczała zręczność wykonania śmiałej téj myśli: brakło ludzi i przygotowań.

Tymczasem zuchwały i ufny swemu szczęściu i odwadze Karol XII, jak gdyby wiedział o tych pokuszeniach, jak gdyby z nich się urągał, najswobodniej wędrował po kraju nieprzyjacielskim.

Nikommu nawet na myśl przyjść nie mogło, ażeby śmiał sam rzucić się w paszczę nieprzyjacielowi i zjawić w samém Dreźnie. Krok taki mógł w zbolałym narodzie wywołać rozpacz, gdyby naród ten nie był zbytkiem i rozwiązłością przegniły i zepsuty.

D. 1 września, w ten sam dzień gdy ratyfikacją traktatu z Cesarzem o swobody dla protestantów szlązkich podpisał, Karol XII wyjechał z Altrandstadt. Szedł on w ślad wojsk swoich, które już od 15 sierpnia poczęły były pod dowództwem Rhenskyold'a, na Szlązk ciągnąć, ku Polsce i dalej ku północy. Znaczniejsza część sił jego już była nareszcie opuściła Saxonią, kilka pułków tylko pod Lipskiem zostało. Około Meissen w Oberau Karol dnia 6 września stał główną kwaterą. Pięknego dnia jesieni, konno wyruszył na przejażdżkę, jadący z nim ze wzgórze ukazali mu w mgle wieże kościołów Drezna.

Karol XII stał długo zamyślony, patrzył, milczał, na ostatku odezwał się do szczupłej garstki, która mu towarzyszyła:

— A no, tak blisko już jesteście: trzeba tam dojechać...

Było z południa między trzecią a czwartą, gdy u bram Drezna stanął ten gość niespodziewany. Wrota twierdzy zamknięte były, Karol XII oznajmił się oficerowi jako posłany od króla szwedzkiego trabant. Zaprowadzono go z towarzyszami na główny odwach: przechodzący właśnie Flemming, przerażony go poznał.

Myśl którą oddawna nosił w sobie zdawała się domagać sama spełnienia. Karol XII był bezbronny, kilku ludzi mu tylko towarzyszyło, wpadł sam w ręce nieprzyjaciela. Flem-

ming w pierwszej chwili prawie głowę postradał, umiał się jednak poskromić, i na zapytanie o króla, ofiarował się towarzyszyć do niego.

W téj godzinie August II zwykł się być często zabawiać w zbrojowni dokazując rozmaite sztuki i ćwiczenia siły. Tym razem był tu także z hr. Cosel, która go na krok nie odstępowała, i trzaskała żelaztwa w silnych rękach, które siły téj tylko na zabawkę użyć umiały.

Śmiech wesoły rozlegał się pod sklepieniami gmachu, gdy zapukano do drzwi.

Król zawołał:

— Wnijść!

Spojrzał ku drzwiom, oczy hrabiny zwróciły się ku nim także, i osłupiał ujrawszy Karola XII. Flemming który szedł za nim, królowi i Cosel rozpaczliwe dawał znaki, do zrozumienia łatwe; żądał tylko skinienia aby zwołać ludzi i nieopatrzego gościa pochwycić.

August stał jeszcze jak nie przytomny, gdy Karol XII pospieszył go uściskać, z wesołem:

— Dobry dzień, bracie!

Cosel wytrzymać nie mogła, twarz jéj zapłonęła cała: chwyciła króla za suknię.

— Królu, to przeznaczeń godzina! Jeśli ztąd wyjdzie cało... tyś winien.

Karol XII, zdaje się że słów tych dosłyszał, twarz jego przybrała wyraz surowy i pytający. August zwrócił się z zimną krwią do hrabiny:

— Proszę, rozkazuję, zostaw nas samych.

Hrabina z niecierpliwością właściwą swemu charakterowi już miała otworzyć usta, gdy król powtórzył stanowczo, marszcząc brew:

— Odejdź!

Cosel ustąpiła gniewne rzucając wejrzenie na Karola XII, który stał bardzo spokojny rozpatrując się po zbrojowni. W rozpacz przechojąc chwyciła Flemminga, któremu téż pałały oczy. Flemming wzruszył ramionami. Augusta wzrok nakazywał obojgu milczenie. Z wielką spokojnością król przyjął gościa tego.

— Wieleśmy słyszeli o sile waszój, — odezwał się szydersko nieco Karol XII, — radbym widzieć jeden z tych cudów, które tak łatwo czynicie.

Na ziemi leżał pręt żelazny, August go podniósł.

— Dajcie mi rękę waszą, — rzekł z uśmiechem, — nie lękając się bym ją obraził.

Karol szeroką dłoń namuloną podał w milczeniu: August począł skręcać pręt i opasał nim rękę króla. Spojrzeli sobie w oczy. Żelazo jak posłuszny sznurek obwinęło się około ręki. W chwili gdy na węzeł je ujął August, z uśmiechem zerwał to pęto i rzucił je na ziemię. W milczeniu przypatruwszy się téj sztuce, zręczności i siły Karol poszedł za swym przewodnikiem po zbrojowni. Broni było podostatkiem.

— Macie żelaza dość, — rzekł lakonicznie Szwed, — co za szkoda, że ludzi wam do niego brakuje.

Ze zbrojowni, która leżała w obrębie twierdzy nie opodał od bastyonu Böttigera, poszli królowie oba do zamku razem. Karol XII chciał powróconą Dreznu rodzinę swego nieprzyjaciela odwiedzić; okazywał on dla niéj i wprzódó tém większy szacunek, im wybitniej odmawiał wszelkich względów Augustowi II.

Tymczasem z odwachu po mieście rozeszła się wieść o przybyciu Karola XII do Drezna, w towarzystwie zaledwie kilku jezdnych.

Imię jego obudzało nadzwyczajne zajęcie... protestanci szczególniej słysząc co uczynił dla ich współwyznawców na Szlązku cisnęli się aby go zobaczyć. Ten młodzik dwudziestokilkoletni był naówczas podziwieniem Europy... Dwór, Flemming, co otaczało i przywiązane było do losów Augusta II wzburzone było zuchwalstwem bohatera, który urągał się zwyciężonemu, z urokiem tryumfatora wciskając się bezbronny do jego gniazda... Flemming rozplomieniony, Cosel rozgorączkowana... odgrażali się... Piérwszy z nich potajemnie kazał zwołać ludzi załogi, aby, chociażby mimowoli Augusta nieprzyjaciela pochwycić; Anna porwała pistolet i odgrażała się wybiedz w ulicę, aby mu w łeb wypalić...

Poruszenie było ogromne, powszechne... widoczne już po drodze do zamku, którą August z Karolem przebywał. Jeden król zachował swą niewzruszoną twarz jasną i pogod-

nią, którą zdawał się nakazywać wszystkim spokój... Zdawał spozstrzegał on przygotowania, które i oka Karola XII ująć nie mogły. Szwed jednak ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu i odwagi...

Nie usiłował wcale skrócić swoich odwiedzin, nie spieszył się z powrotem, a że August rad był zatrzymać go także, może dla wyprobowania jego odwagi i cierpliwości, odwiedziny te przeciągnęły się bardzo długo. Karol poszedł pokłonić się królowej, prosił aby mu pozwolono uściskać młodego Kurfirsta... podwieczorku jednak odmówił chłodno. Pół godziny siedzieli na zamku, w czasie której Flemming miał czas zebrać ludzi, porozstawiać ich i na wypadek gdyby król w Dreźnie zatrzymać nie dozwolił nieprzyjaciela, wysłał na własną odpowiedzialność oddział jazdy, który na drodze do Meissen, miał go opasać i pochwytać.

Gdy Karol XII był jeszcze u królowej, Flemming potrafił króla wywołać.

— N. Panie — rzekł gwałtownie — jestto jedyna chwila w której wszystkich swych krzywd pomścić możesz... Karol XII w twoich rękach...

— Ufny w mój honor — odparł August — i dlatego włos mu z głowy nie spadnie.

— N. Panie — dorzucił Flemming — toby była śmieszność unosić się wspaniałomyślnością względem człowieka który takie zadał ci klęski... Ja mimo twój woli go pochwyć, choćbym miał za to stracić głowę.

— O głowę twoją mi nie idzie — rzekł spokojnie August — ale o coś większego nad nią: o mój honor królewski. Ani mi się waży nic przedsiębrać!

— Na własną rękę? — podchwycił Flemming.

— Nie masz własnej ręki, gdzie jest moja — rzekł August marszcząc się.

— Nie pozostaje mi tylko skruszyć szpadę, którą służyć wam nie mogę. To mówiąc generał chciał dobyć ją z pochew, gdy August go powstrzymał.

— Flemming, nie zapominaj że ja tu jestem, że moja sprawa idzie, i że nikt tu rozkazywać niema prawa... oprócz mnie... Odwrócił się groźny, generał zamilkł, spojrzeli na siebie, Flemming kipiał.

— N. Panie — rzekł — stracisz z drugą koronę tak postępując...

To mówiąc wymknął się, a król powrócił spokojny do żony, przy której zostawił gościa. Karol XII ani spojrział na wracającego, chociaż mógł się domyślać iż za drzwiami radzono o nim...

W czasie gdy się to działo na zamku, Cosel chciała koniecznie wybiedz w ulicę, i znaleźć miejsce aby strzelić do Karola XII. Zaklika który ją widział poruszoną do nieprzytomności, wszelkimi sposobami starał się ją powstrzymać, szczególnieją tą uwagą, że lud widział w Karolu możnego opiekuna protestantów i mógł się zburzyć w jego obronie. Takie było usposobienie większej części pospólstwa, które wylało się na ulicę i pojmując że August II musiał się też powstrzymać od wszelkiego gwałtu lękając wzburzenia cizby.

August II kazał sobie podać konia, aby towarzyszyć nieprzyjacielowi. Ulice napełnione ludem, okna pełne głów ciekawych... nadawały miastu niezwyčajny pozór. Głuche, dziwne milczenie towarzyszyło przejeżdżającemu, zdaje się że tłumy oddech przytrzymywały aby usłyszeć choć słowo z rozmowy... ale rozmowy nie było... Wszystkie oczy wlepione były w Karola, który jechał spokojny, nieokazując po sobie najmniejszej oznaki jakiegokolwiek uczucia. Obok niego jechał August posępny i zadumany, ale majestatyczny. Wprost ulicami, przez które ledwie przecisnąć się było można... zwrócili się do bramy ku Meissen wiodącej. Król posłał rozkazując aby na cześć Szweda trzykrotnie z dział na wałach uderzono... Na pierwszy dział odgłos, gdy Karol XII zwrócił się dziękując, August przyłożył obojętnie rękę do kapelusza, z uśmiechem. U wrót i w chwili wyjazdu powtórzyły działa salwę... Karol XII chciał tu pożegnać gospodarza, lecz August znał nadto dobrze Flemminga i swoich by się nie domyślił iż na drodze postawią zasadzkę. Jedynym sposobem ocalenia Szweda od napaści a razem honoru własnego było przeprowadzić go tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło..

Przeprowadził więc król gościa w milczeniu obok niego jadąc pół mili aż do Neudorf... Tu rozstali się podając sobie ręce. Karol XII puścił się szybkim kłusem w dalszą drogę, August pozostał chwilę zamyślony spoglądając przed siebie i ważąc źle czy dobrze postąpił, idąc za głosem honoru.

Stał jeszcze na gościńcu wśród zarośli, które za wsią po wytrzebionych lasach zostały, gdy Flemming nadbiegł konno gniewny, z zapalonemi oczyma.

— N. Panie — zawołał — jeśli sądzisz że Europa podziwiać będzie wspaniałomyślność twoją i myślisz że zapłacisz jęj wypuszczeniem Karola za uwięzienie Patkula, mylisz się... Rozśmieją się ludzie z tego bohaterstwa... Tęgo krwi chciwego młodzika trzeba było we własnej skąpać posoce...

— Milczeć Flemming! — zawołał król groźno, i sam jeden pobiegł do miasta...

U wrót pałacu czterech pór roku zsiadł z konia... tu go czekała Cosel gniewniejsza od Flemminga... zalana łzami, zrozpaczona.

— Nie przystępuj do mnie — zawołała... — popełniłeś błąd, odrzuciłeś moją radę: nie chcę cię widzieć.

Dwadzieścia kilka milionów ze skarbu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi... śmierć twych oficerów, wstyd swój, wszystko mogłeś pomścić i nie chciałeś, nie umiałeś, lękałeś się... Słaba kobięta byłabym szlachetnieję pomsty się chwyciła na twém miejscu...

Król padł na kanapę i dał się hrabinie wygniewać: nie odpowiadał słowa: dopiero gdy znużona padła płacząc na siedzenie, rzekł zimno.

— Plamić rąk zemstą nie chciałem: pomści się za mnie kto inny...

Nazajutrz jednak sam on widząc jak wszyscy mu wyrzucali jęgo zbytnią powolność, kazał zwołać radę wojenną. Rada z Flemmingiem razem objawiła zdanie, iż człowieka co tylekroć wymaganiami swemi pogwałcił prawa narodów, godziło się mając w ręku uwięzić i wymusić na nim inne pokoju warunki tak, jak on je na znękanym Auguście wymógł bezlitośnie.

Król zmilczał.

Mówią, że o tęg radzie późnieję posłyszawszy w Wiedniu poseł szwedzki rzekł z pogardą: Jestem pewny, że uradzili tam nazajutrz, co wczoraj zrobić należało...

XII

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi saskieję, gdy August pocieszając się po wypadkach, które tak smutne na długo ślady zostawiły po sobie, z największą wspaniałością rozpoczął zabawy, na które wprowadzie czasu było dosyć, ale pieniądze wszelkimi sposoby musiano zdobywać.

Cosel była naówczas na szczycie swęj wziętości i panowała despotycznie królowi i królestwu. Wszystkie zachcianki uwolnienia się od jęj rządów rozbijały się o namiętność Augusta dla nięj. Cosel towarzyszyła mu wszędzie; ona poddawała coraz nowe zabaw pomysły, a znając króla spocząc mu nie dawała na chwilę, aby nuda i znużenie nie miały czasu go opanować. Ona królowała wszędzie w blasku odmłodzoneję piękności, uwielbiana przez cudzoziemców, uznana przez wszystkich co ją widzieli w tęg epoce, niezrównaną i czarującą.

Wkrótce po odjeździe Karola XII, po balach i karuzelach, zgromadziwszy na swym dworze mnóstwo cudzoziemców, posłów, błędnych rycerzy z całego świata, August wyprawil wspaniałą uroczystość strzelania do ptaka. Obok Augusta w złotęj zbroi, wszędzie na białym koniu swym ukazywała się strojna amazonka w najwykwintniejszych strojach, zdumiewająca zręcznością we władaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganiu do pierścieni. W tych ćwiczeniach, w których króla zachwycała, nauczyła się celować. Przytomny lord Peterborough nie umiał wyrazów znaleźć dla odmalowania swęgo zachwytu. Ukazanie się jęj na placu witały strzały z moździerzy. Król wydawał się jęj pierwszym dworzanielem, najświetniejszy krąg panów, magnatów, dostojników ją otaczał. Ona była królową zabaw, ona kierowała niemi; jakże nie miała upewnić się, że władza jęj nigdy ustać nie mogła.

Gdy poczciwy i szczerze jęj przyjaźny Haxthausen, gdy rzadko odzywający się Zaklika, któremu mówić nie było wolno, wspomnieli czasem zalecając baczność na przyszłość i przypominając płochość króla, Cosel marszczyła się i zżymała.

— Jestem jęgo żoną — odpowiadała — mógł porzucić kochankę, ale nie będzie śmiał małżonki. Zresztą wie co go w takim razie czeka: strzelę do niego i sama się zabiję.

Królem kurkowym został na strzelaniu tęg poseł angielski M. Robinson, który z rąk piękneję Cosel otrzymał nagrodę. Obchodzono wielką ucztą to zwycięztwo.

Tak skończył się ten rok nieszczęśliwy zabawami bez ustanku następującymi po sobie. Cosel je wymyślała, król wykonywał. Nieprzyjaciele hrabiny nie śmieli już ust otworzyć, choć skarb był wycieńczony i kraj jęczał pod ciężarem wymysłów Hoyma.

Na wielkanocny jarmark do Lipska towarzyszyła królowi Cosel. Jarmarki te nad wszystko lubił August II, zrzucił naówczas królewską pychę z siebie, mięszał się z tłumem, ocierał o lud, szukał rozrywek najgminniejszych i z fajką w ustach po całych dniach widywano go w ulicach miasta, często w towarzystwie, które wcale dostojności królewskiej nie przystało. Dwór naówczas stawał u Apfel'a, czyli jak wówczas mówiono w gospodzie pod jabłkiem, bo dom kupca miał za godło jabłko złote. Szalono tam dnie i noce, zwabiając obcych i aktorki przybyłe z wędrującymi teatrami.

Cosel mogła tylko pilnować swego pana aby zbyt daleko się nie posunął w tej hulance zapamiętałej, ale powstrzymać go od niej nie mogła. Nawet gdy Karol XII był jeszcze w Saksonii, a jarmark opłaciwszy się stu tysiącami talarów zebrał się pod jego opieką, August się musiał zjawić na nim. Z całego świata awanturnicy i awanturnice zbierali się na ten mięsopust szalony... a król rozrywki nawykł był szukać wszędzie gdzie tylko mógł ją znaleźć.

Dnia 12 maja w Dreźnie obchodzono dzień imienia króla, na który przybyli książę Eberhard Ludwik würtemburski i Hohenzolern; pito więc śmiertelnie i na zabój, strzelano, jeżdżono, polowano, a Cosel niezmordowana towarzyszyła zawsze i wszędzie królowi.

Na starych słowiańskich sadybach łużyckich w Niżycy, leży odwieczna osada u stóp góry którą „stołpami” niegdyś zwano. Dziwną natury igraszką wyparte z łona ziemi siłą jakąś potężną, sterczą tu bazaltowe słupy czarne, ściśnięte jakby ręką duchów, obrobione w foremne olbrzymie kryształki. Na tych skałach, które żelazo z trudnością pożyć może; przed wieki wznosił się gród panujący i broniący u stóp jego rozłożoną osadę. Z wierzchołka góry z której wnętrzości wychodzą czarne słupy, wzrok sięga w dalekie kraje dokoła; na południe widać wyniosłości lasami okryte gór saskich i czeskich, ku zachodowi sterczy grzebień miedzianych gór Saksonii; bliżej jak olbrzymie ucięte piramidy widać zamkowe skały, na których siedzą Sonnenstein, Ditterzbach... Ohorn, na wschód lasy i góry Hochwaldu: w linii dalej majaczej osady czeskie.

Stary zamek Stołpeński, który biskupi mejssseńscy posiadali i ozdabiali, starając się go ukrzepić, stał jeszcze wspaniale acz smutno przedstawiając się oku ze swemi śpiczastymi wieżycami często nawiedzanymi od piorunów, ogromnymi murami okólnymi, basztami i bazaltową podstawą, którą go natura opasała. Przy zamku znajdował się zwierzyniec... w pobliskich lasach nie brakło zwierza. August II, gdy go jednostajność nudziła, przejeżdżał się chętnie po kraju.

Jednego lipcowego dnia pięknego, nim skwar dopiekać zaczął... już konie do przejażdżki stały gotowe pod zamkiem. Dniem wprzód jeden z współbiesiadników opowiadał królowi o dziwnej górze z słupów jakby żelaznych zbitęj, na której stał Stołpeński zamek. Król go sobie nie przypominał: chciał go widzieć.

Rosa jeszcze okrywała drzewa i trawy, a słońce z wolna podnosiło się nad opary ziemi, gdy konie rżały już u ganków a służba liczna zwijała się czyniąc przygotowania do drogi. August miał siadać na koń, gdy od Cosel posłany przybiegł Zaklika z pytaniem, gdzie N. Pan udać się miał zamiar.

— Powiedz twój pani, że jadę widzieć Stołpy — rzekł król — a jeśli chce, niech mnie dogoni, bo czekać dla skwaru nie mogę i nie doczekałbym się nimby ze strojem skończyła.

Cosel ledwie z łóżka wstała, niecierpliwie wyglądała oknem, gniewając się już iż jej znać nie dano o wyprawie. Gdy Zaklika przyniósł odpowiedź, a razem ujrzała króla siadającego na koń, ubodło ją to mocno iż czekać nie chciał. Kazała siodłać konie; zaproszono Haxthausena i kilku młodzieży: wszystko w pół godziny miało być gotowem. Cosel postanowiła pokazać królowi, iż długo się stroić nie potrzebuje aby być piękną. Chciała go dopędzić nim u Stołpów stanie. W pół godziny zaproszeni towarzysze wyprawy stali z końmi, biały arab Cosel z długą grzywą, z siodłem ponsowym aksamitem obitem i kuteń złotem, rżał z niecierpliwości. Piękna pani wybiegła i zdumiała swych wielbicielei. Strój jej był dziwnie do twarzy. Na głowie miała kapelusik niebieski z piórami białym i lazurowym, na sobie żiustokor tegoż koloru, cały szamerowany złotem; biała szeroka suknia z tyftyku, bramowana złotem dopełniała stroju. Skoczyła na konia, który przy-

siadł dla niej i wstał zaraz cały drżący rwąc się do biegu. Wdzięcznym uśmiechem piękna królowa powitała swych towarzyszków.

— Panowie — zawołała wznosząc do góry rączkę strojną w biczyk, którego rękojeść polyskiwała drogiemi kamieniami — Król JM. wyzwał mnie do wyścigu. Jest pół godziny jak ruszył; choćby konie popadały, a jam miała szyję skręcić... lecim co konie wyskoczą! Kto mi sprzyja, za mną!

To mówiąc zuchwała amazonka zwróciła konia ku bramie, ściągnęła cugle, zmarszczyła brwi i pomknęła wprost na ulicę. Troskliwi o nią Zaklika z jednej, koniuszy jęj z drugiej strony, stanęli, aby w przypadku konia pochwycić i śmiałą rycerkę ratować mogli. Reszta towarzystwa sunęła za nią. Biały arab pomknął od razu chyżo; zatętniał most pod kopytami koni, przelecieli stare miasto, w prawo droga wiodła na lasy do Stołpów. Szczęściem gościniec był szeroki i piaszczysty, chwila poranna i orzeźwiająca... konie wypoczęte i silne. W milczeniu sunął w tumanie pyłu błyszczący orszak hrabiny, jak gdyby wichler go pędził. Arab wyścigał inne konie, Cosel z czarnym okiem w którym ogień jakiś pałał, z zarumienioną twarzą, z usty półotwartymi, zdawała się napawać tą jazdą szaloną.

Przelatywali góry i lasy, łąki i ciche puste pola gdzieniegdzie nad drogą wydarte; kraj w tej stronie mało zasiedlony naówczas, wendyjskie tylko wioski z ich chatami o drewnianych podsieniach i wysokich dachach migwały w sadach wiśniowych. Po drodze gdzieś spotkany wieśniak zdejmował czapkę przed zjawiskiem cudownym... a nim na zapytanie o króla mógł odpowiedzieć, jeźdźcy mu w kurzu obłokach znikali.

Konie okryły się pianą, koniuszy po godzinie takiego biegu zaklinał by się zatrzymać. Cosel słuchać nie chciała, w ostatku zwolniła nieco biegu i u wrót starej chaty sama zatrzymała białego. Stanęli wszyscy... konie dyszały i parskały. We wrotach od podwórka stała kobieta żółta, wynędzniała, okryta płachtą, podparta na kijku. Popatrzała na jeźdźców z jakąś obojętnością, jakby innego świata istota i odwróciła oczy.

Raz tylko wzrok jęj spotkał oczy Cosel, a piękna królowa wewnątrz zadrżała od niego.

Spytano kobiety o orszak królewski: potrzaskała głową.

— Alboż wiem co król i co królewskie? — zapytała. — My królów nie mamy... nasi pomarli.

Mówiła to zwolna i obojętnie i mową łamaną i akcentem obcym.

W chwili gdy ją rozpytywać zaczęto, z chaty wyszedł w granatowym przyodziewku z wielkimi guzami, mężczyzna lat średnich... z włosami długimi, w krótkich spodniach i pończochach; zdjął kapelusz pokornie i gości pozdrowił czystą saską niemczyzną.

Zawiadomił on że król przed trzema kwadransami może w istocie przejeżdżał drogą, ale parł tak konia, iż go pewnie dogonić nie było podobną, chyba gdzie spoczywał, a do Stołpów nie potrzebował król wydychać.

Cosel straciła nadzieję wyścignienia go, spytała o krótszą drogę, choćby być miała najgorszą; ale żadnej nie było, gdyż w prawo doliny były przetrzięte trzęsawiskami i gęstymi zaroślami, którychby konie przebyć nie mogły...

Cosel skoczyła z siodła, dając chwilę spoczynku swym towarzyszom. Gorąco dopiekało, rzucili się wszyscy do wody: Niemiec ofiarował się z piwem... Na ten raz i wiejski ów napój przykwaśniały wydał się wyśmienitym...

— Cóż to za kobieta? — spytała Cosel gospodarza wskazując żebraczkę stojącą ciągle o kijku w bramie i wcale nawet nieokazującą ciekawości dla pięknej pani.

Niemiec wzruszył ramionami pogardliwie.

— To jest... słowianka... wendka! Nie mogę się jęj ztąd pozbyć... Mówi że ten dwór niegdyś do jęj ojca należał... Mieszka tu gdzieś nieopodal w ziemiance wykopanej a raczej rękami wydartej pod górą; nie wiem czym żyje, a chodzi mi po polach całe dnie i mruczy: któż wie, pewnie szatańskie jakie zaklęcia!! bo to niezawodnie czarownica... Chciałem jęj zapłacić by sobie poszła gdzie dalej, ale się ruszyć ztąd nie chce, mówiąc że to ojców jęj ziemia i że na niej umrzeć i kości złożyć musi.

Nieraz nocą gdy burza ryczy, ona śpiewa, a nam dreszcz chodzi po skórze słysząc ten głos... I nie bardzo ją wypędząć można — dodał coraz ciszej — umie ona wiele, zaklęcia ma na szatanów że jęj służą, i czary straszne.

Po chwili z westchnieniem dodał:

— I prorokuje przez szatana... a doprawdy nie myli się nigdy...

Cosel zaciękawiona zwróciła ku niej oczy i podbiegła... Ona jedna była tak śmiała, bo reszta towarzystwa na wzmiankę o czarach rozsunała się i rozpierzchnęła ustawiając nieco opodal.

— Jak jęj imię? — spytała Niemca.

Zawahał się gospodarz i tak cicho że go ledwie usłyszeć było można szepnął: Mława.

Choć Cosel z trudnością rozeznała głos jego stłumiony, stara ruszyła się jakby posłyszała swe imię; podniosła głowę wychudłą dumnie, strzepnęła długimi włosy które ją wkolo obwieszały, i zdawała się obrażona szukać oczyma czarnemi winowajcy co śmiał wymówić jęj imię.

Cosel niezważając na podziw tych co ją otaczali z wolna zbliżyła się do staręj. Przez chwilę śmiało obie patrzyły sobie w oczy.

— Kto ty jesteś stara? — spytała w końcu Cosel — żal mi twych siwych włosów sponiewieranych w pyłe i nędry twęj; powiedz dlaczego jesteś tak biędna? jak...?

Mława potrząsła głową.

— Ja nie jestem biędna — odezwała się dumnym głosem — ja w sobie noszę jasnych lat pamiątkę, ja tu jeszcze jestem czém był mój ród dawnięj: królową...

— Ty? królową? — rozśmiała się Cosel...

— Tak! mogłam być nią, bo krew królów tęj ziemi starych płynie we mnie, tak jak ty... choć dziś królową jesteś, możesz być jutro nędznicą mnie podobną... Na świecie wszystko możliwe...

— Jakich królów, jakięj ziemi? — poczęła zadumana Cosel — ty?

Stara podniosła rękę i wskazała kraj dokoła.

— Wszystko to było nasze... wszystko, pókiście wy nie przyšli i ziemi nie skuli, a nas nie wybili jak dzikiego zwierza. Bo myśmy byli dobrzy i szliśmy z chlebem, solą i pieśnią, a wyście szli z żelazem, żagwią i śmiechem... I siedliście i rozmnożyło się plemię Niemców i wyparło nas z ojcowizny... To ziemia moja! — powtórzyła zadumana — i choć tu żyć nie mogę, ja umrzeć tu muszę... Ztąd dusza do swoich znajdzie drogę...

— Umiesz wróżyć? — spytała Cosel po chwili, jakby gorączkową ciekawością zdjęta...

— Jak komu? jak kiedy? — obojętnie rzekła Mława.

— A mnie?

Stara popatrzała na nią długo i z politowaniem.

— Poco ci wróżba? — spytała — kto doszedł tak wysoko, ten tylko spaść może: nie pytaj...

Cosel pobladła, ale uśmiechem chciała okazać męztwo, choć się jęj wargi trzęsły a lzy nabiegały do oczów...

— Cóż mi powiesz? ja się niczego nie boję — rzekła. — Umiem szczęściu patrzeć w oczy jak w słońce, potrafię spojrzeć w ciemności...

— A gdyby noc była długą... długą...?

— Nie będzie wieczną? — odparła Cosel...

— Któż wie? kto wie? — szeptała Mława i wyciągnęła dłoń.

— Pokaż mi rękę...

Hrabina nieco się cofnęła lękając, by jęj dotknąć nie chciała, naówczas wierżono w czary.

— Nie bój się, moja piękna — spokojnie odparła Mława — nie zbruczę ci białych paluszków... oczyma tylko jęj dotknę...

Posłuszną Cosel zdjęła rękawiczkę, i śliczna biała jak z kości słoniowej utoczona dłoń błysnęła pierścieniami okryta przed oczyma zdumionęj kobięty... Chciwie zmierzyła ją wzrokiem...

— Śliczna rączka! warta by królowie ssali z nięj słodycze... ale, dziecko moje... straszne na nięj znaki... Ta dłoń nie jeden raz dotknęła twarzy, która na nią zuchwale spojrzała? nieprawdaż?

Cosel zarumieniła się, Mława głową wahając zamyślona stała.

— Cóż mi powiesz? — szepnęła niespokojna hrabina.

— Jedziesz do przeznaczeń twoich? Któż uniknął kiedy losu? kto kiedy przepaść zobaczył? Po długim szczęściu czeka cię dłuższa, o! dłuższa pokuta... czeka cię niewola... dni nieprzeżyte, nocy nie przespane, lzy nie policzone... będziesz z dziećmi bezdzietną,

będziesz z mężem wdową, będziesz królową a niewolnicą, będziesz wolną i odtrącisz swobodę... będziesz... o! nie pytaj...

Cosel blada była jak marmur, ale się jeszcze uśmiechać chciała: usta się jęj skrzywiły.

— Com ci przewiniła, — rzekła — że chcesz mnie przerazić?

— Ja się lituję nad tobą — odezwała się Mława. — Po co było chcieć wglądać w duszę moją... tam piołuny tylko rosną, ze słów gorycz płynie. Żał mi cię, — spuściła głowę stara.

Ty jedna! co ty jedna! to tysiące na tej ziemi przeboleło... przejęczało i pomarło bez mogiły i proch ich wiatry rozwiały... Jak ty jęczały tysiące długą a długą niewolą... ojcowie moi, dziadowie moi, praszczury nasze, królowie, jam już ostatnia: Niemiec wypędził mnie z domu.

Nie mówiąc nic Cosel dobyteła złoty pieniądz i chciała go położyć na ręce stariej, ale ta się cofnęła.

— Nie wezmę, — rzekła — jałmużny nie chcę, a dług wasz zapłacicie kiedyś inaczej: liczą go tam!

Podniosła palce do góry i zerwawszy się otulona płachtą powlokła się poza płoty na łąkę.

W czasie tej rozmowy towarzysze Cosel szli w oddaleniu podziwając jęj odwagę; niemiec także gospodarz wpatrywał się w tę scenę, od której tylko ciche dochodziło go mruczenie. Nikt nie śmiał spytać Cosel dlaczego była tak bladą, dlaczego zamyślona chwyciła konia za grzywę i siadłszy rzuciła mu prawie cugle na szyję, dając iść jak zechce.

I jechali znowu, lecz nie cwalem, nie pogonią: konie parskaly. Zdala ukazywały się spiczaste piętrzące wysokie wieże. Koniuszy cicho wymówił:

— Stolpen.

Po godzinnęj prawie drodze zdążyli do stóp zamku. Naprzeciw palisady z bazaltów czarnych stała tu cała kalwakata króla, oczekując zdala już dojrzanej hrabiny.

August wyszedł naprzeciw nięj śmiejąc się.

— Godzinę najmniej czekałem! — rzekł.

— A jam półgodziny zmarnowała z jakąś żebraczką, której sobie wróżyć kazałam! — odpowiedziała Cosel.

Król zdziwiony spojrział na nią.

— I wywróżyła? — zapytał.

Anna popatrzała nań i lzy jęj z oczów pociekły. Było to tak dziwne zjawisko, że August się zmięszał i nastraszył. Uśmiechem i czułością starał się jęj wesołość zwykłą przywrócić.

— Co za wspaniałe stare biskupów dawnych Meisseńskich zamczysko! — rzekł wskazując na mury.

— Szkaradne! okropne! straszne! — odezwała się Cosel wstrząsając — dziwi mnie, że król mógł tu jechać dla zabawy, gdzie groza i wspomnienia katostw i wojny królują.

— Bo, pani moja — przerwał August — oczy twe śliczne i najposępniejszą dla mnie mogą rozjaśnić okolicę: z tobą mi wesoło wszędzie.

I podał jęj rękę, na której Cosel zamyślona sparała się i zwiesiła. Poszli tak razem w okół straszego zamczyska. Hrabina była milcząca, król pogodnego oblicza; któż wie? myślał może, gdy mu na Sonnen i Königsteinie ciasno było z więźniami, tu niektórych umieścić, i dlatego zamek okrążywszy dokoła, zapragnął wnijsć do środka: Cosel go zatrzymała.

Stała w progu poglądając na czarne wieże i mury. Król poszedł dalej. Oglądał wieżę Donatha, zajrzał do izb gdzie niegdyś były katownie, przypatrzył się Janowej wieżycy zbudowanej przez biskupa Jana VI, i klucznik idący przodem pokazał mu znowu katownie drugie, podziemię zwane „Dól Mniszy” (*Mönchsloch*), w którym karano zakonników, więzienia „Richtergehorsam” Janowe i loch „Burquerssiess,” do którego skazanych po drabinie spuszczano. Wszystkie one były w dość dobrym stanie, lecz puste. August oglądał je z ciekawością zaostrzoną, jakby w nich szukał śladów ludzi i męczarni; naostatek rzuciwszy okiem na mury forteczne wyszedł powoli.

Zastał Cosel tam gdzie ją zostawił, w niezwykłym pogrążoną zadumaniu i z przestraszeniem niekiedy rzucającą okiem na wieże zamkowe.

— Cel dzisiejszej przejażdżki wcale nie wesoły — ozwała się głosem zmienionym — nie można jęj nazwać rozrywką. Chociaż nie widziałam zamku, robi na mnie wrażenie bolesne: zdaje się, że słyszę jęk ludzi co tu cierpieli.

August się uśmiechnął.

— Nie stało się to niewinnie — rzekł obojętnie — trudno mieć czułość dla wszystkich. Ale zkądże ci piękna hrabino, te czarne myśli przychodzą? Odwróćmy się plecami do zamku i idźmy do zwierzyńca. Kazałem tam pod namiotem rozstawić stoły... napędzą nam zwierza, ożywisz się i będziemy przyklaskiwali jak zwykle twój zręczności.

Jak król rozkazał stało się: u wnijsia do zwierzyńca, pod wspaniałym namiotem tureckim, który pamiętał Wiedeńską wyprawę, stoły były w gotowości. Cosel zajęła pierwsze miejsce. Słońce się było podniosło i dopiekało silnie, powietrze ciężkiem się stało do oddychania i skwar czuć było nawet w usposobieniach wesołego zwykle towarzystwa, które się rozbawić nie mogło. Kyan, który przybył z królem, smutny i zwieszony nad kielichem, nie próbował błysnąć dowcipem zawsze gotowym. August nie lubił w swoim otoczeniu takiego pogrzebowego milczenia, prędko więc obniesiono jedzenie, pozdejmowano srebra i łowczowie przynieśli strzelby, z którymi wszyscy weszli w głąb zwierzyńca.

Cosel poszła także z królem, ale z namarszczonemi brwiami; przypisywano to przepowiedni obląkanej kobiety, na którą nastęrczyła się sama niepotrzebnie. W uszach jej w istocie brzmiały wyrazy biednej Mławy prorokujące straszną przyszłość a choć w tej chwili nic w świecie domyślać się jej nie dozwalało, Cosel posępną była i smutną. August za nią okazywał nie zwyczajną wesołość i jakby na przekór unosił się nad pięknnością Stołpów i mocą warowni, która u granic saskiego kraju mogła stać na jego straży.

Nad wieczór już po zabiciu kilku sarn i dzików, król siadł na koń. Cosel jechała przy nim, ale gdy wyruszyli od stóp góry i mijali już miasteczko, z zachodu nadsięgnęła chmura czarna, przed którą znowu do zamku schronić się musiano. W mieście nie było innego gotowego na przyjęcie królewskich gości schronienia. Więc choć od wieków zamek Kurfirstów nie przyjmował, musiano zardzewiałe drzwi komnaty okrągłej w Janowej wieży otworzyć. Służba pomieściła się chroniąc od ulewy i deszczu pod bramą Donatową i w murach pustych twierdzy. August i Cosel schronili się do starej komnaty sklepionej.

Kilka stołków drewnianych, ławy i stół dębowy, składały cały sprzęt tego smutnego więziennego mieszkania. Cosel wszedłszy doń obejrzała się, wzdrygnęła i przytuliła do króla.

— Panie mój — rzekła — jakże tu okropnie, jak smutno, jak trupem czuć te pustki!

— Gdybym był przeczuł że się tu schronić będziemy musieli, byłbym choć jedną izbę przybrać kazał. Cóż chcesz, nikt tu prócz mnichów i więźniów a ich dozorców nie mieszkał. Nie jest to miejsce rozkoszy... mury choć nieme czuć przeszłością.

Jakby dla zwiększenia wrażenia tej chwili na umyśle kobiety, która może pierwszy raz w życiu strwożoną się czuła; nadeszła ulewa z gradem tłukąc w okna oprawne ołowiem, sypiąc jakby kamieniami po dachach i błyskawice następujące bez przestanku po sobie, zdawały się w ciskać do izb wnętrza. Z ogromnym hukiem i przerażającą jasnością na wieżę Donatową uderzył piorun, objął ją płomieniem i zlał się ku ziemi. Cosel krzyknęła z trwogi, król stał nieporuszony... ognia wszakże nie wzniecił grom z góry i po nim puścił się tylko deszcz rześsisty.

Pół godziny wrzał tak wichur z ulewą po nad zamkiem, kilka jeszcze piorunów padło w bliskości, aż na zachodzie złotym pasem oświecone pokazało się niebo i ciężar chmur czarnych na wschód się cały przewalił...

Deszcz skończył się jakby rosą cichą i słońce znowu z za poszarpanych chmur końców jasnymi promieniami strzeliło.

Cosel odetchnęła. A! jedźmy, panie mój — zawołała — jedźmy, jedźmy: ja tu nie mogę oddychać!

W chwilę już siedzieli wszyscy na koniach i orzeźwieni powietrzem burzą ochłodlęm, zdążyli nazad ku miastu. Gdy przyszło przed chatą, u której stała Mława z rana, przejeżdżać, Cosel szukała jej oczyma, ale tam jej już nie było. Opodał nieco czatowała zdało się, aby króla zobaczyć. Milcząc rzuciła okiem na Cosel i z politowaniem uśmiechnęła się do niej jak dawna znajoma: August konia spiął odwracając się ze wstrętem.

Tak co dzień nową jakąś rozrywką starał się czas skrócić sobie odepchnięty od korony, co go tyle kosztowała, król August II. Miał on nienawiść dla Karola XII, narzekał na przeciwnie losy, lecz nic nie dorównywało jego niechęci ku niewdzięcznym Polakom. Im wszystkie przypisywał nieszczęścia swoje i ci co tajemnie mu sprzyjając przybywali się pokłonić jeszcze, jakby przeczuwając przyszłość, doświadczali od niego gniewów jakie miał w sercu dla całego kraju. Król siłacz co o sławę bohatera wojownika był zazdrosny,

który się malować kazał we zbroi i rycerskiej postawie, nie mógł zapomnieć że go zwyciężył młodziak niepozorny i we własnym kraju mu się rządził.

Potrzebował podnieść swą sławę nadwierzoną jakimś czynem i wysługując się razem cesarzowi, wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi przeciw Francuzom do Flandryi. Zachowywał jak najściślej *incognito* i wmieszał się w dwór księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Tu chciał koniecznie błysnąć odwagą, zyskać oklaski i narażał się osobiście do tego stopnia iż go ks. Eugeniusz i ks. Marlborough musieli odwozić, by próżno nie święcił tak drogiego życia.

— Na wojnie — rzekł król — trzeba być trochę kalwinistą i wierzyć w przeznaczenie.

Złośliwi ludzie szepotali z tego powodu, że król mimo świeżo przyjętego katolicyzmu, podobno w nic nie wierzył. „Powiadają że August wiarę zmienił — pisze Loeu — mógłbym to przypuścić, gdyby ją kiedy miał.” To pewna, że już po przyjęciu katolicyzmu, ogromnemu psu faworytowi, bodaj temu co stłukł szacowną flaszkę z merkuryuszem Böttigera, różaniec kładł dla zabawy na szyję...

Nie długo wytrzymał na wojnie, która dlań była rozrywką, przewidując że oblężenie Lisle za długo się pociągnąć może, zatęsknił król do Saksonii — i Cosel.

Jednakże w ścisłym *incognito* pod imieniem hrabiego Torgau wstąpił do Brukselli, gdzie jak najpilniej mu było zaprosić sobie na wieczrę tancerkę Dupare, do sławnego naówczas restauratora Vernus pod znakiem obfitości. Cztery panny z opery, król, Vitzthum, Bauditz i hrabia W... zabawiali się do rana, a August pannę Dupare do Drezna zaprosił. Znać mu już hrabina była coraz obojętniejszą, a życie tak ciężkie do dźwigania.

XIII

W czasie niebytności króla, namiestnik Fürstemberg i hr. Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby się starać z pod panowania Cosel wyzwolić. Rozkazywała im jak królowa, obchodziła się z nimi z dumą kobiety, która ufa w siły swoje, szafowała pieniędzmi jak dziecię, które nie zna ich wartości. Przewaga jaką miała nad królem przerażała wszystkich i obóz nieprzyjaciół z każdym się dniem powiększała. Żadna z ulubienic królewskich nie miała takiej potęgi, wiary w siebie, i nie umiała tak długo niestałego Augusta II utrzymać przy sobie. Można było znieść fantazją pańską, ale dać się ugruntować władzy, która wznosiła się codziennie, stawano się niebezpieczeństwem dla wszystkich. Gorączkowo pragnął dwór cały kimkolwiek zastąpić Cosel, a obalić ją koniecznie. Hrabina raczej domyślała się tego niż wiedziała o knowaniach, ale gardziła nimi. Gdy jej donosił o nich wierny Zaklika, który się przysłuchiwał co po dworze krążyło, Cosel śmiała się pogardliwie.

Powoli gromadziły się, skupiały wszystkie siły nieprzyjaciół, chociaż nie śmieli jeszcze wypowiedzieć jawnie wojny. Czekano w królu pewnych symptomów, któreby oznajmiły znużenie i wskazały że walka da się rozpocząć z nadzieją zwycięstwa. Z jednej strony stały sprzymierzone siły ludzi nadzwyczaj zręcznych i przebiegłych, w intrydze dworskiej od młodości wyćwiczonych, przez zepsute i chytne kobiety posiłkowanych; z drugiej Cosel dumna, zarozumiała, szlachetna, ufna w swe siły i wdzięki, w swe urojone żony nazwisko, w węzeł który stanowiły przyznane jej dzieci... kilku przyjaciół nie mających znaczenia i kilka osób dwubarwnych, co gościły w obu obozach, wyczekując przewagi jednego aby się doń przyłączyć. Zanosilo się na wojnę długą, ale przeciwnicy Cosel mieli przy zawziętości cierpliwość i w charakterze króla pewność skutku pomyślnego.

Cosel musiało się wreszcie sprzykrzyć ze swemi fantazyami, nienasyconą żądzą przepychu, królewską dumą i charakterem porywczym. Dotąd król znajdował w nim zabawę, lecz przebrana miara lada chwila mogła szaleć na stronę drugą przeważać.

Można powiedzieć iż wszystko co było na dworze znaczniejszego i więcej znaczącego, stało w obozie przeciwnym... Ks. Fürstemberg, hr. Flemming, hr. Reuss, panna Hülchen, Vitzthumowa liczyły się teraz do zajadłych przeciwniczek. Nieznośna Glasenappowa wkręciła się do domu hrabiny tylko aby ją szpiegować i plotki od niej wynosić.

Korzystając z niebytności króla, w czasie jego pobytu we Flandryi, namiestnik ze swjej strony, Flemming oddzielnie zmówili się na to, aby króla doniesieniami o zbytkach i przepychu dworu hrabiny, powoli do niej zniechęcać.

Odmalowali wymagania jój w tak przesadnych barwach, że August znudzony, polecił pewną położyć im tamę. Chwycił się tego Fürstemberg oparłszy kilka razy rozkazom wszechwładnej pani, która, gdyby nie stan jój niedozwalający szukać z nim spotkania, odgrażała się opoliczkować go publicznie. Znający charakter p. Cosel, mogli uwierzyć iż spełniłaby to co obiecywała. Nieostrożne słowo Flemminga ściągnęło nań także burzę i groźby.

Pochlebiali sobie jednak oba, wiedząc z listów Bauditza o zaproszeniu panny Duparc do Drezna, że panowanie faworyty mogło przeminąć i że pora przyszła stanowczo przeciwko niej wystąpić.

Tymczasem król od obozu przybywszy do Drezna, nie spojrzawszy na Fürstberga, poszedł wprost do pałacu czterech pór roku, gdzie zastał Cosel znowu ledwie wstającą z łóżka po chorobie, piękniejszą niż kiedy, czując a splakaną.

— A! panie, — zawołała rzucając mu się na szyję — zawsze pragnę i pragnęłam powrotu twojego, choćby godzinę tylko trwało oddalenie, ale nigdy może nie tęskniłam tak do twego powrotu! Wybaw mnie od prześladowania. Jestemże jeszcze panią twego serca, czyś mnie już z niego wyrzucił, aby ci ludzie mogli się pastwić nademną!

— Kto? — zapytał król.

— Twoi najlepsi powiernicy i przyjaciele, ten opój przebrzydły Flemming, ten przewrotny świętoszek Fürstemberg, uczynili mnie pośmiewiskiem... spikali się na to by mnie chorą życia zmartwieniem pozbawić. Panie, ratuj mnie, lub powiedz czyś już wyrok wydał na mnie!

Po długiém niewidzeniu, Cosel odzyskała wdziękiem niezrównanym jaki posiadała dawną swą władzę nad królem: August pocałował ją uspokajając.

— Fürstbergowi i Flemmingowi uszu natrę.. sędzę że i chora wzięła zbyt do serca to co może bez złej woli!

— Bez złej woli, ale to są śmiertelni wrogowie moi, tak jak tu wszyscy... niemi tylko jestem otoczona. Zazdrośni radziby mnie wyrwać z twojego serca.

Cosel płakała, król też nie lubił i starał się ją ukoić.

Gdy po kilkogodziném pobycie wyszedł do zamku, był już pod urokiem i na pierwszy wyraz oskarżenia, z którym Fürstemberg wystąpił, odpowiedział mu sucho, aby jutro szedł hrabinę przeprosić: księżę zamilkł.

— I ty i Flemming winniście; ale nie cierpię kłótni i sfarów u mnie; jutro musicie być u niej: pogodzę was.

Flemming który sobie czasem pozwalał królowi sprzeciwiać, odparł:

— N. Panie, toby było dla mnie zbyt upokarzającym!

— A jednak przez to przejść musisz — odpowiedział król — inaczej musiałbyś chyba ze dworu ustąpić, nie obeszłoby się bez kłótni przy pierwszym spotkaniu. Cosel nie przebaca łatwo, a ja awantur nie lubię.

Napróżno generał się oburzał i paraskał, spojrzeli po sobie z Fürstbergiem... chwila nie była nadeszła jeszcze, trzeba się było poddać króla rozkazom.

Nie dalej jak nazajutrz król obu powołał kazał do pałacu czterech pór roku: musieli stawić się oba. Cosel była zarumieniona od gniewu i dumną jak królowa. August sam wprowadził winowajców.

— Sędzę — rzekł — że tylko nieporozumienie mogło być przyczyną, iż hrabina mi się uskarżała na niewzględne z nią obejście. Radbym zatrzyć wspomnienie to... hrabina zapomni, panowie jako grzeczni i szanujący pleć piękną nie weźmiecie jój za złe, jeśli tam słówko jakie w żalu rzuciła. Proszę to puścić z obu stron w niepamięć.

Gdy król to mówił, z obu stron zmierzono się oczyma. Coseli wzrok był jeszcze gniewu pełen i oburzenia, Fürstberga nienawiści, Flemminga chytrego szyderstwa. Skłonili się jednak oba grzecznie bardzo, a mruczenie ich można było wzięść za komplement.

Z obu stron nie ludzono się wcale szczerością zgody, wiedzano że to był rozejm do czasu i że walka rozpocznie się przy pierwszej do niej zręczności. Po tém urzędowém przejednaniu, którego i sam król pewnie czuł pozorność, księżę i generał przemówiwszy kilka słów obojętnych i chłodnych odeszli. Król pozostał u Coseli. Pięć już lat trwała miłość jego stała przynajmniej powierzchownie dla pięknej hrabini, oczekiwano co chwila przesytu i zmiany: napróżno. Hrabina Reuss i Vitzthum kandydatki do tronu, napróżno śledziły zmarszczki na czole Coseli, próżno upatrywały zaćmienia blasku jój piękności; była

to jedna z tych dziwnych istot, obdarzonych niemal nieśmiertelną młodością, których lice marmurowe żadna boleść wyszczerbić nie może. Pokątne miłostki króla nietrwale, gminne, mogły go rozrywać, ale nie potrafiły zastąpić przywiązania do kobiety, która miała za sobą i charakter szlachetny i umysł wykształcony i wszystko coby ją wśród tysiąca innych odznaczyć mogło. Z hrabiną Cosel August pełen próżności mógł się pochwalić przed światem, mógł ją pokazać i chlubić się zdobyczą: wszystkich innych musiał się wstydić. Żadna z tych co poprzedziły Annę nie dorównywała jej ani pięknnością, ani umysłem, ani charakterem. Napróżno chciano coś znaleźć przeciwko niej, coby choć do zręcznej potwarzy dostarczyło oręża; złość czuła się bezsilną, bo życie pani Cosel jawne całe, nie miało żadnych tajemnic; niezmierna pycha tylko i powtarzane jej zapomnienia że jest żoną i królową, całą winę stanowić mogły.

Wkrótce po tej scenie zręczni nieprzyjaciele w inny sposób postarali się króla z nią poróżnić. Zaproszenie tanecznicy Duparc do Drezna, dało im w ręce oręż. Wiedzieli jak Cosel była zazdrosną i ile razy August musiał od niej znosić najprzykrzejsze wymówki i groźby z powodu bałamuctw swoich. Użyto Glasenappową. Zamawiając pannę Duparc, król nie przyznał się jej wcale kim był, poznała go pod imieniem hrabiego Torgau, a przybywszy do stolicy biegała napróżno szukając tego nazwiska... Miała ona tu ciotkę w teatrze...

Ta zaprowadziła ją do szambelana Murdachs, dyrektora zabaw królewskich, który był o wszystkim uwiadomiony. Zdziwiła się ciotka niezmiernie gdy pan szambelan przyjął Duparc ze szczególnymi względami, ofiarował zaraz wszelkie jej żądania spełnić i wyraził życzenie aby wystąpiła w balecie Księżnej Elidy, który właśnie przygotowywano na powrót królewski. Wszystko to miało być dziełem hrabiego Torgau, w którym ciotka i panna zaczęły się już króla domyślać. Domyślano się go więc jeszcze po bezimiennych darach jakie jej przysłał.

Cały dwór zaraz wiedział, że Duparc ujrzałszy króla w teatrze i poznawszy w nim hrabiego Torgau, omdlała z radości; że król aktorowi Beltour kazał ją ratować, i że Cosel uraziła się tą wielką troskliwością Augusta o zdrowie awanturnicy.

— Zdaje mi się, N. Panie — odezwała się hrabina urażona, — że to jest zbytek łaski, opiekować się tak nieznaną jakąś istotą, wcale zapewne nie zasługującą na te względy.

August się obraził i odparł sucho:

— Prawda, że nieraz mi można było wyrzucać zbytek dobroci dla osób, które jej nadużywały; sądzę wszakże, iż ta Duparc skromniejszą będzie.

Scena w łoży się odbywała. Cosel nie poskramiając ani ruchu ani głosów, rzuciła się w głąb na siedzeniu wołając:

— W. Kr. Mość masz szczególny gust do ulicznic.

Lękając się aby z tych słów scena nie wybuchła publiczna, o którą nie było trudno, król wstał i wyszedł do łoży królowej, z którą był brat jej margrabia Brandeburg-Bareuth.

Chwilę wystawiona na oczy całego dworu i szyderskie uśmiechy, hrabina przesiedziała ze spuszczoną głową, zawołała że jej się robi słabo. Kazała podać lektykę i powróciła do domu. Tym razem król, który sobie w fantazyach swych zawadzać nikomu nie dawał, rozgniewany, ani poszedł do niej, ani się kazał dowiedzieć.

We łzach, w rozpacz, w gniewie Cosel spędziła wieczór cały. Już się gościa żadnego spodziewać nie mogła, gdy późno w noc wdarła się prawie przemocą bar. Glasenappowa.

Nieprzyjaciółom hrabiny zdawało się że już rozjątrzoną, podbudzając jeszcze do wybuchów zazdrości, których król widocznie na ten raz znosić nie chciał, zdołają przyspieszyć zerwanie.

Duparc wprawdzie nie mogła się mierzyć z Anną, ani się jej kiedy śniło by dostąpiła tego szczęścia; lecz szło tylko o to, aby obalić panią Cosel lub przynajmniej zachwiać jej potęgę. Glasenappowej powierzono rolę dla niej bardzo właściwą. Wbiegła udając nadzwyczajną litość i współczucie, a zastawszy Annę we łzach leżącą na kanapie, przypadła do niej szczebiocząc.

— Nie możesz uwierzyć — zawołała — jak mi się serce ściska nad losem twoim. Wiem wszystko, widziałam! burzam się... boleję... ale to nie koniec. Nie wiesz nic. Król brawuje się... Król zaraz po wyjściu twém zapowiedział panu Murdachs, że kazał do niego zanieść wieczerzę i że ma na nią Duparc i trzy inne aktorki zaprosić. Wiem to z najlepszych źródeł, po teatrze król poszedł do szambelana. Duparc przed nim na kolana upadła... przy

wieczery król był w najlepszym humorze i zapewne tam jest dotąd, odprawiwszy trzy inne aktorki, którym dano po sukni i po sto talarów.

Cosel wysłuchała plotki, z lekka odręczając natarczywą Glasenappowę.

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiedziała — nie sądzę bym była zazdrośną, przeżyłam już wiele... odnowioną miłość dla ks. Teschen i Henryetty Duval i innych wiele, ale płaczę nad poniżeniem króla, który sobie większą niż mnie krzywdę czyni.

To mówiąc wstała Cosel z kanapy, ocierając łzy; przybycie improwizowanej tój przyjaciółki, pośpiech jój, dały uczuć hrabinie podstępny intrygę i skutek sprawiły przeciwny, pozornie ją uspokoiły.

Glasenappowa naprózno usiłowała gniew w niej rozbudzić: wrzał on w sercu, lecz nie występował na usta... Cosel potrafiła się pokonać.

— Kochana baronowo, — rzekła w końcu — zbyt stoję wysoko ażeby mnie kaprys króla miał dotknąć; nie jest on pierwszym, nie będzie pewnie ostatnim... my kobiety powinnyśmy być do nich przywykłe. Wstydzę się za króla, ale nie sądzę ażeby mi to serce jego wydrzeć miało.

Nazajutrz król ochłonął z tych zapałów, zrana nie przydał wprawdzie do Cosel, lękał się jój porywczosci, posłał na zwiady Vitzthuma.

Vitzthum nie należał dotąd do żadnych intryg przeciw Annie, żyli z sobą dobrze. Przyszedł jakby od siebie dowiedzieć się o jój zdrowie. Znalazł ją całę niespodzianie, starszą córeczkę trzymającą na kolanach, smutną ale spokojną. O wczorajszym wypadku nie wspomniała mu ani słowa; on także zapytawszy jak się miała, nie śmiał potrącić o drażliwe wspomnienie.

— Jestem zdrowa, jak hrabia widzisz — ze smutnym uśmiechem odezwała się Cosel — czy znać co po mnie? powiedz mi.

— Pani jesteś zawsze piękną.

— Hrabia jesteś zawsze dobry i grzeczny.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Vitzthum widząc, że ona pierwsza nie pocznę pewnie o królu i Duparc, zabawił chwilę i powrócił oznajmić iż Cosel znalazł nadszdziewanie spokojną.

Zdaleka cała partya przeciwna z niezmierną ciekawością oczekiwała czy król zbliży się do Cosel, wczoraj okazawszy jój gniew tak wyraźny. Nad wieczór August poszedł.

Wieść gruchnęła i twarze się przedłużyły. Rachowano nieco na gwałtowność hrabiny jeszcze.

Tym czasem i ona i August okazali przy spotkaniu zbyt wiele rozwagi, aby do zerwania przyjść mogło. Król nie chciał porzucić Anny, nawykł do jój towarzystwa, a choć gwałtowna miłość dla niej, dawno już była wygorzała w sercu nie stałem, nałóg w nim pozostał. Do Duparc przyznać się nie mógł. Cosel sądziła się żoną, była matką i postanowiła naśladować królowę znieść bałamuctwa męża.

— Zrobiłaś mi wczoraj nie miłą scenę w teatrze — odezwał się król — nie znoszę takich publicznych swarów, które mnie i wam nie przystały.

— N. Panie, moja miłość dla was...

— Niechże będzie rozsądną — przerwał król.

— Miłości cechą, że rozsądną być nie może, — dodała Cosel. — Ja również niepodobnej rzeczy wymagam od miłości pana mojego, to jest, żeby była stałą.

— Ja zaś od was byście śmiesznej pozbyliście się zazdrości.

— Nie dawaj do niej powodu, N. Panie — szepnęła Cosel.

Król ramionami ruszył. — Dzieciństwo.

Cosel powstrzymała się od wybuchów, wiedziała że jój nic nie grozi.

Stosunki z królem nie zmieniły się wcale, stały się tylko mniej serdecznymi: galanterya, ceremonialna nieco, zastąpiła dawną miłość.

Glasenappowa przysła drugiego dnia oznajmić iż Duparc ciągle ma z królem schadzki, że król obsypuje ją podarunkami. Hrabina przyjęła to zimno.

Towarzystwo hr. Ress i Fürstemberg, którzy się spodziewali innego przebiegu tój sprawy, zrozumieli iż Cosel z ofiarą uczuć swych, przemagając charakter, zadając gwałt uniesieniom postanowiła się utrzymać. Przestraszyło to nieprzyjaciół. Cosel jaką znali nie tyle zdawała się niebezpieczną, ta nowa, pamiętająca o sobie, trudniejszą się stawiała do obalenia.

Scena dramatyczna z panną Duparc, omdlenie jęj za kulisami, upadnienie do nóg króla, wieczerza u Murdachsa, cała ta historia karnawałowa, z której usiłowano wysnuć coś wielkiego, skutek zrobiła zupełnie przeciwny, król który się w pierwszej chwili niecierpliwił zazdrością Cosel, później znalazł w tej zazdrości dowód namiętnego przywiązania. Pochlebiało mu to... klócili się niemal codziennie o pannę Duparc, ale spory czułością się kończyły... August nie przyznawał się do winy.

— Moja droga hrabino — mówił uśmiechając się — tworzysz sobie fantazje jakieś aby się dręczyć niemi? Dlaczegoż sądzisz że mam kochać inną? Jakież dowody? czy mniej jestem czuły, chętny, posłuszny i dogadzający wszystkim twym zachceniom? czy na chwilę znalazłaś mnie oziębłym? Czyż mi nie wolno spojrzeć na kobietę, przemówić do niej, żebym zaraz o zakochanie się posądzonym nie był? Nie kryję się z tym wcale, mówię otwarcie, gdybym cię nad wyraz wszelki nie kochał, porzuciłbym dla tych nieustannych zazdrości...

Cosel odpowiadała wpół żartem...

— Wiem że cię męczę wymówkami, ale muszę mieć ciągle i baczne oko na miłostki mego pana... Pomimo to, nie zda się na nic moja podejrzliwość i obawy, będę oszukana i ja i tysiąc równie jak ja zazdrosnych.

Król się uśmiechał, ta rola jakiegoś Jupiter'a pochlebiała mu... tłumaczył się, gniewał niby i stawał coraz czulszym... Duparc też nie umiała go długo zająć, bo to była istota, która tylko tak zepsutemu i zdziczałemu panu jak król, i to chwilowo chyba podobać się mogła.

Gminne obejście się jęj i towarzyszek teatralnych, oburzało w N. Panu tém większe pragnienie przyzwoitszego towarzystwa... W krótkim przeciągu czasu Cosel nie tylko odzyskała władzę dawną, ale z przerażeniem tych co na jęj zgubę czychali, zdawała się ona rosnąć i ustalać...

Najlepszym dowodem że hrabina nie straciła nic w sercu króla kochanka, były w następnym roku odwiedziny króla duńskiego Fryderyka IV, powracającego z Włoch, i po drodze chcącego widzieć królową Eberhardynę swą ciotkę. August, który chwycił każdą taką zrzęcnosć następczącą się do tracenia pieniędzy na uroczystości i zabawy, któremi zdumiewał Europę, postanowił z przepychem jak największym przyjmować swego dostojnego siostrzeńca.

Sam on obmyślił plan świetnych zabaw jakimi go chciał zachwycić, a dawna poddanka króla duńskiego (rodem z Holsztynu) hrabina Cosel, wyznaczoną została do grania w nich pierwszej roli. Prawda że teraz nawet jeszcze hrabina była zawsze najpiękniejszą, że jęj nieprzyjaciele nawet nie mogli odmówić wdzięku jakim wszystkich czarowała. Szczególnie w takich razach gdy trzeba było wystąpić w postaci bogini, czarodziejki, królowej, Cosel postawą, majestatem, urokiem przewyższała co ją otaczało. Król zdawał się niejako uniewinniony że składał holdy tak wyjątkowej istocie.

Jak tylko dowiedziano się w Dreźnie o dniu przybycia Fryderyka IV, ułożony został program na cały czas jego pobytu. Pierwszego wieczora wysłano na spotkanie młodego Kurfirsa, księcia Fürstemberg namiestnika, hr. Flemminga, Pfluga z całym orszakiem szambelanów, paziów, dworzan, oddziałem wojska i muzyką.

Część tylko dnia tego hr. Cosel musiała pozostać w domu, aby królowej w oczach siostrzeńca nie wyrządzić bolesnej przykrości. Król w świetnym bardzo orszaku dworu wyjechał o dwie mile na powitanie i wprowadził do Dreznia, wśród bicia z dział, napływu ludu, dźwięku muzyki, oświetlenia ulic i gmachów, czarodziejskiego. Gwardye od złota lśniące ustawione były przy zamku... U wielkich wschodów królowa z synem czekała nań i wzięwszy między siebie króla prowadzili go na górę: za niemi szedł król sam.

W wielkich apartamentach dworu zgromadzone czekały nań damy, które królowa przedstawiała. Ale całe to przyjęcie urzędowe trwało bardzo krótko; król duński po rozmowie z ciotką i z rodziną, dał się wzięść Augustowi pod rękę i wieść do mieszkania, które dlań było przeznaczone. Tu zabawili chwilę... i przejściem krytym łączącym zamek z pałacem hrabiny Cosel udali się do niej dla spędzenia wieczoru... Uroczysta wieczerza z całym ceremoniałem dworu Augusta, który na wzór Ludwika XIV, kochał się w obrzędach połączonych z przepychem, zastawiona była w zamku, w wielkiej sali. Wszyscy urzędnicy dworu, krajczowie, podczaszowie, podkomorzowie, pазie w galowych ubiorach penili swe obowiązki u stołu...

Król duński siedział między królem a królową, a pierwszy toast wzniesiony powitały działa z wałów... Na galeryach grały muzyki, sale zielenią i kwiatami strojne połyskiwały złotem, obrazami, kryształami, bogactwy, jakim żaden może dwór w Europie nie zrównał.

Dokoła stołu którego serwis złoty i wysadzany kamieniami był prawdziwym dziełem sztuki, jak żywe kwiaty snuły się najpiękniejsze damy dworu Augusta, a wśród nich piękniejsza od wszystkich Cosel cała okryta dyamentami. Pas jój, sznury, naszyjnik, przepaski włosów, bransolety świeciły temi kroplami rosy, w których wyglądała jak nadziemskie jakieś zjawisko.

Król duński na którym jój piękność uczyniła wielkie wrażenie, a który był grzecznym i sądził że się tém przypodoba gospodarzowi, nie mógł znieść ażeby stała i prosił by jój usiąść dozwolono... Na skinienie króla podano taboret hrabinie, a że inne panie stać musiały, pomnożyło to ich gniew, oburzenie i zazdrość.

Pobył króla duńskiego trwał dni czterdzieści, ale wyobraźnia króla starczyła na zapewnienie ich coraz odmiennymi zabawami, ułożonemi z tą sztuką, jaka Augustowi była właściwą. Nikt lepiej nie umiał urozmaicić zabawy, urządzać niespodzianek, zachwycać pomysłami dziwaczniemi i był to może jedyny talent niezaprzeczony, który współcześni i potomni w nim uznają.

Zabawy dworu były równie kosztowne i wyszukane, naśladowano je później długo, ale nikt w tém Augustowi dorównać nie mógł. Karnawałowe igrzyska drezdeńskie, którym często za plac popisu służyły podwórce zamkowe lub rynek stary miasta, gromadziły dworaków i szlachtę przymuszoną jak najkosztowniej o własnym groszu występować, przywdziewając stroje najrozmaitszych narodów.

Myśliwskie zabawy były też najrozmaitsze: ściganie jeleni po lasach psami konno, szczwanie dzików w zwierzyńcach pod Dreznem, polowanie na zające, bażanty i kuropatwy w Wielkim ogrodzie, hece z niedźwiedziami w podwórcach zamkowych, szczucie lisów w zagrodach około pańskiej rezydencji. Najulubieńszymi łowy Augusta II były na dziki.

Igrzyska rycerskie, karuzele, uganianie się do pierścieni, piesze turnieje, strzelanie do celu przy pochodniach w umyślnie na to urządzonych strzelnicach na Zwingrze w rynku i t. p. zmieniały i urozmaicały myślistwo. Cel urządzano w ten sposób, iż trafny strzał zapalał fajerwerk i tysiące rakiet ulatywało do góry. Rozdawano nagrody, często bogate, czasem szyerskie, jak np. lisie ogony dla niezręcznych. Szlichtady w sankach najdziwaczniejszych kształtów należały także do najulubieńszych rozrywek.

Zabawą która dotrwała później na bogatych dworach w Polsce do końca XVIII wieku, były tak zwane gospody i jarmarki. Piękne panie przebierały się za oberżystki, wiwandierki, kupcowe i częstowały gości. Przebierano się za chłopów, za cyganów. Jarmarki te odbywały się najczęściej w nocy, przy świetnych iluminacjach, a w budach niektórych ustawiano teatru marionetek.

Gdy August szlichtadę zapowiedział a śnieg tając zaczął, tysiące wozów wieśniaczych na gościniec zwoziło śniegi!!

Maskarady i reduty w olbrzymiej sali zamkowej, w Zwingrze, na rynku odznaczały się też niezwykłą świetnością. Salę olbrzymią oświetlało siedm olbrzymich także kryształowych żyrandolów, w których do pięciu tysięcy woskowych świec zapalano; obok niej w sali audyencyonalnej zastawiano ośmnaście ogromnych stołów dla zaproszonych gości, okrytych wykwiłtami potrawy i napojami. Na maskarady wpuszczano ktokolwiek był odziany przyzwoicie i imię swe podał u wnijścia.

Niekiedy przy dobrym humorze, maski ruszały na miasto, wpadały do spokojnych domów i przestraszały mieszkańców... a swoboda karnawałowa nie dopuszczała zamknąć im drzwi przed nosem. Że wszyscy aż do woźnicy i sług maski mieli na twarzy, któż mógł odgadnąć, czy się król między maskami nie znajduje?

Francuzki teatr, włoska opera, baleta, koncerta, które ogromne summy kosztowały, przyczyniały się do uprzyjemnienia czasu. Niektórzy śpiewacy, muzycy brali summy znaczne, a widowiska te rocznie przeszło 80,000 talarów brały ze skarbu króla.

Wojkowe zabawy, przeglądy, manewra, udawane wojny, służyły też jako środki uprzyjemnienia czasu. Zakładano obozy w okolicy, i zamiast szaleć w stolicy, szalano pod gołym niebem. Każdy dzień zwał się inną uroczystością, wymagał nowych przyborów i strojów, ale na to król nie zważał wcale; komu była naznaczona rola na igrzysku, musiał się do ni-

ej stosownie wyekwipować na owe Jowiszowe gody, Marsowe igrzyska, święto Dyanny, Merkurego targowice i t. p. Lecz któż to zliczyć i opisać potrafi!

Czas pobytu króla duńskiego, cały ten szereg uroczystości wywołał: król August chciał mu dać pojęcie swój wspaniałości i bogactwa. Dla hrabiny Cosel była to jedna z najświetniejszych chwil tryumfu. Jój barwy kładli królowie, cyfry jój świeciły w fajerwerkach, wieszały się wśród zielonych wieńców; ona rozdawała nagrody, ona wiodła damy do pierścienia, gdyż w ćwiczeniach tych wprawna, celowała i nie jeden strzał szczęśliwy, zjednał jój naówczas oklaski. Piękna pani jaśniała szczęściem. Król mógł się nią pochłubić, wnikała w jego myśli, poddawała mu plany, pomagała do wykonania najdziwaczniejszych programów. Ze wszystkich wszakże uroczystości, najwspanialszy był pochód bogów i bogiń, który już raz w 1695 roku był wykonany, a teraz powtórzono go świetniej jeszcze, kosztowniej i z niezrównanym przepychem.

Król duński brał w nim udział także jako Jupiter, król August był Apollinem, hrabina Cosel przedstawiała Dyanę otoczoną najpiękniejszych nimf orszakiem. Za nią postępował złocisty wóz tryumfalny, w którym jechała muzyka. Nawet królowa nie mogła odmówić przystającemu jój miejsca w świątyni Vesty, jako kapłanka tej bogini.

August w istocie mógł jeszcze naówczas przedstawiać Apollina, tak piękną zachował postać, tak jeszcze oblicze promienne... tak ledwie przeżyte losy po posągówem jego obliczu, nie zostawiając śladów spłynęły.

Wszyscy znużeni ledwie mieli dość sił by tej zabawie podołać: Cosel była niezmordowaną, król w swym żywiole. Piękna hrabina nie oddaliła się na chwilę, nie znikła nigdy szukając ciszy i spoczynku, stała u boku króla uśmiechnięta i poila się kadzidły, od których zawrócić się mogła głowa biednej kobiecie.

Dla niej jednej sprawiono kobiecey wyścig do pierścieni, który był tryumfem nowym. Obaj królowie dnia tego nosili jój godła, kolory i cyfry; król duński ją prowadził, August szedł po prawej stronie, podkomorzy dworu po lewej.

Z łoży patrzyła królowa...

XIV

Wyścig ten do pierścieni, w którym Cosel konno, okazała nadzwyczajną zręczność i niezmierną odwagę we władaniu koniem i ćwiczeniach tak płci jój niewłaściwych, zdawał się w królu Augustcie, który z nią razem tryumfował, rozżarzać jeszcze uczucia.

Tłumy wybranych gości wpatrywały się w to widowisko, któremu dzień najpiękniejszy, najjaśniejsza pogoda i łagodne powietrze towarzyszyło.

W łożach i na galeryach otaczających podwórzec w którym się bieg ten odbywał, widać było tysiące twarzy i głów ciekawych i stroje najwykwintniejsze. Piękna amazonka z licem rozplamienioném, zręczna, zwinna, gibka, miała nadzwyczajne szczęście.

Królewscy widzowie przyklaskiwali, obaj królowie bogate dla niej przygotowali nagrody... nikt nie zważał na twarze reszty dworu posępne, na żółtkle oblicza dam, na szepty poza wachlarzami, na dziwną ciszę tłumu, który taił uczucia swoje.

W kącie wpośród dworu króla i urzędników którzy czynnego nie brali udziału w zabawie, stał Zaklika, wierny sługa hrabiny, jedyny może z tych co przywiązaniem niezłomnym płacili jój za dobrodziejstwa i kaprysy. Służba u hrabiny Cosel nie była wcale łatwą ani przyjemną, ale pan Rajmund służył raczej własnemu sercu niż hrabinie. Zaklika się kochał i nie mógł nawet smagany widokiem jój fantazyi, dumy, pogardy, wyrwać z serca tej namiętności szalonej: żył się już z nią, stała się w nim chorobą co podtrzymywała życie. Zaklika nie miał innego celu nad tę miłość bez przyszłości.

I on dumny był swoją Anną Cosel, chociaż te ponawiane tryumfy jój, niepokoiły go instynktowo. Obawiał się tak szalonego szczęścia wiedząc jak na serce Augusta, na litość jego, na wdzięczność, na nic rachować nie było można, gdy go nowa opanowała namiętność.

Dokoła Zakliki, który stał przy murze, w cieniu skupieni byli starzy dworzanie Augusta. Z tej kupki ani jeden okrzyk nie dał się słyszeć, ani jeden oklask; nic coby zdradzało uwielbienie dla pięknej, a dnia tego najpiękniejszej królowej turnieju.

Przy Zaklice osłoniętym występem kolumny, znalazło się kilku nieznanym mu osobicie ludzi. Jeden z nich, choć świeżo ogolony bardzo starannie, siwym już był i starym;

drugi zdawał się być cudzoziemcem, kilku innych stanowiło z niemi gromadkę. Mówili pocichu, lecz słowa ich mimowolnie ucho Zakliki chwyciło.

— Pięknaż bo jest, piękna ta kochanka króla waszego — odezwał się cudzoziemiec — prawdziwy królewski kąsek... i zdaje się że już dla tój musi się Najjaśniejszy ustatkować?

Stary figlarnie się uśmiechnął i westchnął cicho.

— Gdy na to patrzę — rzekł — przypominam sobie dawne czasy, i myślę co tóż to ja jeszcze zobaczę, bo na tём się nie skończy, panie szambelanie. Boję się by te tryumfy ostatnimi nie były; przeżyłem wiele, pamiętam na szczycie chwały uroczą Aurorę... pomnę wdzięczną Esterłę... zdaje mi się że widzę jeszcze śliczną Spiegel i miłą księżnę Teschen. Z nich wszystkich ta się wprawdzie jakimś ekwilibrem nadzwyczajnym trzyma najdłużej, lecz żeby króla miała przywiązać na wieki, temu nie wierzę!

— Mówiono mi wszakże iż król jój przyrzekł ożenienie? — szepnął cudzoziemiec.

— Sądzę że się niemi i księżna Teschen ludziła, że się go i piękna Aurora spodziewała; lecz naszój zacnej, dobrej królowój Bóg życia przedłuży, a śliczna rykerka pójdzie za innemi.

— Chyba nie prędko! — zaśmiał się cudzoziemiec.

— A któż to odgadnie! — szydersko szeptał stary. Spójrz waćpan na rzęd tych pięknych jeszcze twarzy niewieścich, na których licach zazdrość się pali. Z małym wyjątkiem te panie wszystkie miały swe dnie królowania... a tam w kąciku u dołu, widzisz tę kupkę francuzkich linoskoków i tancerek; tam stoi Duparc, która dziś dzieli serce pana z tą amazonką, choć nic nie ma za sobą, chyba że stokroć od niój brzydsza jest a swawolniejsza. Któż zaręczy że jutro z ciżby nie wybierze sobie nasz Najjaśniejszy coś jeszcze... dziwniejszego...

Za Zakliką stali także dworacy: tu nie ukrywano niechęci.

— I owszem — mówił jeden z przyjaciół i zauszników Fürstemberga — niech sięga jak najwyżej, tём bliższy upadek... Wzbija się w łaski i wzbija w dumę, królowi staje się obejściem swém coraz nieznośniejszą... możnaby niemal obliczyć chwilę gdy runie.

— Tak! tak! — dodał drugi — a nie będzie to pewnie ciche rozstanie jak z tamtymi, bo ta nosi pistolet nabity i papier z królewskim podpisem. Zgubi się niechybnie, bo się będzie opierać i bronić.

— My to już jednak prorokujemy od lat trzech i dotąd nie spełniły się prorocstwa nasze — rzekł pierwszy wzdychając.

Dalój nieco widać było barona Kyan, zamyślonego bardzo. Dowcipny stary dworak, słuchał i słyszeć nie chciał. Zaczepił go ktoś o zdanie.

— Nie jestem astronomem, kochany panie — rzekł — bym mógł rozrachować kiedy gwiazdy wschodzą i zachodzą, a wiem tylko że są i gwiazdy stałe...

W jednej z łóż hrabina Reuss, Vitzthumowa, panna Hülchen, a z tyłu Glasenappowa, siedziały ponure i milczące... Reuss westchnęła.

— Sameśmy winne — odezwała się do Vitzthumowój. Król nie widzi od kilku lat, tylko stare znane twarze: nie umiałyśmy się o nic postarać.

— Niecierpię tój kobiety — przerwała Vitzthum — ale zmuszoną jestem przyznać, że po niój znaleźć coś trudno.

Stara Reuss rozśmiała się szydersko.

— Nie znasz ani ludzkiej natury, ani charakteru króla — rzekła spokojnie. Po blondynce Teschen, musiała się podobać wasza bratowa; po jój krucznych warkoczach, znowu złocistych będzie szukać, a że ta udaje boginię, zasmakuje w chłopiance lub w takiój Duparc, która paple mu jak przekupka.

— A! już zresztą naszemu królowi się nie dziwię że pęt swych nie umie rozplątać... ale król duński, patrz pani, jak słodkie oczy ku niój wznosi.

— Jak dumnym z góry, olimpijskim wzrokiem ona mu odpowiada.

— Gdyby mi się nie chciało płakać, śmiałybym się z tój oszalałej awanturnicy — szepnęła Hülchen.

— Miliony kosztuje ta perła Saksonię.

Te i podobne rozmowy słyhać było prawie wszędzie, lecz szmer nie mógł dojść do uszu pana, a choć August domyślał się może uczuć obecnych na turnieju osób, nic dlań zabawniejszym być nie mogło, nad widok tój tłumionój zazdrości: był to także rodzaj hecy wielce mu upodobanój.

Po turnieju i strzelaniu do celu, po świetnej wieczerzy, która już była pożegnalną, gdyż król duński nazajutrz wyjeżdżał do Berlina, a August mu towarzyszył, zagasły światła i hr. Cosel w stroju jaki miała na igrzyskach powróciła do pałacu...

Twarz jęj pałała jeszcze ogniem tryumfu, zapału, ale zarazem gorączki i znużenia; uczuła się słabą i zrzucając z siebie klejnoty, padła na sofę spoczywać.

W pałacu było cicho, dalekie ledwie stąpanie dawało się słyszeć niekiedy w przedpokojach. Ta cisza po wrzawie, okrzykach i muzyce następująca nagle, dziwnie ją usposobiła. Czowała się równie na duszy jak na ciele zmęczoną... Niczym nie usprawiedliwiony w tej chwili smutek ją owładnął.

Wśród tryumfu spotkała parę razy szyderski wzrok Flemminga i ten ją przejął do głębi; była w nim jakby niema groźba, którą ona tylko jedna zrozumieć mogła. Wyraz jego oczów odbił się na jęj sercu; gniew i trwoga w nim gościły. Nie miała powodu do obojga, a pozbyć się ich było dla niej niepodobieństwem.

Naprawdę przypomnieniem króla i wszystkich dowodów czci jakie tego dnia doznała, usiłowała ponure rozbić myśli, obłok co na nie zaszedł, wisiał na duszy chmurą czarną. Oczy zachodziły łzami... Tak nieraz w chwili największego szczęścia, zjawia się przyszłości przeczucie.

Niema, stężała, z oczyma wlepionymi w ścianę na której wisiał portret królewski, siedziała tak długo... Dnia tego nie spodziewała się już zobaczyć Augusta, nazajutrz rano razem ze swym gościem miał jechać do Berlina. Tam nowe go czekały uroczystości, nowe twarze, nowi ludzie.

W korytarzu którego wschody łączyły się z galeryą do zamku wiodącą dały się słyszeć kroki; nie mógł to być kto inny prócz Augusta... Cosel zerwała się z siedzenia i pobiegła do zwierciadła aby suknie rozrzucone poprawić. Bujne jęj włosy czarne nie dały się ująć ręce niewprawnej, i gdy król ukazał się na progu, Cosel trzymała je w białej dłoni, drugą osłaniając i podnosząc spadającą z niej suknię.

Z pierwszego wejrzenia Cosel poznała że August przychodził do niej w tym stanie, w jakim go rzadko widywała, a jak najmniej widzieć lubiła.

Uroczyste żegnanie siostrzeńca, którego dwóch dworzan z wielkim uszanowaniem na łóżko zaniosło, odbyło się ogromnymi pułkami. Król, jakkolwiek nawykły do nich, nie wyszedł z tej walki cało. Szedł wprawdzie bez pomocy szambelana, który go do drzwi tylko doprowadził, starannie pilnując aby równowagi nie stracił, ale w gabinecie Cosel oczyma zaraz szukał siedzenia i rzucił się na nie skwapliwie. Twarz była okryta rubinowym rumieńcem, oczy przyćmione, mowa stała się nie wyraźną.

— Anno — rzekł — chciałem cię pożegnać... Ha! miałaś dziś dzień tryumfu jaki rzadko która kobieta otrzyma. Podziękujże przynajmniej... Rozśmiał się król.

Cosel zwróciła się ku niemu z twarzą smutną.

— A! panie mój — rzekła — czyżem ja ci codziennie tak samo nie powinna dziękować... Lecz gdybyś był widział te zawistnych oczy które na mnie patrzyły, te zazdrośnie ścięte usta... pojąłbyś że wróciłam smutna.

August wciąż się uśmiechał...

— Tragi-komedia życia — rzekł obojętnie. Ja miałem mego Karola XII, ty masz twego Flemminga!! Każdy ma coś co go boli, a życie... to życie... Bądź mi wesoła.

— Nie mogę — odezwała się Cosel...

— Dla mnie! — odparł August.

Cosel wpatrzyła się w niego i powoli, raczej przymus i rozważa niż uczucie wywołały różowy uśmiezek na małe usta...

— Gdybym na ciebie tylko, panie mój wciąż patrzeć mogła, gdybym cię miała zawsze u mego boku — odezwała się siadając przy nim powoli — byłabym samym śmiechem i jednim weselem; radabym cię nie puścić na krok od siebie, trzymać skutego uściskiem. Niestety, wyrwiesz mi się sam, polecisz w świat, a któż wie jakim powrócisz..?

— Byle nie tak pijanym, jak dziś jestem... — ze śmiechem zimnym odparł August; — wino lubię, ale panowania jego nad sobą nienawidzę...

— A kiedyż pan mój powróci? — spytała Cosel.

— Spytaj... astrologów: ja nie wiem.

Jedziemy do Berlina. To jedno mnie cieszy że Brandeburgi po drezdeńskich fetach wydadzą się bardzo chudo? Będzie nas Fryderyczek bawił żołnierzami, i wygłodzi przy

stole. Berlin po Dreźnie! cha! cha! — zawołał król — to mnie niezmiernie cieszy, jadę umyślnie żeby się napawać zwycięstwem... Z góry jestem go pewny.

— A wróć mi tylko W. K. Mość wiernym i stałym! — dodała jedną zawsze myślą zaprzątnięta Cosel.

— Z Berlina? — śmiał się August — tam mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, ani tobie... najnotliwszy z dworów i najnudniejszy w dodatku.

— A Dessau? — szepnęła Cosel.

Król pokiwał głową. To prawda że była bardzo ładną; lecz gdyby była katoliczką, powinna zostać mniszką... Nie rozumiała wcale galanterii, obrażała się pół-słowem. Nie, ja takich nie lubię.

August spróbował się podnieść i potarł ręką po czole tak nieostrożnie iż zsunął trefioną perukę nieco; Cosel mu ją poprawiła: począł całować ją w ręce.

— Moja Cosel — dodał — jadę, a mam jedną prośbę do ciebie; pojednałem cię z Flemmingiem, zawrzyjcie pokój wieczny: przestańcie się jeść wzajemnie.

Anna zmarszczyła się.

— N. Panie, racz to zapowiedzieć Flemmingowi nie mnie. Uchybia mi ciągle, jest zajadłym nieprzyjacielem moim. Hr. Cosel żona Augusta...

Król słysząc to dziwnie się uśmiechnął, oczy jego błysnęły dziko.

— Hrabina Cosel — dokończyła dumnie Anna — nie powinna, nie może ulegać jakiemuś Flemmingowi, ani się go lękać, ani mu ustąpić.

— Ale ja tych wojen nie cierpię...

— Każ mu być mi uległym, poleć mu by mnie, matkę twych dzieci, szanował, to będzie sposób najlepszy utrzymania pokoju...

Po tych słowach na które król już nic nie odpowiedział, nastąpiło nieme pożegnanie. Cosel z czułością zwiesiła się na szyi króla, który szukał podpory w kolumnie, aby go to nie zachwiało... Hrabina podała mu rękę, kilka tylko kroków dzieliło odedrzwi, za progiem czekali szambelanowie. Z pochmurném czołem król wysunął się od Cosel.

Któż może odgadnąć co wówczas działo się w tajemniczych głębinach pńskiej duszy, czy istotnie pragnął zgody na dworze, czy chciał by na nim trwała wojna? Tegoż wieczora kazał przywołać Flemminga. Szyderski był i podrażniony.

— Cosel mi się skarży na ciebie, stary — rzekł żartobliwie — powinieneś jęć uledez, wiele rzeczy nie słyszeć a przebaczyć drugie tyle. Znasz kobietę... przecież ja umiém znosić od nięć...

— N. Panie — odezwał się Flemming, który z królem do zbytku poufałym był — N. Panie, to wcale co innego... miłość pani Cosel płaci N. Panu za te utrapienia.

— Więć mojęć nie liczysz? — spytał król: Flemming się skłonił nisko.

— W. Kr. Mość wiesz, — odezwał się — żem ja w rachunkach nie mocny, lepiej się do liczby nie pociągać.

— Ale bądźże dobrze z Cosel! — powtórzył August.

— N. Panie, to trudno: dworakiem jęć być nie potrafię, pochlebiać i kłamać nie umiém, a kłaniać mi się trudno, bo mam grzbiet stary.

Na tę mowę król śmiechem odpowiedział:

— To prawda — dodał — że cięć ona nie lubi; powiada żeś do małpy podobny, a ja tego nie znajduję.

Flemming podniósł głowę, z oczu mu się iskry posypały, zabelgotał coś i umilkł.

Gdyby był król przedsięwziął na wieki poróżnić ich z sobą, zrzęćnięćby nie mógł postąpić.

Tu miejsce może nieco bliżęć dać poznać człowieka, który na losy przyszłe bohaterki tego opowiadania wpływ wywarł tak stanowczy.

Hrabia Jakób Henryk Flemming był jednym z ludzi, co się najdłużęć umieli utrzymać w łaskach króla Augusta i wedle świadectwa współczesnych, najsilnięć w nich stali.

Mówiono powszechnie iż Flemmingowi zawdzięczał polską koronę. Jedna z jego kuzynek blizkich, córka feldmarszałka Flemminga, od r. 1684 wyszła była za mąż do Polski za podskarbiego, kasztelana chełmskiego Przebendowskiego: przez nią generał zawiązał najprzód w Polsce stosunki. Flemming był człowiekiem na swój czas wykształconym i więć jęć jeszcze dyplomatą niż żołnierzem, choć obrał zawód wojskowy. Przebiegłym był

i chytrym jak wszyscy znakomici dyplomaci tamtych czasów, a w polityce trzymał się systemu Machiavella: wszystkie środki dobre mu były, byle go wiodły do celu.

Na dworze Augusta Flemming, który już wówczas marzył o wyłącznym wpływie i opanowaniu króla, starał się zręcznie poussuwać wszystkich, którzy z nim mogli współzawodniczyć. Zawadzał mu naówczas Hoym, nad którego ruiną pracował po cichu; lękał się wpływu Cosel i gotów był ją kimkolwiek innym zastąpić: niebezpiecznym zdawał się Schulenburg i na tego już dawno miał oko.

Flemming miał pod ręką ludzi, którymi tamtych postanowił zastąpić, kreatury swoje, mające mu zawdzięczać stanowiska, czyhające na objęcie miejsc opróżnionych. Watzdorf, Manteuffel, Wackerbarth, czekali i służyli mu wiernie. Zarozumiały i pewien siebie Flemming do swych zaufanych zwykł był mawiać: „Moją zasadą jest: okoliczności tworzą ludzi, każdy do wszystkiego jest zdolnym, byle mu się sposobność trafiła spróbować. Ja najlepszym tego jestem przykładem. Zrazu sposobiełem się tylko do stanu wojskowego i nie miałem innego pragnienia tylko kiedyś pułk dostać, a jednak doszedłem do tego, że jestem pierwszym ministrem i feldmarszałkiem (został nim dopiero w r. 1711), choć w żadnym nigdy nie zasiadałem Collegium. Rządę, mogę powiedzieć, Polską i Saksonią, obu krajów ustaw nie znając, a mimo to z obowiązków tych wywiązuję się z honorem.”

Zarozumiałość ta i zuchwalstwo były podobno głównym przymiotem i charakterem Flemminga. Nierychło się jakoś przekonać zdołano, że wojskowym jego talentom brakło doświadczenia, a ministeryalnych nie miał wcale. Z powierzchowności był to człowiek żywego temperamentu, rześwy, wesół, hulaka, coś żołnierskiego mający w obejściu; rozkazujący śmiało, krótko i stanowczo. Gniewał się łatwo i dowcipnym żartem rozbrajał, bo lubił wesołość i dowcip. O trzy lata tylko starszy od króla, był jego przyjacielem poufałym, towarzyszem zabaw, powiernikiem. Zdarzało mu się po szumnej zabawie nadużyć czasem względem Augusta dozwolonej poufałości, ale zawsze to umiał naprawić.

Flemming żył po książęcemu, trzymał służbę ogromną i sto koni na stajni. Przedpokoje jego pełne były zawsze ministrów, dygnitarzy, cudzoziemców jak u króla. Łatwo mówiąc po francuzku, po polsku, po łacinie, umiejąc pracować i nieopuszczając dla tego hulankę, mogąc nie spać, umiejąc pić i nie upijać się, zdrzemnąc na kwadrans w krześle i wstać orzeźwionym, musiał pozyskać niezmierny wpływ na dworze, gdzie się wszyscy bawili tylko i intrygować umieli. Człowiek był żelazny, a mimo żywości pozornie flegmatyczny i zawsze pan siebie.

Wyglądał wcale nie pięknie, niskiego będąc wzrostu, przysadzisty, otyły, z twarzą naperzoną, czerwoną, ale rysów dosyć czystych. Wedle zwyczaju owych czasów nie nosił peruki, ale własne włosy długie, w które wplatał parę loków.

Pieniądze robił, dobrami handlował i o kieszeni nie zapominał; nie wahał się nawet przy większych interesach wymawiać sobie tak znaczne porękawiczne, iż raz król się o tém dowiedziawszy że wziął 50,000 talarów, powiedział mu: „Słuchaj Flemming, wiem coś wziął, to już dla ciebie za wiele: musisz mi połowę oddać.”

I tak się stało. Jak to dobrze pana i sługę maluje.

Walka z człowiekiem, który się umiał posiadać i panować nad sobą dla kobiety tak namiętniej a powodzeniem długim wzbitej w pychę, była rzeczywistym niebezpieczeństwem. Wreszcie poza Flemmingiem stał cały zastęp nieprzyjaciół hr. Cosel, a co gorzej zjadliwych jej nieprzyjaciółek: pani Przebendowska, siostra cioteczna generała-ministra, cała klika hr. Reuss, utrapiona Glasenappowa, Vitzthumy, rodzina Hoymów i te nawet jejmoście, które pozornie udawały przyjaźń dla pani Cosel, choć nic tak nie pragnęły jak widzieć ją upokorzoną.

Długie lata szczęścia budziły zazdrość, jątrzyło to że przeciwko niej nic znaleźć nie mogli, coby ją w oczach króla poniżyło. Wśród tego rozpustnego dworu, w którym stosunki zawiązywały się tak łatwo i rozrywały tak prędko, nikt jej otoczonej zawsze gronem wielbicieli nic zarzucić nie mógł, szpiegi najpilniejsze nic nie potrafiły wysledzić, potwarz nawet nie miała się do czego przyczepić. Cosel mogła być dumną, bo istotnie przewyższała otaczające je towarzystwo kobiece charakterem i szlachetnością postępowania. Tak jak w początkach nie chciała zdradzić męża i domagała się od króla przyrzeczeń zaślubienia na piśmie; tak potem nie dopuściła się przeniewierstwa, będąc nieustannie zdradzana. Ciągłe powtarzanie iż się uważała za żonę króla, nie kochankę, do rozpacz przyprawiało te panie.

A im dłużej pracowały napróżno, tém rosły gniewy, niecierpliwość, zawziętość. Jątrzone więc Flemminga, a w pomoc mu stawali Fürstemberg, i ten którego Cosel uważała za przyjaciela, którego nie lękała się wcale i ufała mu, Vitzthum nawet, ostatni był przez żonę, której ulegał popchniętym i więcej przez lekkomyślność niż przez niechęć, zaciągnął się do szeregu przeciwników hrabiny Cosel.

Plan był ułożony. Należało tylko znaleźć piękną twarzyczkę, któraby niezrażona losem swych poprzedniczek, chciała chwilowo zająć smutne, upokarzające miejsce u boku Augusta II. Znano króla że zalotności ulegnie, ale o ciężałemu nieco trzeba było oszczędzić pół drogi, wyszukać piękną pani, któraby pierwsza wyzwała go do zalotów. Rozesłano na wszystkie strony na zwiady.

XV

Gdy król August zabawiał się z obojętnością człowieka który wierzy w przeznaczenie, Karol XII także szedł naprzeciw zgotowanego mu losu. Z garścią ludzi wśród nieznanego mu kraju, rzucił się na nieznaną sobie potęgę i z męstwem lwim, a nieopatrznością młodzieńczą stanął na polach pod Póltawą.

Bitwa ta o losach wielu krajów i ludzi rozstrzygnęła była stanowczo. Król August powracał z odwiedzin w Berlinie ciesząc się że nie został zwyciężonym przez dwór, który się wcale o przepych nie ubiegał, gdy z Polski od księżnej Teschen wysłany kurjer przywiózł mu pierwszy wieść szczęśliwą o pobiciu na głowę Karola XII. W pierwszej chwili król zdawał się osłupiały, zrzekł się uroczycie polskiej korony a słowo swoje wyrzeczone w obliczu Europy chciał poszanować. W tym momencie wahania nadbiegł Flemming.

— N. Panie — zawołał — wymuszone orężem układy nic nie znaczą, potrzeba wrócić do Polski. Leszczyński nie jest królem, tysiące rąk znajdziesz na obronę praw swoich. Trzeba się zjawić tylko by zwyciężyć...

Tyłu ofiarami okupiona korona była ponętną dla Kurfirsta. Wiązały się z odzyskaniem jęj plany monarchii dziedzicznej okupionej ofiarą prowincyj, któremiby usta zamknął zadowolonym sąsiadom. Choćby z Rzeczypospolitej część tylko miała pozostać zlana z Saksonią, stanowiła jeszcze wielkie państwo; odzyskać więc koronę należało bądź co bądź, aby ją z elekcyjnej na dziedziczną przerobić.

August przyznał z Flemmingiem że pokój i układy i zrzeczenie się korony nic nie były warte, należało zebrać tylko ludzi i iść do Polski. Flemming i jego przyjaciele, dawni zwolennicy Sasa mieli mu dopomódz, nie wątpiono bynajmniej o szczęśliwem wyprawy powodzeniu... Z Polski przybyli w zaprosiny Denhoff marszałek konfederacyi sandomierskiej i Szaniawski biskup kujawski. Z siostrzeńcem swym Fryderykiem August miał czas w Dreźnie umówić się już przeciwko Szwedowi; Brandeburski Fryderyk nie był też przeciwko skojarzeniu się z saskim, za czém do niego król umyślnie jeździł i tak stanęła liga, którą później trzema spojonymi rękami trzech Fryderyków upamiętniły medale.

Mało miał czasu August zabawiać się w miłostki, gdy szło o odzyskanie korony. Za ledwie przybywszy do Dreznia otrzymał wiadomość o bitwie pod Póltawą, którą pierwszy drukiem ogłosił kazał, pobiegł do sprzymierzeńca pruskiego aby z nim pomówić o warunki. W czasie krótkiego pobytu w Dreźnie, Cosel za ledwie przywitał i pożegnał. Tu stały rzeczy gorzej niż kiedy. Flemming czuł się silnym wypadkami. Hrabina posyłała doń kilkakroć z żądaniami różnemi w czasie niebytności króla, odpowiedzieć kazał że nie myśli ich spełniać i że ma co ważniejszego do czynienia. List ostry od Cosel zdarł w oczach posłańca i podeptał, rozkazując powiedzieć tój co go pisała że się jęj skarg i groźb nie lęka. Były to bolesne wyzywania, których Anna ścierpieć nie mogła. Drugiego czy trzeciego dnia potém, gdy Flemming konno jadąc spotkał ją przy zamkowej ulicy, a konia wstrzymać był zmuszony, Cosel wychyliła się z powozu i rada ze zręczności, pięścią mu grożąc, zawołała:

— Powinieneś pan pamiętać generale kim ty jesteś, a kim ja! Waćpan jesteś sługą króla, który spełniasz rozkazy; jam tu panią: chcesz waćpan wojny ze mną, przyrzekam że ją mieć będziesz.

Flemming rozśmiał się z pozorną grzecznością, rękę do kapelusza przykładając.

— Nie toczę wojen z kobietami — zawołał — a czynię to co mi dobro mojego pana nakazuje; ani się myślę kłaniać, ani kobięcym ulegać kaprysom.

Z okna karety posypały się wyrazy nie pohamowanego gniewu. Flemming nie zważając na nie, konia spał i ani patrząc na hrabinę pojechał dalej. Przyczém ludzie wojskowi będący przy Flemmingu, znieważyli ludzi hrabinę; Zaklika się już brał do szabli i byłoby przyszło może do krwi, gdyby rozumniejszy ktoś ze dworu króla nie wpadł między nich i Flemminga służby nie rozpędził.

Rozpoczęła się tedy wojna na dobre, Cosel płacząc z gniewu czekała na króla.

Nadjechał August rano bardzo, a na drodze znać już wiedział co zaszło, bo gdy Flemming przyszedł doń z raportami, rzekł mu:

— Że też wy, stary żołnierz i dyplomata z jedną kobietą w zgodzie żyć nie umiecie.

— Przepraszam N. Panie — zawołał generał — żyję z wielą w najlepszej, ale z temi co się za boginie i królowe mają, nie umiem w istocie. Ta kobieta rujnuje kraj! ma fantazyjne dziwaczne... i żadnej zasługi uszanować nie umie.

— Ale tę kobietę ja kocham i wymagam dla niej poszanowania.

— Nikt ję nieuchybiał, dopóki sama nie rozpoczęła obelżywie ze wszystkimi się obchodzić.

Król zmilczał, Flemming rzekł w poufalszym tonie:

— Zjé Saksonię i Polskę i jeszcze głodną będzie, dziki umysł, nienasycona pycha i chciwość. Jeżeli W. Kr. Mość słabym dla niej jesteś, my co tron otaczamy mamy obowiązek wyzwolić ją z tych więzów.

August zagadał o czém inném. Po krótkiej naradzie poszedł do Cosel; ta go oczekiwała, ale z wybuchem gniewu i wyrzutami, czego August nie lubił.

W progę już z płaczem rzuciła się ku niemu.

— Królu mój, panie! ratuj! Flemming się obchodzi zemną jakbym była najostatniejszą z kobiet. Lży mnie publicznie, listy które piszę drze i rzuca pod nogi; oświadcza się że mnie ztąd wygna: wystawia na pośmiewisko. Wybieraj królu: albo ja lub on ustąpić musimy.

August ze śmiechem ją uściskał.

— Uspokój się hrabino, za żywo rzeczy bierzesz; Flemming mi w tej chwili potrzebny, muszę go oszczędzać.

— A ja? — zapytała Cosel.

— A! wiesz przecie że bez ciebie niema dla mnie życia, ale jeśli mnie kochasz, coś przecie mi powinnaś poświęcić.

— Wszystko, oprócz czci méj — zawołała Cosel.

— Z Flemmingiem trzeba się zgodzić.

— Nigdy!

— On cię przeprosi.

— Ja nie żądam tego, chcę być wolną od widzenia tego człowieka.

August wziął ją za rękę.

— Moja kochana Cosel — odezwał się zimno — dziś chcesz być wolną od Flemminga, jutro toż samo będzie z Fürstembergiem, a gdy ich wypędzę, z Pflugiem i z Vitzthumem: z nikim żyć nie umiesz.

— Bo nikt prócz ciebie, N. Panie, nie sprzyja mi na dworze: wszyscy są nieprzyjaciółmi moimi.

Zaczęła płakać, król zadzwonił i mimo protestów gospodyni, rozkazał zawołać generała Flemminga.

Dobra chwila upłynęła w milczeniu i dąsach. Cosel chodziła gniewna po sali nim generał nadszedł. Wchodząc wcale się nie skłonił gospodyni, zwrócił się do króla.

Cosel tyłem do niego stojąc cała w płomieniach, ledwie się pohamować mogła.

— Mój Flemming, jak mnie kochasz — odezwał się August — wiesz jak ja w moim gospodarstwie nie cierpię waśni, przebłagaj piękną hrabinę i podajcie sobie ręce.

— Nigdy w świecie! — przerwała Cosel — nie podam ręki nikczemnemu dworakowi, który się ważył uchybić bezbronnej kobiecie.

— Nie lękaj się pani — zawołał Flemming — ja też żołnierskiej dłoni nie myślę ję narzucać: kłamać nie umiem, a przepraszać nie będę.

Król wstał gniewny.

— Generale uczynisz to dla mnie.

— Ani nawet dla was, N. Panie. Jeśli ci się podoba, rzucam służbę.

— Waćpan jesteś podły, jesteś nikczemny — zakrzyrzała zapominając się Cosel — łaski N. Pana uzuchwaliły cię... lecz z Drezna nie daleko chwala Bogu, do Königsteinu.

— Cosel, na miłość Boga! — przerwał August.

— N. Panie, pozwól mi także być szczerą, i ja kłamać nie umiem... powiem mu w oczy co o nim trzymam. Zapowiedział mi wojnę, ja mu ją wypowiadam.

— Z panią hrabiną wojować nie myślę — rzekł Flemming — mam coś lepszego do czynienia. Miłość dla króla zmusza mnie w istocie do wypowiedzenia jój wojny, bo pani kraj niszczy i byłoby z czego wojsko wystawić, koronę odzyskać, gdyby waćpani zbytki ukrócić.

— Flemming, zapominasz się! — zawołał August, który całej téj wyrazów szermierki słuchał bez wstępu, pomimo że ją niby zahamować usiłował.

— Idź waćpan precz z mojego domu! — krzyknęła Cosel tupiąc nogą.

— Dom to nie jest wasz i niema tu ani jednej rzeczy któraby do niej należała; jestto pałac króla pana mego, a ja bez jego rozkazu nie wyjdę — odparł Flemming.

Cosel zaczęła płakać szarpiąc suknię na sobie.

— Widzisz, królu, słyszysz, na to ja zesłam, że mnie w oczach twych lada służalec, najemnik bezczęści, a ty stoisz niemy, obojętny, nie umiejąc ani mnie obronić, ni mnie pomścić.

Załamala ręce. Król łagodnie i spokojnie podstąpił do Flemminga.

— Panie generale — rzekł — ja cię proszę o zgodę, to nieznośne. Oboje mi jesteście drodzy, potrzebni. Mamże ja cierpieć za waszą popędliwość?

— W. Kr. Mość nie potrzebujesz ani słuchać, ani patrzeć na to; zostawić możesz sprawę naszą nam samym: los ją rozstrzygnie wkrótce.

Wyczerpawszy wszystko co tylko mogła powiedzieć, Cosel rzuciła się na kanapę z oznakami gniewu. Król nie widząc środka ani uspokojenia rozgniewanego także i trzęsącego się Flemminga, ani złagodzenia rozjątrzenia hrabinéj, podał rękę generałowi i odprowadził go do drzwi.

Nim wyszedł Flemming okiem pełném zemsty i grózb rzucił na hrabinę, której wejście odpowiedziało mu takimiż obietnicami. August zaczął się przechadzać po sali zamyślony, znać było jednak że zajęty może sprawami ważniejszymi, całej téj kłótni nie brał tak bardzo do serca.

Cosel i ku niemu wejrzała okiem, w którym wyrzuty gorzały.

— A! królu — rzekła — na tom ja zesza, na to, aby mnie twoja służba w oczach twych obrzucała takimi wyrazami! To mój los. Flemming poszedł sztydzić z téj którą wybrałeś, którą mówisz że kochasz... i ja słabszą jestem od niego.

— Kochana hrabino — odpowiedział król spokojnie — wszystko co mówisz dowodzi tylko że mego nie znasz położenia. Flemming w tej chwili jest jak prawa ręka potrzebny w Polsce; zrazić jego dla siebie, jest wyrzec się korony. Tego po mnie wymagać nie możesz i tego ja jako król nie uczynię. Przekonałaś się że nie odmawiam ci ani najwyższéj chęci, ani miłości, ani ofiar... ale wszystko ma granice. Wprzódy nim kochankiem zostałem Cosel, byłem królem.

Namarszczona, straszna, wściekła, Cosel rzuciła się do Augusta.

— Kochankiem! Mam przecie na piśmie przyrzeczenie twe: ja nie jestem kochanką, ja drugą żoną twą jestem!

Skrzywił się August.

— Tém więcéj interesów moich, korony méj i czci strzedz pani powinnaś.

Gniew się we łzach znowu rozplynął. August kilka razy spójrzał na zegarek.

— Nie jestem panem czasu mego — rzekł — tysiące spraw na mojej głowie. Muszę wkrótce jechać do Polski. Kochana hrabino, uspokój się, Flemming jest porywczy, ale mnie kocha i zrobi to co mu każe...

Na tę obietnicę Cosel nic nie odpowiedziała, chmurna, w milczeniu podała dłoń królowi: August wyszedł.

Wkrótce po téj scenie, mowa już była o wyjeździe do Polski. Hrabina która zwykle towarzyszyła wszędzie królowi, tym razem dla słabości, udać się z nim w tę podróż nie mogła.

Wiedziała dobrze jakie jój tam groziło niebezpieczeństwo. Król mógł znaleźć w Warszawie księżnę Teschen, chociaż najmniej powrotu do dawnych stosunków lękać się było

można, bo w życiu Augusta, taka zgoda była bezprzykładną, i to ją drażniło. Więcej trwożyła się o kobiety inne, które nieprzyjaciele jój mogli królowi stręczyć, aby go od niej odciągnąć.

Król jakby dla oszczędzenia walk i sporów hrabinie, brał z sobą do Warszawy Flemminga. Kto wie czyby nie wolała mieć go tu w Dreźnie prześladowcą, niż przy boku króla nieustannym podszczuwaczem i wrogiem: nie było jednak środka zapobieżenia temu.

Król dosyć czułym był do ostatniej chwili rozstania, a zapewniał że najsurowsze wyda rozkazy Fürstembergowi, aby się dla niej jak najwzględniej zachowywał. Dla złagodzenia gniewu przypomniał jój z uśmiechem, że przecież mogła się uważać za zwyciężką, gdy przeciw woli i stręczeniu Flemminga chcącemu narzucić mu Wackerbarth'a, na jój prośbę baronowi Löwendahl, krewnemu Cosel przez żonę, dał wielkie marszałkostwo dworu po Pflugu. To właśnie obudzało postrach i gniew Flemminga.

Cała klika nieprzyjazna hr. Cosel na wieść iż Flemming towarzyszy królowi, że hrabina zostaje, przyklasnęła z radością, czując że się rzeczy zmienić muszą, że wpływ Flemminga i jego intryga, starania Przebendowskiej, muszą kogoś w miejscu Cosel postawić. Upadek jój był już przewidziany.

Baron Löwendahl, który winien był wyniesienie się swe kuzynce, wcale nie obiecywał jój zawdzięczyć za to. Szło mu o utrzymanie się na dworze i w łaskach; czuł że Cosel traciła wpływ, rychło więc chwycił się strony tych, którzy go popierać mogli. Zguba hrabiny była już poprzysiężoną, gdy ona jeszcze ani się jój domyślała, ani chciała przypuścić, aby król po najuroczystszych przyrzeczeniach, po tylu latach pożycia, mógł ją tak zdradzić jak inne.

Gdy przyjazny jój baron Haxthausen, jedyny człowiek który jój dobrze życzył i w przyjaźni został wiernym, stawiał jój przykłady Aurory Königsmarck i księżny Teschen, których dzieci także zostały uznane, co nie przeszkodziło rozstać się z matkami, Cosel kazała mu milczeć.

— Teschen i Königsmarck były kochankami króla; ja mam od niego przyrzeczenie ożenienia: ja jestem żoną jego.

Jeszcze przed odjazdem Augusta do Warszawy hrabina dostrzedz mogła, jak liczny niegdyś dwór jój, przyjaciele, goście, opuszczali pałac czterech pór roku. Pustki w nim były teraz. Wymawiano się różnie, nikt nie śmiał jawnie zrywać: usuwali się wszyscy.

Jedna zjadliwa Glasenapp, która ztąd wносиła plotki, powtarzała wyraz każdy, umiała ze słowa wysnuć to, czego w niem nie było, gościła tu najczęściej. Znając jój charakter, ostrzegano hrabinę.

— Znam ją — odpowiadała — wiem jaką jest, ale cóż mi ona szkodzić może? co wyspieguje u mnie? Moje postępowanie nie lęka się ani szpiegów, ani potwarzy... nie taję się z niczém, nie potrzebuję ukrywać.

Nigdy może słodszy, miłszy, czulszy nie był August jak przy pożegnaniu z hrabiną. Cały dzień spędzili razem. Cosel już wyjeżdżać nie mogła, ani mu towarzyszyć, osłabienie czyniło ją smutną, gniewy i porywczosć ustąpiły; była więcj kobietą słabą, pragnącą wspomnieniami serce do litości pobudzić.

Z Augustem wszakże najmylniejszy to był rachunek. Urokiem dłań były: żywość, wesołość, śmiałość, śmiech, zazdrość, zuchwalstwo: wszystko co na zmysły działało; uczucie dłań było rzeczą nieznaną; odgrywał je czasami, nie miał go nigdy. Po najczulszych z panniami rozmowach, których Vitzthum nie raz bywał świadkiem, za drzwiami śmiał się z nim ze swych frazesów i galanteryj, w najcyniczniejszy sposób.

Rozczulić go chcieć, było najpewniejszym sposobem odstręczenia i znudzenia. Cosel czuła w sercu nieopisaną trwoję: chwytiała za ręce króla, całowała je, oblewała łzami prosząc aby się nie oddalał, aby o niej nie zapominał: August odpowiadał wyszukanemi wyrazy, ale z tych wonnych oświadczeń wiał chłód trupi.

Był to koniec długiego kilkoletniego szału, z którego ostygli oboje. Lecz w kobiecie zostało przywiązanie, wdzięczność, pamięć, czulość: w królu panowało znużenie. Zamiast się litować jój smutkowi, rad był uciec od niego; lży go niecierpliwiły, nudziła boleść, wymówki męczyły.

Cosel nie umiała już być wesołą i trzpiotowatą jak niegdyś, gdy z nim razem dosiadała konia, dojeżdżała jelenia, bawiła się dobijając kordelasem dzikiego zwierza, lub strzelała do tarczy o lepszą.

Wdzięk jęj nie zmienił się wcale, lecz w oczach króla spowszedniała. Cosel miała ten rodzaj najrzadszej piękności, która się nawet czasowi opiera, której ból nie może zetrzeć, wiek nie odejmuje blasku, lzy nie gaszą; lecz dziś ani czarodziejskie oczów wejrzenie, ani uśmiech co do stóp jęj ciągnął, nie miały władzy nad Augustem. Oczy te straciły moc swoją, uśmiech ponęty: kochanka stała się pospolitą kobietą, bo urok nowości i niespodzianki ją opuścił.

Zbyt też zajmowały Augusta układy polityczne, odzyskanie korony, jednanie sobie zwolenników, zapewnienie sprzymierzeńców, ubezpieczenie na tronie, ażeby mógł myśleć w chwilach spoczynku o czém inném jak o rozrywce.

Przyszła godzina rozstania: Cosel płakała, król pocieszał, zapewniał ją o wydanych Fürstbergowi rozkazach; zaprzysięgał wierność niezłomną i zniknął.

Nigdy hrabina nie uczuła tak mocno samotności jaka ją otoczyła, nigdy się też ona nie objawiła tak zastraszającą, tak znaczenia pełną jak teraz. Po wyjeździe króla, pałac około którego stały tłumy, przedpokoje w których o miejsce było trudno; wieczory na które się cisnęli wszyscy i mieli za szczęście być przyjętymi, wszystko to stało pustką: Cosel nie miała nikogo.

W dzień przylatywała roztrzepana, złośliwa i gadatliwa Glasenapp, na obiad przychodził poważny Haxthausen. Wśród dnia u progu zjawilo się kilku biedaków z prośbami, którzy zasłyszeli o potędze hrabiny, a nie wiedzieli o jęj zachwianiu.

Nic nie brakło napozór, przecież już tu czuć było ruinę. Pierwszych dni każdy posłaniec przynosił listy królewskie i każdy ją wiozł do niego. Ani się domyślała Cosel że nim wyszły, rozpieczętowywano je w kancelaryi księcia Fürstberga i wysyłano pod kopertą Flemminga, aby w nich wybór mógł uczynić: król nazbyt był zajęty, żeby się o nie dopytywał.

Z cizby przyjaciół został jeden może najwierniejszym, a ten nosił suknię i imię sługi. Był nim Rajmund Zaklika, który ze swą panią przeżył i przeboleł wszystkie jęj losy... któremu nieraz ręka drżała chcąc chwycić za gardło zuchwalca, co śmiał hrabinę obrażać; trzeba było tylko skinienia jęj, by z rąk tych olbrzyma wyszedł żywym ten, kogoby one ujęły...

Kilka razy spojrzawszy nań w chwilach stanowczych, Cosel znajdowała go tak straszonym, tak wzburzonym, iż go powstrzymywać musiała.

Zaklika nie miał prawa ani się nawet odezwać z tém co czuł, lecz Cosel go rozumiała i wiedziała bardzo dobrze iż nań rachować mogła. Gdyby mu kazała zabić Flemminga, byłby z najzimniejszą krwią dopełnił rozkazu i bez jęknienia poszedł na szubienicę. W jego oczach była ona zawsze tą samą świetną gwiazdą, którą raz piérwszy zobaczył błyszczącą z między gałęzi starych lip w Laubegaście. Owszem, stawała się dlań piękniejszą coraz, i całém szczęściem jego było, że na nią kilka razy na dzień mógł popatrzeć.

Tak smutno i milcząco było w Dreźnie, gdy król pędził wesół i najlepszych pełen nadziei do Warszawy. Flemming był z nim, a pani podskarbina Przebendowska go poprzedziła.

Nie tajono się z tém wcale, iż w Warszawie miano dla króla wyszukać nowęj pani. Nie wymagano od nięj wiele: ani tak niebezpiecznego wdzięku jaki miała Cosel, bo ten groził zbyt długiem i stałym przywiązaniem, ani wielkiego dowcipu, bo królowi dosyć było wesołości i trzpiotowstwa, coby go zabawić mogło; ani serca, bo król tylko przedwstępne sceny odegrywał z tego tonu. Dosyć było trochę młodości, śmiałości wiele, zalotności któraby się narzuciła, imienia i wychowania, aby one przynajmniej z Cosel ważyć się mogły...

Z temi instrukcjami wyjechała pani podskarbina do Polski, a w Warszawie nie brakło jęj w czém wybierać. Serdeczna przyjaźń łączyła kuzynkę Flemminga z marszałkową Bielińską, której dwie córki W. podkomorzyna litewska Marya Denhoffowa i hetmanowa Pocijowa, miały dosyć wdzięku i dosyć lekkości, aby je w liczbie kandydatek śmiało można pomieścić.

Piérwszego zaraz dnia pojechała pani podskarbina do przyjaciółki. Bielińska przyjęła ją z czulością wielką. Znano jęj wpływ na Flemminga, a jego władzę nad królem; podskarbinęj służyło wszystko, co się starało o łaski pana.

Do narady poufnęj nie mogła użyć nikogo, coby ją lepiej zrozumiał i chciał jęj usłużyć, nad w. marszałkową.

— Serce moje — rzekła — przybyłam z wielą kłopotami na głowie, sądzę że mi w nich będziesz pomocą.

— Podzielę je z tobą chętnie — odpowiedziała marszałkowa...

— Z królem mamy biédę — szepnęła Przebendowska — zakochał się i dał opanować kobiecie, która już od lat kilku nim włada.

— Komuż to mówisz, znam tę Cosel! — przerwała Bielińska. — A czemuż się król Teschen nie trzymał?

— Dlatego że on żadnej długo nie może być wiernym. Cosel musimy się pozbyć, a w jój miejsce dać mu inną. Król jest znudzony.

Marszałkowa zamyśliła się mocno.

— Znaleźć łatwo — odpowiedziała — lecz jakże ostrożnemi być należy, aby w nowe nie wpadł więzy.

Pani Przebendowska została u przyjaciółki na obiedzie. Obie córki marszałkowej nań przybyły, obiedwie były młode i ładne. Pocijowa maleńka, zwinna, słabiutka się wydawała, ale z oczów jój ogień tryskał, z ust dobywały się wybuchy śmiechu. Denhoffowa niewielkiego wzrostu, zręczna, udawała melancholiczną, chociaż podszyta była trzpiotem i ta powaga przybrana źle pokrywała charakter płochy, żądzę życia i używania niezmierną.

O obu tych paniach już naówczas szeptano sobie na ucho historye, które tylko za czasów Augusta w Polsce, pod wrażeniem przykładów jakie miano przed oczyma, prawdopodobnemi się stawały. Z oczów Denhoffowej patrzył dowcip i złośliwość, ale przysłonię skromnością tak przesadzoną, iż się podejrzaną stawała.

P. Przebendowska mówiła o rzeczach obojętnych nie spuszczać z oka obu pięknych sąsiadek. Ciekawie dopytywano o króla... P. Pocijowa przypominała sobie jakiegoś hrabię Friesena... Mówiono coś i o Cosel, ale pocichu. Po obiedzie młode panie wyrwały się z młodzieżą na konną przejażdżkę, gdyż obiedwie namiętnie lubiły hasać i dokazywać na koniach: panie starsze zostały same.

Przebendowskiej nie tajnym był zły stan interesów marszałkowej... To téż zaraz nad nim utyskiwać zaczęła... Wzdychały obie.

Marszałkowa zbliżyła się poufnie, biorąc za rękę przyjaciółkę.

— Proszę cię, widziałaś córki moje? Marynia wcale jest świeża i ładna, serce ma dobre... potulna, łatwa... Jak ci się z twarzy podoba?

— Bardzo wdzięczny ma buziaczek — rzekła Przebendowska.

— Hetmanowa jój nie ustąpi, ale to żywe srebro... jak ją widzisz drobną, słabiuchną napozór... to kozak prawdziwy...

Podskarbina myślała coś, gdy marszałkowa zniżając głos dodała:

— Przecieżemy przyjaciółkami od dzieciństwa, moja najdroższa, — rzekła z wynurzeniem. — Jeśli już ktoś ma być tak szczęśliwy że króla mieć będzie kochankiem... czemużby mu choć nie pokazać Marysi?

— Nie sądziłam ażebyś tego sobie życzyła?

— Dlaczego? Denhoff smutny małżonek i nie młody, jest z nim najnieszczęśliwszą... Jeśli króla rywalem mieć nie zechce... Marynia się rozwiedzie...

— Ale czy ona zechce?

— Ja ją skłonię! ja ją zmuszę! — odezwała się troskliwa matka. — Dla nas byłoby to prawdziwém szczęściem. Interesa nasze w najgorszym stanie... Uchowaj Boże co na mojego męża, runie wszystko...

Pani Przebendowska ani obiecywała, ani odmawiała.

— Obaczmy — dodała — obaczmy... Nie trzeba nic mówić Marysi, póki nie zmiarkujemy czy się królowi podoba. Cosel była porywczą i zazdrosną, po niej potrzeba mu istoty łagodnej, wesołej, potulnej.

— Nie znajdzie nic stosowniejszego nad moją Marynię, ręczę ci!

Po długich szeptach i naradach, dwie przyjaciółki rozstały się w jak najlepszej zgodzie, a marszałkowa odprowadziła podskarbinę aż do powozu.

W kilka dni potem król i Flemming nadjechali. Przebendowska mieszkała w jednym domu z nim, mogli więc poufnie mówić tego wieczora i szepnęła mu o Denhoffowej.

Trochę skrzywił się generał, bo zasłyszał był coś o różnych dawniejszych trzpiotowstwach; ale czyż to być mogło zawadą?

— Królowi — rzekł — dosyć pokazać się umiejętnie, dość trochę wyzwać go zalotnie; znudzony jest: weźmie go która zechce. Żeby więc inna nie wzięła... trzeba mu tę nastroczyć.

Przebendowska opisała charakter i powierzchowność swój protegowanej.

— Ale daż się ona skłonić? — spytał Flemming.

— Gdyby to mogło być wątpliwem, mam matkę jako sprzymierzeńca — cicho odpowiedziała kuzynka.

Nazajutrz generał chciał poznać sam panią Denhoff nimby się coś postanowiło. Wieczorem zawiozła go siostra do marszałkowej. Bawiono do późna, Pocijowa i Denhoffowa śpiewały, ostatnia przybierała minki melancholiczne i smętne, potrzebującej pocieszenia nieszczęśliwej istoty. Flemmingowi się to nie podobało, bo król w tém się nie kochał. Lecz po kilku dniach poszukiwań, wrócić musiano do Denhoffowej, znajdując ją mniej niebezpieczną niż inne. Nauczony doświadczeniem Flemming lękał się najwięcej ambicy i chęci panowania. Denhoffowa płochą była, zalotną; lecz ani zazdrosną, ani marzącą o władzy: lubiła żyć.

Postanowiono próbę.

Flemming wszakże musiał się wprzód rozmówić z Vitzthumem. Uchodził on za przyjaciela Cosel, chociaż już staraniem żony znacznie był dla niej ochłodł. Flemming miał przewagę wielką w sprawach kraju, ale tam gdzie szło o kobiety i rozrywki, Vitzthum przodował, król bez niego nie robił nic. Byli z sobą poufali: bez pomocy jego obejść się nie było można.

Generał przystąpił wprost do rzeczy.

— Cosel nam wszystkim dokuczyla, król nawet jest nią znudzony: trzeba mu dać inną.

— Jak się wam podoba — odezwał się Vitzthum z ukłonem — wiecie że ja się do tego nie mieszam, ani mu narzucam jego ulubienic, ani go od nich odstręczam. Nie lubię palca kłaść między drzwi: dajcie mi pokój!

— A! to być nie może, wy musicie być z nami! — zawołał Flemming.

Nadchodząca Przebendowska usilnie téż nalegać zaczęła na Vitzthuma.

Nic nie pomogło.

— To nie moja rola, — odparł stanowczo — nie przeszkadzam, ale pomagać nie będę, mówię to stanowczo. Nie mogę wyjść z mojego obyczaju, nie mieszałem się nigdy do intryg, a dziś do nich jestem za stary.

— Jesteś przyjacielem Cosel — dodała Przebendowska.

— Ani przyjacielem jęj ani wrogiem — śmiejąc się rzekł Vitzthum — jestem neutralnym i chcę nim pozostać.

Próżno Flemming zabiegał, pochlebiał, ośmielał: Vitzthum pozostał nie wzruszonym i odszedł nie pokonanym.

Podskarbina znajdowała że się i bez niego obejść potrafi.

Nazajutrz u dworu zbliżyła się do króla, który ją dosyć lubił.

Miała twarz wesołą i figlarną.

— N. Panie, kolój podobno na Polskę?

— Jakto? kochana podskarbino?

— Po Lubomirskiej Cosel... po Cosel trzeba wybrać kogoś w Warszawie.

— Ale ja hrabinie Annie chcę zostać wiernym.

— W Dreźnie — odpowiedziała podskarbina — ale w Warszawie i gdy jęj nie ma!

Król się uśmiechnął.

— Czyś się téż W. Kr. Mość w teatrze choć przypatrzył naszym paniom? — spytała.

— Nie dobrze...

— Więc ja się na jedną ośmielę zwrócić uwagę W. Kr. Mości: ładniejszej, miłszej, lepszej nad nią doprawdy tu nie ma... i śliczny buziaczek i młodziuchne to... i rączki ma bardzo ładne.

— Któż to taki? — zapytał król.

— Denhoffowa z domu Bielińska — szepnęła podskarbina — siostra hetmanowej Pocijowej.

— Nie przypominam sobie bym ją widział — rzekł August — lecz jako wielbiciele wdzięków niewieścich, przyrzekam pani iż na pierwszych assamblach postaram się o poznanie tak zachwycającej jak mi pani malujesz istoty.

— Zasluguje na to... przekonasz się W. Kr. Mość — dodała odchodząc pani podskarbina i wracając prędko. — Gdybyś W. Kr. Mość zaszczycił mnie jutro bytnością swoją na skromnej wieczerzy, możebym mu ją potrafiła zaprezentować.

Król August spojrział, a zdaje się że podskarbina nie dostrzegła wzroku jakim ją zmierzyl; byłaby się może zarumieniła, tak widocznie szyderskie było to wejście, powiadając jej, że wie już wszystko i że daleko otwarciej mówićby z nim można. Uśmiech przebiegł po ustach i znikł.

Tegoż samego dnia marszałkowa Bielińska posłała po córkę i zamknęła się z nią i z podskarbiną na godzin kilka. Gdy się rozchodziły Denhoffowa zmieszana była niezmiernie, ale szczęśliwa razem i trwożna. Zapominała się ciągle, szła, wracała, szeptała coś matce, nie trafiła zrazu do powozu. Widocznie straciła głowę. Matka musiała ją upominać aby starała się być panią siebie. Małeńka osóbką nawykła do poufalszego towarzysztwa, w którym królowała, zawsze pewną będąc iż co uczyni podobać się musi, lękała się tych wielkich przyborów do nowego szczęścia, które się jej zdawało niepewnym. Nie sprzeciwiała się wcale woli matki, lecz tyle z tem było zachodu! a trzpiot ów tak nie lubił wielkich przyborów!!..

Przebendowska i Flemming jako brat i siostra, mieli jedno gospodarstwo. Generał w Polsce niemal wspaniałej jeszcze występował niż w Dreźnie, miał z sobą cały dwór, służbę, a potrzebując nieraz ugościć króla, wiedział że dlań wystąpić świetnie było koniecznym.

Skromna wieczerza stała się balem bardzo wytwornym. Król wchodząc znalazł już piękne kobiet grono, wśród którego wystrojona i wylękła, zmieszana, onieśmielona, a nawet mniej pięknie niż zwykle wyglądająca siedziała pani Denhoffowa. Podskarbina tak ułożyła wszystko, że król zbliżywszy się do niej, rozpoczął rozmowę wesołą, która poszła dosyć źle. Uważano, że król wcale nie okazał żeby mu się owa piękność podobać miała.

Po wieczerzy zagrała muzyka, zaczęto tańcować; król wziął ciągle jeszcze nie mogącą przyjść do siebie Denhoffową, która tańczyła niezręcznie, zmyliła się parę razy i zmieszana tem wydała się niekorzystnie.

Słowem wrażenie jakie zrobiła wcale nie odpowiadało temu co obiecywała Przebendowska.

Wieczorem król powracał do pałacu z Vitzthumem.

— Widziałeś — rzekł do niego — chcę mnie tu zbałamucić; ale dopóki tylko takie jak Denhoffowa będą tego próbować, hrabina Cosel nie ma się czego obawiać.

Vitzthum był w dobrym humorze.

— A! Najjaśniejszy Panie — odezwał się — nie idzie tu pewnie o zastąpienie hrabiny Cosel, która może zostać w Dreźnie, a p. Denhoff w Warszawie. W. Kr. Mość masz dwa domy i dwa państwa, jedno w Dreźnie, drugie tu; należałoby i wypada dla kompletu mieć i dwie panie. Polacy jak słyszę, skarżą się iż im się krzywda dzieje przez Cosel, chcieliby abyś W. K. Mość, kogoś też tu sobie upatrył. Gdyby Polka wyłącznie miała zawładnąć sercem, skarżyliby się Sasi; trzeba więc serce rozdzielić na dwoje i pół roku kochać w Saksonii, pół w Polsce, aby dwa kraje zadowolnić.

Król się śmiał.

— Żartuj sobie — rzekł — dobrze ci będąc spokojnym, a ja przez każdego posłańca odbieram list z wyrzutami, a tu z drugiej strony kuszą mnie... i nie wiem co z sobą zrobić.

— Niech sobie krzyczą — odparł Vitzthum — a król powinien tylko to robić co mu się podoba.

Na to nie trzeba było namawiać Augusta. Ze strony marszałkowej, gdy raz odkryła się możliwość ściągnięcia króla, nic nie zostało zaniedbanym. Nazajutrz proszono na wieczerzę króla z małym towarzystwem poufalszych. Pani Denhoff z siostrą zabawiała go śpiewem przy klawicymbale, i dość szczęśliwie powiodła się scena z *Atysa i Sangaridy*.

Denhoffowa ośmieloną była i szła za radą podskarbinę, która zaleciła jej, żeby sama króla wyzwała nieco; śpiewając swą arzę oczów nie spuszczała z niego, tak że czułe wyrazy pieśni zdawały się ku niemu skierowane. Król lubił być wyzywany, rozczulać się począł, przystąpił i nie skąpił słówek miłych, na które Denhoffowa tylko spojrzzeniami omdlewającami odpowiadała. Usłużna matka, śmielsza siostra mówiły za nią i tłumaczyły, tak że król otoczony niemi zdawał się ze wszystkimi trzema romans rozpoczynać. Wzięto

się doń natarczywie. Nie było ceremonii, pani Bielińska naprowadzała rozmowę na wesołe przedmioty i królowi dom się podobał. Zaczawszy bywać, powoli nawykł do oczów pani Denhoff, które od jego wejrzeń nie stroniły i zakochał się o tyle, o ile August mógł się kochać. Pani Przebendowska, cierpiąca zawsze, mogła już dokonawszy wielkiego tego dzieła, położyć się w łóżko i spoczywać.

Król odbierał ciągłe listy od Cosel, której umyślnie donoszono o wszystkim; listy pełne goryczy i wymówek, na które odpowiadał zrazu pilnie, później coraz rzadziej, grzecznościami i zapewnieniami.

Z nich już mogła się ona przekonać że na serce króla rachować było złudzeniem, liczyła na jego przyrzeczenia, zobowiązania, na słowo... I ta rachuba zawieść ją miała.

W rozmowach z Vitzthumem król okazywał zniecierpliwienie, przebijała się w nim chęć uwolnienia z więzów hrabiny Cosel, której się obawiał. Flemming przeczuł to.

Jednego wieczora przy winie, gdy król począł wzdychać, rozśmiał się:

— Miałbym ochotę — odezwał się — przypomnieć N. Panu stare dzieje; służą one czasem na pożytek nowym.

— Naprzykład? — spytał August.

— Onego czasu — począł Flemming — elektor saski, nim jeszcze poznał piękną Aurorę, pokochał córkę Schöninga, wspaniałą Rechenberg. Dokuczyla mu ona wkrótce, trzeba się pozbyć jęj było. Naówczas elektor saski prosił o przyjacielską usługę kanclerza Beichlinga. Beichling rozpoczął romans z Rechenbergową i króla ze szpon puściła...

— Chciałbyś tego samego środka użyć z hr. Cosel? — spytał król — wątpię żeby się powiódł.

— Dlaczegożby choć nie spróbować?..

— Kogóż chcesz nią uszczęśliwić? — dodał August...

— Wybór zostawiłbym przenikliwości W. Kr. Mości, — rzekł Flemming.

Przechadzając się po pokoju milczał król i uśmiechał się szydersko.

— Wybór to trudny, bo Cosel mało ma znajomych, co by się nawet zbliżyć do nięj ośmielili. Trzebaby użyć barona Löwendhal'a, który jako krewny i protegowany ma łatwy przystęp. Gdybym mógł jęj zdradę zarzucić, miałbym wyborny pozór do zerwania.

— Spróbuję użyć Löwendhal'a — szepnął generał. — Wprawdzie zawdzięcza jęj wiele, lecz więcej jeszcze winien królowi, a idzie mu o to, żeby upadek Cosel, jęgo nie pociągnął za sobą.

— Zrobi co mu się poleci...

W skutek tego pięknego planu poszedł list do Drezna, polecający Löwendhal'owi, aby usiłował hr. Cosel skompromitować. Dawano mu do zrozumienia, iż w ten sposób przysługę uczyni osobie, która się za to potrafi wywdzięczyć. Takich to środków zacni ludzie owęj epoki nie wahali się używać, gdy im szło o dogodzenie fantazyom, o spełnienie planów, o wyniesienie się i zemstę.

Hrabina Cosel

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM II

I

Gdy król w Warszawie z nudów i za rozkazem pani Przebendowskiej składał hołdy Denhoffowej, odegrywającej komedią pod dyktowaniem daleko od niej zręczniejszej matki, Cosel jak osłupiała, zaledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała codzien doniesień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkim zawiadomioną... A że król obawiał się zazdrości jej i gwałtowności charakteru, otoczono ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegać mieli...

August rad się był jej pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Cosel, ale nadto był słabym, bałamutnym, żeby się osnutęj oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między temi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tej żadnej; ale Cosel groziła królowi odebraniem życia, potem sobie: pogrożka jej nie była czczém słowem. Można się jej było obawiać. Nakazano więc w Dreźnie mieć oko na Cosel i wszelkie jej kroki; lękano się ażeby nie chciała przybyć do Warszawy: Flemming znał słabość króla, bo sam z niej korzystał, dysgracyonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jej piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendhalowi szepnięto by szczęścia próbował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, i była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jej zarzucić niewiarę.

Jednego poranku Haxthausen przyjaciel hrabinę zastał ją we łzach i płomieniach, podbiegła ku niemu łamiąc ręce oburzona:

— Uwierzyłybyś pan — zawołała — ten niegodziwiec, ten nikczemny, który mi wszystko jest winien, Löwendhal, w tej chwili śmiał mi swą miłość oświadczyć.

Złajałam go jak podłego człowieka, zagroziłam mu że do króla napiszę, i ma szczęście że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić, drżała z oburzenia i gniewu, a łzy się jej z oczów toczyły.

— A! przed kilku miesiącami — rzekła — nie śmiałyby być uczynić mi tej obelgi.

Krok ten Löwendhala był jakby znakiem dla hrabinę, że jej godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowej, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

— Królewskie listy — odezwała się do Haxthausena — znacznie zmienione. Słyszałeś co pan o Denhoffowej?

— Mówią o tém — rzekł Haxthausen.

— W jakież błoto go wciągnięto! — zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming który całą sprawą kierował, powrócił do Dreznia; król mu polecił pozbyć się z wolna hrabinę, ale postępować z jak największą względem niej delikatnością.

Przybycie jego zrazu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach przekonawszy się iż przyjechał w usposobieniu wcale odmienném i unikał wszelkiego powodu do zajęć nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku, król chciał mieć wolnym; szło o to ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tém łagodnego Haxthausena, który smutne swe i ciężkie poselstwo sprawił z jak największém poszanowaniem i względami dla hrabinę. Z wielkiém podziwieniem jego, Cosel odezwała się:

— Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym wyżyć w niém mogła: wyniosę się chętnie.

W tej chwili wydano rozkazy, spakowano rzeczy, najęto dom przy Moritzstrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabinę z tego rajy napełniła nieprzyjaciółki jej radością. Był to znak nieochybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swemi poufałemi powtarzała że jest żoną, i że król opuścić jej nie może. Jeszcze w roku 1705, August w chwili gdy był rozkochanym w niej, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała...

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dookoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstemi krzewy zarosła wyspa, jak kłęb zielony, jak kosz pełen kwiatów przeglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz, i pusto było dookoła.

Król coraz bardziej wymagający napisał do Flemminga, iż chce swęj Denhoffowę Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel by się z nią spotkała, ani dla niej by na porywczosć hrabinę narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

— Zmiłuj się pan — rzekł grzecznie — pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mu ciągle że życia nie będzie pewna, póki nieprzyjaciółkę tu czuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widzieć gdzieindziej: jak wiecie, nie lubi on spotkać się z temi, których dotknął lub obraził.

Wiem że Cosel ma mnie za wroga: nie byłem nim nigdy, dodał Flemming; rozgniewała mnie chwilowo, dziś to zapomniane. W położeniu w jakim się ona znajduje, uchybiłbym jej nie chciałem, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym niepotrzebował słać do niej rozkazu, coby jej większą uczyniło przykrość.

Haxthausen wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w dość dobrym humorze. Haxthausen zaczął od żarcików:

— Wiész pani — rzekł — iż się nie mogę wydziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego co o niej wiemy, zdaje się iż ta fantazja prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciwła się spleśniałego razowego, ale po kilku kąskach do pierwszego się powraca.

Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się że przychodził z jakimś poleceniem.

— Czy znowu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwinietą w tę bawełnę pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak że tak było w istocie.

— A więc mów pan...

— Byłem u Flemminga — rzekł — pokazał mi rozkaz króla, który chce byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniosła się do Pillnitz. Sądzę że to i dla pani samęj będzie przyjemniejszém, niż patrzeć...

Łzy stanęły jej w oczach: spuściła oczy.

— A! tak mi trudno! tak trudno! — zawołała cicho. — Wiem żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niema zdrady, a tu jej się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiész pan ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcém okiem osłonić, potem otarła je żywo.

— Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyśliłi go oni...?

— Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

— Nie znaję mnie — zawołała — drażnią, aż do wściekłości przyprowadzą, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą. Wiedząż oni do czego ja dojść mogę gdy raz gniew mną owłada? Myślą że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka który sądzi że mu korona daje prawo urągać się uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

— I to wszystko — dodała — spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z nimi..! Prawdziwą godną ulubienicą dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbezczęścić dając mu taką kobietę. O! ci ludzie, ci ludzie...

I znów płakać zaczęła.

— Mogłam się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu — mówiła łkając — przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi co miał najdroższego: nie wahał się uznawać mnie przed światem, tyle lat szczęścia... spokoju ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie? Jam go kochała, on mi nic wyrzucić nie może; byłam mu wierną: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz z trwogi o niego? Życie, obyczaj, wszystkim zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tyłu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia! A! ten człowiek niema serca.

Serca? — poczęła śmiejąc się — nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tém co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem.

Ale któż kiedy pochwali się że znał tego człowieka — dodała — jak anioł dobry, umieć być jak szatan zimnym i bezlitośnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu ostatnia zemsta: słowa mu z ust płyną słodczy pełne, aby uspiły ofiarę.

Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usnąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jój mówiąc gorzały, Haxthausen słuchał nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową goryczy pełną.

Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton; na ostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trawiła. Umilkła.

— Pani! — odezwał się poseł — któżby się mógł dziwić twemu gniewowi: jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz pani wątpić iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić; lecz jestże środek zaradzenia temu? W tej chwili nie ma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby sobie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz pani najlepiej zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go pani odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

— Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu! — odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

— Ale mi pozwól pani być szczerym — rzekł poseł.

— Mów otwarcie.

— Flemming jest dla pani jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym, niż był kiedykolwiek; trzeba go w tém usposobieniu utrzymać. Któż wie? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu pani być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczuć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odgrózkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele jój mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażniona, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną.

Masz pani przykład na hr. Königsmark — dodał — potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z ks. Teschen pozwolono jój zostać w Dreźnie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

— Ale jakże mi pan śmiesz — zawołała gniewnie — stawić takie przykłady. Esterle! Königsmark! to były metresy króla: ja jestem żoną jego!.. nie równaj mnie pan z nimi...

Haxthausen zamilkł.

— Zresztą masz pan słuszność, nie chcę go gniewać; chcę się okazać łagodną i posłuszną: pojedę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle, uderzając nogą.

— Nie będą śmieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być! nie! nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu... ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; naostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

- Nie pojedę; zostanę; niech gwałtu użyją... jeśli się ośmielą.
- Namyśl się pani, na Boga; proszę panią.. cóż powiem Flemmingowi.
- Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i opisem całej swój rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nic nie mógł uczynić: siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną Emilię, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności, a mogła buntując się szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znowu oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jój słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i ważąc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming dowiedziawszy się o tém, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jój jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niej.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni z zapłakanymi oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jój z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

— Stawiasz mnie pani w najprzykrzejszym w świecie położeniu — rzekł spokojnie — im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tém mocniej usiłowałem jój oszczędzić przykrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przynoszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go, w jakikolwiekbydz sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreźnie.

Stojąca przy oknie Cosel, zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jój mieszkanie nadciągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jój oczy czarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

— Jadę natychmiast! — rzekła z lekkim ukłonem — możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, ukłonił się i wyszedł, trabanci pojechali za nim.

W godzinę potem, hrabina Cosel, płacząc ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dokonało się wprzód, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał on zerwać z hr. Cosel, nie okazawszy jój pewnych względów, należnych po tylu latach pożycia; niepokoiło go to, iż nie miał powodu do zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z jój strony znaleźć winy.

Gdy Löwendahlowi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układów jakichś Watzdorfa i usłużnego, ale niezgrabnego van Tinen, którego król używał ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstrętliwy Augustowi, zwany chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubianin i niezgrabny.

Watzdorf na dworze nie wiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia, gdy się go najmniej spodziewać mogła hrabina, zjawił się w Pillnitz.

Jedyną jego wymówką, że się znaleźć nie umiał i z hałasem zaraz wpadł do domu kobiety, której się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Podróż od Dreznia wcale go nie wytrzeźwiła; polecono mu układy z hr. Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jój w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wnijsciu do pokoju bez oznajmienia, poznała hrabina chłopca z Mansfeldu.

— Kochana pani — zawołał śmiejąc się od progu — jestem posłany przez króla J. M., powinnaś mi pani być rada. Przywożę jej doskonale nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie dać i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy, życzy sobie rozstać się z zobopólnym zadowoleniem i zgodą: słyszy pani?

— Słyszę panie hrabio, ale nie rozumiem — dumnie rzekła Cosel.

— A jaka zawsze śliczna! — dodał Watzdorf, zbliżając się i ujawniwszy najprzód rękę; namyślił się, nagle podniósł głowę znajdując iż lepiejby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny, piękną rączką dała mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

— To tak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała Cosel pokazując mu na drzwi; król powinien był wiedzieć, że takiego gburę za posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

— Niech to idzie w zapomnienie — rzekł — ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak pięknej rączki nie bezcześci... owszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jej serca.

Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahl'a, odradzono jej to: Watzdorf zajmował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy: walka z nim była trudną.

Nasłano później van Tinen'a, o którym na dworze rozprowadano, że się w niej szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życzliwszy dla niej, nienawistny był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwiał go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnymi rękami, a raczej nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinenę na progu pokoju, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził. — Król nie lubi cię: nie włącz mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł: August się skrzywił. Po chwili van Tinen ośmielony, począł rozprawiać; król milcząc odwrócił się od niego: ten zaszedł z drugiej strony, włożył pod samą rękę olbrzymę, który milcząc patrzył nań z góry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszczały, radzi byli ostrzedz nieopatrzego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natrętnego, nareszcie zaczął coś mówić; van Tinen przerwał: król zamilkł. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W tej chwili, jak dzik rozżarty król, zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżej, drugi cofając coraz bojaźliwiej do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup błądy o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbitego na miazgę, słudzy porwawszy bez zmysłów już leżącego, na łóżko ponieśli i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacili.

Na żadnym z tych ludzi, nie mogąc zdobyć król nic, coby Cosel obwiniało, zasłyszała wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lectereine'a, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernił, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ją goryczą napęlić i do rozpaczki przyprowadzić; mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasyłał takich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tém oznajmić marszałkowej. Natychmiast zwołaną została rada rodzinna: trwoga była niezmierna. Przybycie Cosel mogło tę całą tak szczęśliwie osnutą komedię, zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej oplątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie o której król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonemi, siadła piękna zalotnica na łóżku, z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektową.

Gdy król wszedł, udała że go w rozpaczy swęj zagłębiona, nie postrzega.

— Cóż ci to jest piękna pani! — zapytał król troskliwie!

Denhoffowa udała że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

— N. Panie — odrzekła patetycznie Denhoffowa — zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzeć byłoby niczém, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wydrzeć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajduje... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty królu przybywasz tylko aby mi oznajmić że powinna ustąpić szczęśliwej rywalce...

— Ale cóż pani śnisz — przerwał król zdziwiony — z kąd to wszystko, mógłżebym ja panią zdradzić? Nie, pani, nierozzerwane węzły łączą nas, twój charakter pełen słodyczy, twa dobroć dla mnie, są rękojmią że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

— A! panie mój — ciągnęła dalej Marynia — bogdajby to co mówisz prawda było, bogdajbys mi odpłacał miłością tak szczerą jaką ja mam dla ciebie. A! umrzeć dla mnie jest niczém, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia prędkójby mogła, niż tego szczęścia które mi się uśmiechało! Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie: nie chcę go więcej.

— Ale moja droga hrabino — odparł król — byłoby z méj strony niegodziwością takie wyznanie, tak słodkie wyrazy z ust twych, niewdzięcznością zapłacić.

— Dzięki ci panie, za tak słodką nadzieję — mówiła ciągle Marynia — mimo to ja się uspokoić nie mogę, trwoga mną owłada... Ta nieznośna rywalka zbliża się... będziesz ją widzieć, pochwyti znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

— Czegóż się pani dręczysz — przerwał król troszkę niecierpliwie — jakimże ją sposobem uspokoić mogę... Owszem, pozwól niech Cosel przyjedzie, odniesiesz tryumf nad nią.

— Nie, nie! — zawołała Denhoffowa — jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę: ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie téj rozmowy stała poddrzwiami, gotowa wniść gdy znak usłyszy; Marynia kaszlnęła.. drzwi się otwarły i weszła udając zdziwioną i niewiedzącą zupełnie że król się tu znajdował.

— Bardzom szczęśliwy że panią widzę — zawołał król wstając — chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami nie słusznemi.

— Ale o cóż idzie, N. Panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

— Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania — dodała żywo. — Nie powinno to W. K. Mości obrażać.

— Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę to na niego; minę miała skłopotaną.

— Przebaczysz mi W. K. Mość — rzekła po chwili — ja się córce mojej nie dziwuję wcale. Wiadome są całemu światu pogrózki hr. Cosel, znany jest gwałtowny jój charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet N. Panie!

— A więc — przerwał August — o co idzie? dla waszój spokojności, wydam natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

— Szczęśliwą możesz się nazwać Maryniu kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

— Ośmielam się uczynić jeszcze uwagę, że pani Cosel, łaskami W. K. Mości uzuchwalona, nie łatwo kogo posłucha, należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał...

— Wybierzcie panie kogo chcecie! — zawołał król trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed N. Panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do tej wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z ks. Polignac'iem do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana J. K. Mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny, gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z drogi hrabinę Cosel.

— A jeśliby rozkazu W. K. Mości usłuchać nie chciała? — spytał Francuz — w takim razie co mam uczynić?

Król stał chwilę zamyślony, wyraźnie kosztowało go to do czego został zmuszony.

— Dam waćpanu w pomoc La Haye podpółkownika moich kawaler-gardów, i sześciu gwardzistów, zdaje mi się że to już wystarczyć powinno.

Nie tracąc czasu posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i téjże nocy oddział wysłany przeciwko jednej kobiecie bezbronnej, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym, gościńcem który wiodł z Warszawy do Drezna.

A jak czule były podziękowania, i jak wielka potem radość z odniesionego tryumfu!!

II

Hrabina raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swój stanąć przed nim, z całym dworem wybrała się w drogę chcąc pospieszyć tak, ażeby ją wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jej nigdy wierny Zaklika towarzyszył w tej podróży. Cierpiał on niewymownie nad losem swój pani, ale w naturze jego było milczyć tém uparciej, im więcej bolał... Błady, wychudły, zczerniały, jechał przy wozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wyjazdem z Drezna, Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

— Wszyscy mnie opuścili — odezwała się — nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań: Zaklika stał chmurny.

— Czy i wy mnie porzucicie?

— Ja? nigdy! — rzekł krótko.

— Zdaje mi się że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

— Zawsze — odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry jakby przysięgał.

— Chcę wam to co mam najdroższego powierzyć — odezwała się zniżając głos Cosel — powiedzcie mi, zaręczcie że chyba z życiem stracie to co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzeć siłą, że mi będziecie strzedz mego skarbu, honoru mego jak...

— Jak relikwii — rzekł Zaklika znowu rękę podnosząc — niech pani będzie spokojną...

— I nie trzeba by żywa dusza wiedziała o tém co złożyłam w waszych rękach.

— Każe mi pani przysiąc?

— Wierzę słowu.

Trzeba jednak byś wiedział co masz strzedz. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczej nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzeć to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania gdzieś to pismo złożyła. Zamurować je? mogą mnie wygnąć; zakopać? mogą mnie oddalić: na sobie nosić nie jestem pewna.

To mówiąc Cosel otworzyła szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobyte pudełko złote, a z niego woreczek skórzany opieczętowany ze sznurem jedwabnym.

— Ty mnie nie zdradzisz? — odezwała się patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i lży mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę, pochwycił oglądając się woreczek który złożył prędko na piersiach i odezwał się głosem stłumionym:

— Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

— Jedziemy w drogę — dodała — nie wiem co się w niej przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane i najgorsze, trzeba byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

— Do rachunku — rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Cosel z nabitemi pistoletami, które ją nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej miłośnicy na pograniczu Szlązka, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku, hrabina znużona kazała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiętek koni jakiegoś oddziału trabantów, który jak się domyślano, do Saksonii musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i la Haye zjawili się przed nim, prosząc aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jej złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był. Zdziwiła się niepomału hrabina, gdy jej Zaklika to oświadczył, nawykła od niejakiego czasu do tego iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haye był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej a nawet wesołej. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, aże pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny.

W czasie obiadu rozmowa szła dość swobodnie, ku końcowi Montargon który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tém, o owém i zwrócił się do hrabiniej:

— Zdaje mi się — rzekł — że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

— Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiej znać króla nademnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

— Pani daruje — wybąknął.

— Nie daruję panu tego — zawołała Cosel — bo to jest i niezręczność i niegrzeczność. Dajże mi waćpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

— Odemnie pani hrabina w istocie anibyś mogła rad potrzebować, anibyś ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla J. M.

— Od króla? — zawołała Cosel.

— Tak jest.

— W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa — rzekła hrabina — opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to czego był niepowinien uczynić i czego w tej chwili żałuje sam. Mógł król chwilowo uledez, a pewna jestem iż sam będzie rad że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon człowiek gładki, ale obrażony tonem jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a w istocie boleśnie obrażającym:

— Wdzięcznym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego — siły.

— Jakto? — porywając się krzyknęła Cosel — waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

— Mam stanowczy rozkaz króla zwrócić panią do Drezna — rzekł Montargon — i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie że był synem wiozkowego pisarza i krzyknęła nań:

— Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz! — porwała za pistolet — bo ci łeb roztrzaskam. W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział z kim miał do czynienia i był pewnym że hrabina mu słowa dotrzyma, wysunął się co prędzej, nie otwierając już ust, a la Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób w jaki towarzysz jego dostał odprawę był dla niego nauką, la Haye zaczął z wielką łagodnością:

— Pani hrabino — rzekł — posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy niewinni że nam tak nie miłe dano polecenie. Byłbym w rozpacz gdybym się mógł najmniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust N. Pana dla wojskowego, niema ratunku, one się spełnić muszą.

— Widziałeś pan króla? — spytała spokojnie Cosel.

— Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąca.

— Niech się pani uspokoi; niema, jak mi się zdaje nic dla niej groźnego w tém wszystkim.

— Jakto? a ta Denhoffowa?

— A! to bałamuctwo przemijające — zawołał la Haye — coś naksztalt romansu króla z Duval, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem czy sobie jój imię przypomina. Pani Denhoff jest zamężną, mąż jój na wsi, o niczém nie wie, nie ma najmniejszego podobieństwa ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać, la Haye umiał jój historią w takiem świetle przedstawić, aby jój znaczenie zmniejszyć. Po kwadransie rozmowy, hrabina grzeczniemi prośby dała się wreszcie pokonać, la Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jój na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kuryera do pani marszałkowej. Obawiając się zaś ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i la Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją niepostrzeżeni; noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niej, aż pod Budziszyn, zkąd już spokojni mogli wrócić po dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażaćby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszém występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie, poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy w których jój nie oszczędano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie dobrej sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, oburzało.

Raziło to tém więcej, iż współniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tém niż tajono z poniżeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intrygi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono doń matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swém przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

— Nie męczcie nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całej rodziny dla twoich fantazj poświęcać nie myślimy; mamy króla w rękę, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz żeby przez śmieszłą pruderią, odwiozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła!

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

— Słuchaj waćpan — dorzuciła pani marszałkowa — masz do wyboru: albo milczyć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, co by ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncyusz Girmani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

— Moja pani — odezwał się Denhoff — dzielić się sercem żony z N. Panem, nie mam najmniejszej ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jéjmościńej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczny będę, byle prędzej.

Marszałkowa była nieco zdziwioną, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncyusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długie ogromne, majątki obciążone, interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowej, która gorliwie się wzięła do kassy J. K. M. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzyła Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czule serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacye, gdyby nie rozum, doświadczenie i zapobiegliwość matki, niewypuszczającej ją z opieki i czuwającej nad dobrem całej familii. Pani marszałkowa prosiła o coś ciągle, prosiła nader zrećźnie, bardzo słodko i grzecznie; znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiała przemówić do serca N. Pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo zważał na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żaloby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą oddalając się od nich, tak, że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytwórcze przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całej téj armii posługaczy, którzy go otaczali w Saxonii, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siłąc się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą stosunkowo w to co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoff obawiająca pistoletów Cosel, upewniła że jéj tam na drodze swéj nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem tryumfatorki, zbierając co z niego spadało, nie prędzej nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jéj nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla niż dla siebie; udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzedz od jakiejś wymarzonej napaści.

Być bardzo może iż nieprzyjaciele hrabinéj, chcący zapobiedz by wróciwszy do dawnych łask u króla nie mściła się doznanej zniewagi, wpływali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania hrabiny. Dosyć że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dosyć obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego, a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jéj pozbyć koniecznie, pozbyć w ten sposób aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, wiedział że ona szukać go będzie, był przekonany, iż obudzi żal w Augustcie. Jątrzone więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tém, iż Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoff strąconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jéj rodzina.

Tak z jednej strony, nasadzając panią Denhoff na króla, ażeby ją wygnał z sąsiedztwa stolicy, z drugiej Flemming sam przypomniał mu, iż nieopatrznie, w chwili namiętności, dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina

Cosel, że należało bądź co bądź, papier ten, bodaj zań oplaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słuszném: raz rozpoczawszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jój w Pillnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstrętliwym, Cosel nawykła teraz, z pozorną przynajmniej cierpliwością znosić wszystko: musiała go przyjąć, wiedząc że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie oględniejszy w postępowaniu z hrabiną.

— Życzę pani dobrze — odezwał się przy powitaniu — najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiej zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniej wypadło to dla pani... ale...

— Ale co? — zapytała Cosel, spoglądając nań.

— Ale ze strony pani, trzeba by też trochę powolności — rzekł Watzdorf.

— Posłuchaj mnie pan — odezwała się Cosel — byłam królową, panią, bóstwem; jestem matką trojga przyznanych przez króla dzieci jego; nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbytnią miłość dla króla.

Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach i laskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi rzec się miłości... milczę... wypędzają mnie z darowanego pałacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam się do Pillnitz, chcę widzieć króla, zawracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko, ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojej wściekłości, mówią żem gotowa z rozpaczyny gozić na życie króla.

— Tak jest, wszystko to mówią, prawda, — rozśmiał się Watzdorf — ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

— Teschen i Aurora były faworytami — zawołała — ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się rozśmiał w głos.

— A! kochana hrabino — rzekł z poufałością obrażającą... — to są stare dzieje. Pani wiesz co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczną, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie co czyni.

August II pan nasz najmiłościwszy podpisał przecie zmuszony pokój Altransztadski... a ogłasza go nieważnym; podpisał też pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagi.

Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

— A! królowi wolno — zawołała — do słów, przysięg i przyrzeczeń najuroczystszych, żadnej nie przywiązywać wagi; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju... po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego z czém przybył.

— Niech mi pani powie otwarcie — odezwał się — jakie są jój żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten paperek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

— Z tém pan przybyłeś? — zapytała.

— No, muszę wyznać: tak jest.

— Wracajże nazad — odparła Cosel rozplamieniona, — bo pókim żywa nie oddam nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego laski, podać mu rękę, gdybym téj obietnicy ślubu nie otrzymała.

— Ależ to była śmieszność — rzekł Watzdorf. Sama pani uznasz! królowa żyła i żyje.

Któż jest w prawie rozporządzać tak przyszłością: takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata, nic nie waży.

— A pocóż mi je odbierać chcecie? — zapytała Cosel, — bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał? Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zdrada nie napiętnowała tak jak godzien.

— Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę, — rzekł Watzdorf.

— To wracaj z kądem przybyłeś — zimno odezwała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju. Poseł poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

— Zastanów się pani, do czego to prowadzi! Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mógł.

— Więc niech próbuje, — odparła hrabina.

— Toby była ostateczność nader smutna — kończył Watzdorf — téj właśnie wszyscy, co jęj życzą dobrze, radziby uniknęli; téj ja pani chcę oszczędzić.

Jeśli zmusisz do gwałtu, nic się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

— Chcesz bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski niema tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

— Chcę żeby świat wiedział jak niegodnie byłam oszukana, jak niepoczciwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jęj z oczów.

— Nie — zawołała nagle — waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie króla chcąc go obronić. Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetném. Król nie może tego żądać!

Posłany milczał, zwolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie: w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwém.

— Jeśli to co mnie podpisał i poprzysiągł niema wagi — odparła ręką papier usuwając — jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

— Pani hrabino — odezwał się cicho — jęj postępowanie budzi we mnie litość, wierz jęj lub nie, ja więcej nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niema środków jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni los ludzi wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwiać się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

— Znam go lepiej od was — wrzuciła Cosel.

— Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym — rzekł Watzdorf.

— Wiem o tém — powtórzyła hrabina.

— Zaklinam panią!

— Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna — zaczęła Cosel spokojnie — groźbą mniej na mnie możesz podziałać niż namową: wstydziałabym się jęj uledz.

Watzdorf napróżno usiłował jeszcze przekonać hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic nad powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwéj znowu próby...

III

Są istoty które na ból patrzeć lubią a jękom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu urągać. Płochość czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jęj nieprzyjaciółach. Prawda że dumę swą nieraz im czuć dała, że nie wiele osób zasłużyły na

jój przyjaźń; lecz w owym dworze intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów co się odpędzić nie dawali należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszoną dom jój wypowiedzieć, przekonawszy się co z niego wynosiła i udając przyjaźń, za drzwiami sama się z nią wyśmiewała. Długo też nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jój było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabiniej, gdy nazajutrz oznajmiono jój odwiedziny Glasenappowej. Zrazu wahała się z przyjęciem nie chcąc wystawiać na urągawisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa niezrażona długiemi oczekiwaniem, pobiegła na okół domu, którego dół zajmowała Cosel i od okna do okna przechodząc i zagłędając, gwałtem się starała ją znaleźć i do niej docisnąć.

W ten sposób w istocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu i przewiesiwszy w otwartem oknie, zmusiła by jój drzwi odemknęto.

— A, moja droga hrabino, nie kryjże się — zawołała — wiem że ty w moją dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każde mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta: nic nie chcę, tylko cię uściskać.

Cosel znudzona i zmęczona zarazem przyjęła baronowę, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

— Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie — odezwała się — odmawiają mi wszystkiego. Niema potwarzy którójby na mnie nie wymyślili; wierz mi Cosel, że ja ci zazdroszczę twój samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siadła wygodniej, obejrzała wkoło.

— Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcaleby ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sądzę żeby ci się to udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i ztąd wygnąć.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Mamy tedy tę panią w Dreźnie — poczęła paplać żywo — a z wielkiego strachu abyś jój z pistoletu nie postrzeliła, podpółkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jój nie odstępują. Myślę że za tę gwardyę nie gniewałaby się nawet nie mając obawy.

Oprócz tego postawili ją u Fürstembergu, dopóki jój pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie się jój skończy.

— Mają przecież pałac po mnie — mruknęła Cosel.

— O! ten już przeznaczony dla Kurfirsta — dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę że i garderobianą u Denhoffowej... Flemming wydaje śliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią że na jednym z nich dobrze podpiwszy pogłaskał Denhoffową pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu też tego za złe... zresztą słyszę tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszną jak ty moja Cosel, która nie cierpiąc podziału, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

— Król się nam zmienia — szepnęła — znaliśmy go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

— Tak względem mnie nie jest...

— O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy się inaczej nie kończy — mówiła dalej Glasenapp — ale słyszałaś o Jabłonowskim?

— O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę — odezwała się Cosel.

— Wiész przecie ile król winien był hetmanowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wojewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

— Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego samego mieszkania, w którym ojca namówił na stronę naszą i w rocznicę dnia gdy wyjeżdżali Kurfirsta witać na granicy.

— Byćże to może! — zawołała Cosel.

— Tak i ja bym spytała może niedawno, czyż to być może — mówiła dalej przybyła — a dziś powiadam że możliwe wszystko.

— Cóż zawinił wojewoda?

— Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie gdy król brał Denhoffową wystąpił jawnie przeciwko niemu za to że im żony zabiera, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje: że to zbrodnia stanu!

Zbrodnia stanu! — śmiejąc się i plaszcząc w ręce wołała Glasenappowa — a! nieszacowany Jabłonowski. Mówią że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffową, chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy przejmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfessaty, jakieś papiery poznajdowano w domu i król bez ceremonii, bez sądu Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

— Miarkujże moja droga — dokończyła Glasenapp — kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonii, cóż już o innych mówić? co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba.

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na nią wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonii, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu, Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

— Mamy świetne ciągle zabawy — rzekła — król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanąć nie śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za niedoperza razem z siostrą: mamy też najwięcej maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zamknięty. Przy jednej wieczery Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencją N. Pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

— Nazajutrz — dodała opowiadająca — ktoś pochwycił koncept dowcipnisia i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się słyszę śmiał, lecz tego co się to ważył uczynić szukać kazano, a wątpię by go znaleźli.

Plotła tak nieznużona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu gdy się sam na sam znalazły, Glasenapp zbliżyła się do ucha hrabiniej:

— Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wypłatanego figła. O! nie przeczę że lubię dokuczyć tym, którzy mi też dojedli nie mało; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a téj doznałam niegdyś od was hrabino. Żal mi was...

Na dworze naradzają się i odgrażają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

— Papiéru? jakiego? — napozór obojętnie spytała Cosel.

— A! przecież wiecie o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

— Bardzo dziękuję za przestrożę — odezwała się Cosel — ale ja na wszystko byłam i jestem przygotowana. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nié mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i téj w końcu nikczemności... złożyłam go w miejscu bezpieczném.

Glasenapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzeniknioną gdy chciała... osłoniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jéj było poznać i domyślc się, że Glasenappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją aby się czegoś dowiedzieć; że była

szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania...

Zabiegi całe na nic się nie przydały, Cosel zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestroóg, dała jej z niczym powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz który ją tu przywiózł oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę.

Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącym domu i ogrodu...

Zaklika myśli jej zgadywał.

— Jesteśmy tu szpiegowani — odezwała się — prawda?

— Dokoła, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę — odpowiedział wierny sługa.

— Można ich oszukać? — spytała.

— Gottlieb tu na czele — począł Zaklika — zdaje mi się że on do miasta jeżdżąc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz nie mądry jest i spoić go łatwo, a zwiść jeszcze łatwiej...

— Gottlieb? — zawołała hrabina.

— Tak, właśnie ten, który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza... radby ażeby się go nie obawiano.

— W mieście wszyscy cię znają? — zapytała cicho Cosel.

— E! wielu zapomniało już o mnie — podchwycił Zaklika — a dla innych toć się i trochę zamaskować łatwo.

— A masz-że od kogo zasięgnąć języka?

— Gdy muszę, znajdę... — rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach, Cosel jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

— Niema tu już bezpieczeństwa dla mnie — rzekła — muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?

Zamyślił się Zaklika i milczał.

— Trudno — mruknął — ale gdy musimy.

— To nie dosyć — kończyła Cosel — ja muszę zabrać z sobą co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwieźć klejnoty, pieniądze, bo to co tu zostanie, będzie ich łupem: zabiorą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika: potarł czoło, targnął wąsą, spuścił w dół oczy.

— Mów pani — rzekł widząc że Cosel czeka.

— Czy mi zaręczysz że dobiegnę przed pogonią za granicę..?

— Co w ludzkiej mocy, zrobimy. Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił, widać było że niepokój go dręczył, że się lękał a nie chciał wydać z bojaźnią.

— Dawno to uczynić trzeba było wprzód — rzekł ucinając mowę, bo nie nawykł długo się wyrażać — ale co się nie zrobiło, o tém mówić już niema co: trzeba czynić co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce gniotąc je biędny człek, aż kości trzeszczące w nich słyhać było; chmurne czoło namarszczył, stąpał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwogą i ciekawością, ten człowiek cały w sobie, energiczny, silny, mało mówny, po wypieszczonych ludziach do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czula w nim człowieka.

Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, nasępiwszy brwi...

— Nocą pojadę do miasta — rzekł — ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie kaź mnie pani wołać aż sam przyjdę, będą we dworze sądzili że się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę skrytą w krzakach pod wyspą, spuszcę się Elbą... Napowrót więcej czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywieźć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyśleć i resztę; wyjazd, to nie mała rzecz...

Mówiąc tak urywanemi słowy wzdychał. Cosel zobaczyła w téj chwili krążącego z dała Gottlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższej rozmowy i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

— Ja sędzę — nieprawdaż Gottlieb — że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się ztąd nie rychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastręczcie, bo Polak któremu to chciałam polecić, wymawia się że nikogo nie zna.

Gottlieb spojrzął na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć czy to prawda była; skłonił się i zaczął mruczeć szybko, zaklinając że dla swój najdroższej pani zrobi wszystko.

Na tém się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gottlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podejrzenie szpiegów, probowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na niem widać było ogromnego chłopca wyciągniętego, w ubraniu w jakim chodził i twarzą obróconego do ściany. Uspokoił się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać do syta. Nie było też co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę pocichu odwiązawszy od kółka u którego była przymocowaną, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreźnie unosił. O téj porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mielizny i kamienie. W czasach gdy jeszcze błędził niczém nie zajęty po okolicach Zaklika, pływał wiele i żegluga się bawił, tak że po za Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki załomy i mielizny. Noc go więc czarna wcale nie ustraszała, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światełka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną lunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i illuminacya.

W Dreźnie będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zręczność wielu tam poznać ludzi; serce go ciągnęło raczej ku stojącym w cieniu i na boku, niż do tych co błyszczeli wśród przedpokojów i wmieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął myślał teraz ciągle do kogoby się udał.

Na dworze który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami pięknym paniom sypano; handel pieniędzmi i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze summy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmana, w Dreźnie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch izraelitów wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w r. 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia, przy takim wiekuistym na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreźnie. Pierwsza to była wexlarnia i bank w tém mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Poczta, a naówczas Judenhauzem. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszym piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francuzku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny... miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju... pochodził on z Polski i zachował cechy izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, ani pragnął się mieszać do świata, w którym wiedział jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach, hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi, w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel; wierzył jój i był dla niej z wielkiem uwielbieniem. A że rodzina jego pono siedziała niegdyś w Krakowskiem i on tam młode lata przepędził, a Zaklika też ten kąt kochał... rozgadywali się z sobą nieraz, Lehmann żartując język dawny przypominał. Czasem podać kazał wina lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział że Lehmann już po upadku Cosel, dał jój dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką z kolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił co tylko zrobili,

nie brzydząc się zepsuciem dworu. Berendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochosć i rozwiązłość, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprawdzie popisywać się z tém ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dawało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych, nieraz był, nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptali pocichu, Zaklika wnosił iż na Lehmana śmiało się spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czółno poniżej mostu w znanym sobie kącie u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkało, bezpiecznie umieścił Zaklika, odziewszy się po oczy płaszczem i kapelusz naciśnawszy posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdąła już gorejącą nad ogrodem Hesperyd w Zwingrze widać było illuminacją. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne strony leli, a między nimi i nie jedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał panował wszędzie... znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanymi uliczkami Zaklika szukając mroku, po pod domami, z których nie wiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirnaiską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O téj godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie co żyło poszło patrzeć na bal do Zwingru, pod gołém niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych... kręcący się i szumiący z południowych krajów szaleł i wrzawał. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmana, który wyszedłszy do sieni ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu w tyle domu.

Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już niemłodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejeđnany, znający jego warunki i ostygły już wielce.

Czarne oczy patrzyły chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnięcia czuć było, że je coś ogrzaćby potrafiło.

Zaklika przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie; gospodarz domyślił się o co mu chodziło i szepnął, uderzając po rękę:

— U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

— Tegobym sobie życzył — rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak i powrócił prędko. Przysunął krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

— Co się z wami dzieje? — zapytał.

— Dzieje się tak źle — odparł Zaklika — iż gorzej, gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drezna a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzej. Nieszczęśliwą tę ściga zemsta nikczemnych ludzi... trzeba ją ratować.

— Tak jest, tak jest — odparł Lehmann, poprawiając czarnej czapeczki, którą starym obyczajem nosił na głowie — ale siebie nie gubić.

— Myślę, że się to da pogodzić! — odezwał się Zaklika.

— Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

— Cosel uciekać musi — dodał Zaklika.

— Dokąd? — spytał żyd z uśmiechem — chyba za morze... tu sobie panowie wzajemne czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

— Sądzę, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann głową pokiwał.

— Hrabina — mówił dalej wierny sługa — musi z sobą zabrać co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

— A czy bezpiecznie uciekając zabierać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

— Jużto, wierzcie mi — rzekł — radbym hrabinie z duszy dopomódz; znam jęj historiją, znam charakter: była to jedna perła w tém błocie. Winienem ja jęj wiele i pomogę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szacować umiém; ale posłuchajcie mnie, panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla nięj gubić nie mam prawa.

— Ja przecie, gdyby mnie na katownie najsroźsze wzięto nie wydam was, ani hrabina, a więcej nikt, chyba Bóg jeden wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał: — Zgoda — rzekł — trzeba żeby was tu u mnie nikt nie widział, ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną jak za wszystkiemi szpiegi chodzą.

— Nie bójcie się o to — dodał Zaklika.

— Co mi dacie, to wam prześlę gdzie będzie trzeba — dodał Izraelita — rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dłonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

— Dziękuję wam — odezwał się Zaklika — nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

— A o czémże dowiedzieć się chcecie? — spytał chmurno Lehmann zniżając głos — u nas tu zawsze gospodarstwo jedno, kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königstein, lub gdziekolwiekbądź, byle nam nie zawadzało.

Litości tu ani serca nie pytać, bo niéma nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkimi, obsypuje łaskami gdy potrzebni, i gardzi niemi...

Wszystko jedno: jest to co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

— Król więc zakochany? — spytał Zaklika.

— On? zakochany? — odparł Lehmann — a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religię na waszą zmieniał, iż nie wierzy aby cokolwiek mieniał, bo nic nie miał: tak samo z tą miłością, której nigdy nie było.

— A Denhoffowa!

— A! a! — zawołał Lehmann — co ma być? pieniądze zbiera i klejnoty: król już pono myśli zawczasu za kogo ją wyda gdy mu się uprzykrzy.

Siostrę jęj hetmanowę Friesenowi swatają, a ją? no! weźmie Haxthausen, albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

— Cóż ty się tu chcesz nowego dowiedzieć? tu się ludzie zmieniają nie rzeczy.

Chwilę potém jeszcze po cichu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowój, wypuścił nią i klucz mu zostawił. Pożegnali się mruczając. Zaklika obwinęty płaszczem poszedł dalej... Nie sądził aby niebezpiecznym było podsunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć jak to tam teraz wyglądało: zdawało mu się że się niewidzianym przesunie.

Już był w zamkowej ulicy pełnej przesuwających się masek i *nobles venisiens* i dominów, gdy go ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

— Jakżeście mnie poznali? — zapytał Zaklika.

— Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was niéma nikt — szepnął Fröhlich — ale cóż wy tu robicie? Słyszałem żeście byli u dworu tęg... tęg, która upadła...? a teraz?

Zaklika dla utajenia się, odparł żywo:

— Nie było tam co robić! opuściłem go!

— To rozumnie — rzekł Fröhlich — wszystko dobre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować... cha! cha! niech każdy ratuje się jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffowój służycie?

— Jeszcze nie — odparł Zaklika — a jakże się ona wam wydaje?
— Mnie? — zapytał Fröhlich — ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kają, które się zdaje łatwo zgnieść a trudno złapać.

Począł się sam śmiać, i zatknął sobie usta.

— Piérwszy niedoperz którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce, stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać, „co tu robisz? co robisz?”

Nie miał już Zaklika lepszej odpowiedzi do dania, nad tę którą zbył Fröhlicha.

— Szukam służby — rzekł.

— Ho! to ci się twoja pani sprzykrzyła...

— Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jej sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

— Szukasz służby, a jakiejżebyś żądał?

— Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takiej, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

— A Cosel? gdzie Cosel?

— Zapewne w Pillnitz? nie wiem?

— Chodź ze mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, przecież się nie lękasz?..

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze, Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał żwawo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu... Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek pochylony nad nimi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za niemi.

— Kiedy rzuciłeś służbę u Cosel? — zapytał.

— Kilka dni temu.

— Cóż myślała?

— Urządzała się w Pillnitz...

— I siedzieć myśli? — zapytał Flemming.

— Ja sędzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrzęśli głowami.

— Jakżeś się z nią rozstał...?

Zaklika zmiarkował że obudzając zaufanie, o czémś potrzebném będzie się mógł dowiedzieć.

— Zostałem wypędzony — rzekł — bo tam teraz mało sług potrzeba.

— A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?

— Doskonale.

— I przyjąłbyś służbę inną?

— Czemuż nie?

— Choćby, choćby — dodał Flemming — wymagała, żebyś przeciw dawnej swój pani wystąpił.

— Ja nie mam pani ani pana, oprócz króla JMości — odparł Zaklika — bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu śmiejąc się do rozpuku.
— Za dwa dni przyjdź do mnie! rozumiesz? — rzekł cicho...
— Rozumiem — szepnął Zaklika...
Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem.
I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tém pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Z tądy wyszedłszy lepiej się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kilkoma poufałymi, na przedmieściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czołno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę z całych sił robiąc niemi, puścił się nazad do Pillnitz.

IV

Między innymi wiadomościami, które Zaklika mógł zaciągnąć była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczery i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa i hetmanowa Pocijowa i matka ich marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arye włoskie... opera najczęściej je do pół wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerta grywał Tartini, Santa Stella występowała jako prima donna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Berselli ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna. Aldrovandini malował dekoracje, Bach dyrygował muzyką.

Z równem staraniem urządzony był balet, a potem komedia francuzka.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król wśród tych maskarad i redut, często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastreczały. Na dzień następny naznaczoną była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pocijowa także... Król rozesał rozkazy, aby mu się kto żyw stawił, i żeby na placu było tłumno. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nic wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czołno na swém miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uspionym i niepostrzeżony wkradł się do swjej izby, oczekując w niej, iżby się pani obudziła...

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwały, przeszedł się przed niemi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać, rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina zobaczywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jēj szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierw z swjej rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, coby najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabinęj zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kufarki i szkatuły, w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania, siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała mu podołać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o mroku. W domu urządzać chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabinęj nie domyślano. Przepzęgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja, że nim do Drezna dojdzie o ucieczce wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jēj, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu, zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki, zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słyszając to oniemiał Zaklika i pobladł.

— To być nie może — zawołał — to dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziez poznana... a wówczas...

Cosel potrząsała głową.

— Chcę — rzekła — i tak być musi. Znasz mnie waćpan, że mam wolę żelazną, że jestem upartą, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę go widzieć, muszę ją widzieć; to nie fantazyja, to potrzeba: to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę, a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i Kocham.

— Lecz pani narażasz się.

— Doskonale wiem na co się narażam — przerwała Cosel... Mogą mnie pochwycić i zawieźć do Königsteinu, czy do jakiego tam zamczyska; mogą mnie zabić... ale ja muszę tam być. Na obronę życia mieć będę oręż przy sobie... resztę zostawcie mnie...

Zaklika zbladł, załamał ręce; lecz znając Cosel, nie odezwał się więcej.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Drezna odprawić z tém, co najdroższego miała... On poszedł natychmiast przez Gottlieba nakazać zaprzędz do bryki, dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i nie wiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywając je bielizną i sukniemi, tak aby ich widać nie było... siadł na wóz i nie żałując koni ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się nim dojechali do miasta, tak że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazaćby był nie mógł. U furtki ogrodowej Lehmana, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknąwszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzemknął do izby bankiera. Żywa dusza nie widziała go tu... Ścisnąwszy dłoń uczciwego izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego na sianie, sam ujął konie i popędził, nie popasując do Pillnitz.

Tymczasem Cosel żegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszystko dopełnić tak, aby żadna ze służek nie zobaczyła nic nadzwyczajnego, i przedwcześnie wydać jej nie mogła. O zwykłej godzinie podano obiad, gdy niespodzianie zjawili się nań z Drezna, hr. Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła, i usiłowała nie wydać się z tém co nosiła na duszy. Owszem udawała zrezygnowaną, zajęętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustronia, a zobojętniałą na to co się w stolicy dziać mogło.

Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hr. Friesen miał interes, prosił o pożyczkę dość znacznej summy. Cosel go lubiła, gdyż dał jej nieraz dowody przyjaźni: uśmiechając się odmówiła mu.

— Mój hrabio — rzekła — jestem uboższą niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera co raz dał; każdej chwili mogę resztę utracić; nie mogę ci służyć: daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoff, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jej opuszczenia i pożegnali wkońcu gospodynię.

Zaczynało zmierzchać, hrabina Cosel skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy ze zmęczenia rozmową pochodzący i oświadczyła że tego dnia wcześniej się spać położy. Nakazano ciche sprawowanie się we dworze, Zaklika sam obszedł wszystkie kąty zalecając zachowanie się spokojne. Cosel wcześniej niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę zapukał do małych drzwiczek wychodzących ku ogrodowi. Wsunęła się czarna, zakwefiona postać i niepostrzeżona chwyciwszy rękę Zakliki zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czołno czekało i cicho odbiło od brzegu nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i łozy zakrywałyby je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo coby je mógł dostrzedz. O kwadrans może drogi ztąd niedaleko od brzegu, na który w pustym zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz nie pozorny, ze czterema końmi i woźnicą. W owych czasach dworskich przygód i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymykała się kobieta.

Zaklika do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszej nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i później znaleźć mieli powóz inny i konie do pospieszniejszej nocą dalszej podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić ażeby się wyrzekła niebezpiecznej wycieczki na rynek: odpowiedziała mu ruchem ręki i jednym słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jęj towarzyszyć nie oddalając się na krok...

Powóz porzuciwszy u mostu, szli dalej piechotą.

Dnia tego osób było więcej jeszcze, wrzawa i wesołość wzmogły się, lud drezdeński który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił niemi. Domy w zamkowej ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami tak, że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykre na nięj uczyniły wrażenie; kilka razy jakby zwątpiwszy o swych siłach przycisnęła się do muru nie mogąc iść dalej, to znowu jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galerii ratuszowej muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roilo się maskami najosobliwszemi.

Dokoła rynku stały w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie, we wschodnich ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kilku z tych bud okazańszych największym ściskiem otoczonych rozlegały się śmiechy. Illuminacya rześista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw, na jaskrawy tłum masek i dominów.

Wśród nich arlekiny i poliszynle na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improwizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą ciżbą bijąc w dłonie i śmiechem jednym, wielkim napelniając chwilami rynek, głuszac muzykę.

Śpiewy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania, wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nic rozeznac prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci, okrytych łachmanami i świecidłami w najkrzykliwszą zlanemi pstrociznę.

Czasami na tle jaskrawem wybitniej wypłynęła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczarwane i wnet zasłaniały je pokrzyżowane, połamane okruchy ludzi zbitych w jedną nieraz plątaną masę.

Z okien kamienic wyglądały to strojne popiersia kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smutnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzeć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wyleciał improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dłonie cukierki, owdzie piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowej stanęła, jakby jęj serca zabrakło znowu iść dalej. Zawahała się.

Zaklika skorzystał z tęg chwili i szepnął raz jeszcze prośbę: pani, wróćmy się. Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem Cosel posunęła się żywiej ku rynkowi oglądając wzrokiem ciekawym...

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles venitiens*, w kapeluszu z piórem czarném, w aksamitnej sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnej maseczce. Stał wzięwszy się w bok, w postawie tak malowniczej, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego roily się maseczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało nieco się cofnawszy.

Cosel na pierwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules Apollo nie miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn nie było naówczas trudno. Zawahała się nieco... lecz wprędcie nabrawszy męztwa podstała ku niemu.

Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel też mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król spojrzawszy na nią zdrżał widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy obojętna. August posunął się ku niej. Zdawało się, że ją zaczepi: wstrzymał się z jakąś obawą. Maseczka spojrzała nań, jakby go wyzywała: August podszedł.

Dwór cały mówił po francuzku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła swój głos, który drżał mimowolnie. August nie zadawał sobie tej pracy.

Co się działo w biédném sercu kobiety, któż wyrazić potrafi.

Z blizka przypatrywać się jéj król zaczął.

— Na honor — zawołał — piękna maseczko... pochlebiam sobie, że znam tu was wszystkie... a jednak.

— Mnie nie...

— A wy znacie kto jestem?

— Ja was znam.

— Któż taki?

Zdrżał głos, potem nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

— Kat —

Król się wyprostował dumnie.

— Zły żart...

— Najsmutniejsza prawda.

August popatrzał na nią.

— Jeśli mnie znacie, — rzekł — a śmiecie rzucić mi tém słowem w oczy... powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak — nie, to nie może być.

— Nie znacie mnie — śmiejąc się powtórzyła Cosel.

— W istocie i ja tak sądzę. Nie możecie być tą, której się domyślam, bo ta nie miałaby odwagi i przyjść tutaj, ani pozwolenia.

— Kobiéta? — zapytała maska — kobiéta nie miałaby odwagi? kobiéta pytałaby o pozwolenie?

I rozśmiała się.

Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło; chwycił jéj rękę: wyrwała mu ją z pośpiechem.

— Intrygujesz mnie piękna maseczko — odezwał się — a mówisz że nie znasz.

— Nie znam... — odpowiedziała Cosel — nie. Niegdyś znałam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale tamten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera... a ty...

Król jak zwykł był, gdy nim owładnął gniew, zaczerwienił się mocno i natychmiast pobrał.

— Maseczko — zawołał — to przechodzi coś granicę swobody karnawałowej...

— Swoboda jest nieograniczoną...

— Więc dokończ — rzekł król — a ja?

— A wy?

Znowu Cosel głosu zabrakło. — Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w rękę oprawców.

— Cosel! — zawołał nagle August — chwytając ją za rękę.

— Nie, nie! — wyrывая ją krzyknęła ze śmiechem szyderskim maska.

Jakżeby ona tu być mogła i tak spokojnie znieść widok stypy na swoim pogrzebie; widziałam ją niegdyś: znam kobietę, której wyrzekłeś imię. Między mną a nią nie ma nic wspólnego. Tamtę źli ludzie zabili i pogrzebali: ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszeleścił w powietrzu, i nim August się opamiętał znikła.

Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmięszala się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką, wbiegła za stojące stragany. Tu płaszcz swój cały czarny miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osłonić ramiona, tak że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niej już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika naprózno ją wstrzymywać usiłował, znała dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaleźć

się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca*, w wieńce z cytryn i pomarańcz, siedziały pani Pocijowa, przy której służbę odprawiał z gitarą na wstążce, stojący przy niej hr. Friesen, p. marszałkowa Bielińska, ubrana za Wenecyankę, przy której stał na straży Montargon i pani Denhoff w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to mała kobiecinka, młodziuchna z twarzą wielce zmęczoną, na której miejsce rumieńca, zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarną pustotę. Budkę jej otaczała młodzież, a najbliżej kręcił się Besenval francuzki poseł, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak z boku, że się jej dobrze mogła przypatrzeć, a z pod maski pogardliwe widać było i gniewne razem oczy. Jakby czując ten wzrok na siebie zwrócony, Denhoffowa wstrząsała się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych arystokratycznych kształtów po szklankę limoniady, którą Denhoffowa częstowała.

— Piękna gospoś — rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — zlituj się nad spragnioną... nie proszę o jałmużnę, wiem że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała w palcach sztukę złota.

Denhoffowa jakby przeczuwając jakąś groźbę, drżącą ręką, rozlewając się podała szklankę.

— Słówko jeszcze — rzekła Cosel, przysuwając się jej do ucha. Spójrz na mnie.

To mówiąc odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowej mogły być na chwilę widoczne rysy jej twarzy.

— Spójrz na mnie, wraz sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, której przekleństwo ścigać cię będzie płochą zalotnicę aż na łożu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, której się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj! że ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzona, niewinna; ty wyjdiesz ztąd zbrukana i sponiewierana bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widzieć i powiedzieć ci to słowo, choćbym je życiem miała przypłacić i rzucam ci w twarz niem: jesteś nikczemna! jesteś podła!

Denhoffowa przelękniona pochyliła się i zaczęła mdląć; około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk; król nadbiegał, Cosel wysliznęła się zręcznie i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cisnące się fale ludu, i krzyki i nawoływania żołnierzy... Zaklika ścisnął w rękę pistolet który pod płaszczem trzymał, Cosel biegła przed nim żywo. Coraz mniej wyraźna ścigała ich wrzawa, która się zmieniła w jakieś mruczenie i szum głuchy... Na sąsiednich większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatywali je żywo, znając jednak najmniejszy zakąt miasta i Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Cosel do bramy miasta.

Na nieszczęście nim do niej dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku ażeby wrota wszystkie pozamykać i żadnej nie wypuszczać kobiety... Na drodze już usłyszeli o tém rozmawiające panie, które wyjechać chciały, a którym nie dozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika zasłyszawszy to pobiegł do nich i spytał czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

— A! nie — zawołała jakaś rezolutna pani śmiejąc się — królowi tancerek pewnie zabrakło, więc nas tu chć gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel zmieniawszy płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwać; dalej jednak niesposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet niepuszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jej domyśleć.

Zaklika któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmana. Zabawa w zamku ręczyła za to iż tam teraz pusto było, w istocie stary bankier sam siedział ze swą rodziną, gdy weszli pocichu i Zaklika zażądał co najprędzej jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszej mody. Z mimowolnym pełnym boleści uśmiechem jakimś, hrabina narzuciła na siebie te suknie... Lehmann błady wypuścił ich tylnymi drzwiami... U wrot które zdala już widać było parą latarni oświecone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na

koniach, oficerowie posiadawszy z nich przechadzali się wzdłuż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził, Cosel miała spuszczone głowę i kołnierzem zakrytą twarz.

Gdy podchodzili ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwrócili się ku nim i zdawali patrzeć z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słychać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

— Cóż znowu? czy najdroższy klejnot wykradł kto z miasta?

— Cha! cha.. Szukają owszem Cosel, która swoim zwyczajem pono się na królu publicznie w rynku pomścić miała.

— Cosel! ale tej już na świecie niema!

— Ho! ho! wróci ona, bo się jej jeszcze boją.

— Gdy Teschen upadła, nikt o niej nie myślał; ta jeszcze panią, bo drżą usłyszawszy jej imię.

Drudzy się śmieli.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeszkody, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy minęli most na fossie, Cosel lżej westchnęła: była już napół wolną.

W godzinę potem ciemną nocą toczył się szybko jej powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika z pistoletami w rękach przy woźnicy, przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreźnie i Pillnitz.

V

Berlin w pierwszej ćwierci XVIII wieku był zaledwie słabym zarysem tej stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w tej porze i był niemal nowym; a miał już charakter właściwy miasta, koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy... Tu nic już naówczas nie szło jak samo chciało, ale jak z góry rozporządzono; wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby odrazu. Nic smutniej nie mogło po Dreźnie wyglądać nad ową nad-Sprejską stolicę. W ulicach widać było więcej żołnierzy niż ludu, a bębny i piszczałki głośniej się słyszeć dawały niż dzwony, i koszar więcej było niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stanęły nie że chciały, ale że musiały... Pusto było dosyć... Jednakże Berlin już miał pięć kwartałów i przedmieścia rozsypane szeroko a nędzne, dokoła... Gdziekolwiek wśród domków i domów, pałace rodziny królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się z kądem inąd zapożyczony. Na Spandawskim przedmieściu świecił tak Montbijou królowej, na Stralausem belweder króla...

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w tej pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molcke-markt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwano go mostem nowym, i zamiast Henryka IV wstawiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością... a Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem, trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galeryę, bibliotekę, muzea zakładano spiesźnie, napełniano jak było można; jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czém spoczywała przyszłość jego i monarchii, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy batalion grenadyerów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadyerów tych olbrzymów płacono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniej-

szy z olbrzymów tych, Jonasz Norwegczyk, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później słynął.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapyłony i zblocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje... na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jej serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki: tu chciała czekać aż się może w losie jej coś odmieni.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa, najął jej przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach jakie nie dawno zajmowała wydało jej się nędznym i biednym, choć było tylko zimnym, niezamieszkanym i pustym.

Ale dla niej była to tylko gospoda... Zaklika siadł drugiego dnia na straży, urządzono co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którymby o niedoli swojej marzyć mogła i nowe gospodarstwo się rozpoczęło. Smutne dni długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże *incognito* nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedzić marszałka Wartesleben gubernatora Berlina, a drugi marszałek Natzmer dowódca żandarmów często przejeżdżając się ulicą domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość że tam przybycie hrabinę, a nadewszystko przekazu na znaczne summy do Liebmana bankiera, widziano okiem bardzo przyjaznym. Z Dreznia pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków, nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiero wśród tej samotności milczącej, w pośród tego miasta głuchego, które zasypiało o mroku, wśród tej ciszy złowrogięj, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma tej, która nań była skazana.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dni siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa z oczyma czarnymi wlepionymi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jej zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć, czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jej poczwarną zagadką! Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, nie dawne jeszcze tryumfy swoje a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku. Mężczyzna cały jak go Bóg stworzył zdawał się jej dzikiem szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jej kłamu. Świat wydawał jej się czems nie zrozumiałem. Pytała własnego życia i szukała w niem winy czując karę: nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść Biblię.

W kilka dni także wszedł około południa Zaklika, który przychodził zwykle tylko gdy był zawołany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stanął w progu ze spuszczonei rękami: Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz panie Zakliko? coś nie dobrego?

— A gdzież na świecie dobre! — rzekł — chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć abyś się pani ich strzegła. Nie myślę się, prędzej czy później zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni: zamknij pani usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać — rzekła — że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jej rzucić obelgą w oczy, będę mieć mężstwo powtórzenia to każdemu co słuchać zechce.

— Pani — odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak że rozmowa ma być skończoną — pani, na cóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonei potoczyły się dwie lzy gorzkie. Zaklika wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabinę.

Był to van Tinen.

Hrabina знаła go z tego, iż raz już był do niej wysyłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnymi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenie musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napelniały.

Przyjęto van Tinena.

Oświadczył najprzód iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc w Berlinie dowiedział się o pobycie jój tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzód.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzieżeś pan był gdym opuszczała Saksonią?

— Ja? — rzekł van Tinen — byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o mdłości przyprawiła nieszczęśliwą Denhoffowę, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się dokąd się pani udać podobało.

— Tak więc się bardzo cieszę — odpowiedziała Cosel — iż mogliście o mnie zapomnieć: nic więcej teraz nad to nie życzę.

— Ja sędzę — odparł van Tinen — że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniiałaś także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

— Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Jam nie ciekawa — smutnie rozśmiała się Cosel — myślisz pan że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić to może? Wierzyłam dawniej w tych szarów szczerłość, myśląc że z serca się rodzą: dziś wiem że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie — rzekł jakby nierozumiejąc van Tinen... Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tyłu świetniejszych zabawach byłaś królową; jednakże...

Znać chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen śmiejąc się po dobrej woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

— Mieszkałam tam szczęśliwa — szepnęła Cosel — a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegast prawie na przeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

— A! a! — zawołała Cosel.

— Sześć najprzód pułków wyszło w pole — mówił przybyły — cała królewska lejbgwardya konna użyta była. Na wyżynach ustawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepysnie. Rozdzielone pułki postępowały dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nic nie stało, można było przysiądz zdala, że bitwa była najzaciętsza i przelów krwi okrutny.

Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffowę, z drugiej hetmanowę Pocięjową, obie konno jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach... Reszta dam w poszóstnych powozach patrzyła nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszy — rzekła — widoczny postęp, a w odwodzie ta ariergarda w powozach. O! rzeczywiście, to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— W istocie te dwie — dodał — nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrosne.

Ale wracam do mojego opisu — począł znowu: — nieopodal rozbite były wspaniale namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie: Denhoffowę, Pocięjową, Bielińską i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś? — spytała szydersko Cosel.

Van Tinen się zarumienił.

— Nie, jam był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na vivat były działa i tak na przemiany grzmot armat i trąby towarzyszyły wesołym okrzykom.

— Prześlicznie — rzekła Cosel — i koniec?

— Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek

chleba wetknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturmu... Żołnierze stojący w bojowym porządku posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli: trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie dusili, kupy żołnierza wylały się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękaliśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdala odpoczywał na pagórku z damami...

Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem.

Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi J. K. Mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklanekę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wyrzucił.

Nigdy Flemminga w takim nie widział humorze.

— Nie dziw — rzekła Cosel — obchodził swoje tryumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król się zabierał wychodzić — kończył van Tinen — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając że tyle oczów na nich patrzyło i ozwał się głośno, tak żeśmy to wszyscy słyszeć mogli: „Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz”¹.

Pani Denhoff, która króla na krok nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga, ale to przychodziło z trudnością; Flemming był tak szczęśliwie pijany, iż nic już nie widział przed sobą, oprócz ludzi równie jak on napitych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedział jój to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu; ale w téjże chwili zaczęła się do rozpuku śmiać.

Pomimo tych zakłęk, król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem że zręczny laufer ścigał króla krok za krokiem, inaczej już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić... rozgniewał się; koniuszego Backnitza, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi pani pokój, znam się z moim koniem: proszę się o mnie nie troszczyć”. Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawalergardy, dwór i co żyło za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie pochwycili... to ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

— Powinni jój byli pozwolić kark skręcić — odezwała się Cosel.

— Najzabawniejszy był Flemming — dodał van Tinen — bo po odjeździe dam i króla, jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę, więc brał pozostałe służące i kręcił się z niemi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał téj pięknej zabawy.

I Flemmingowi nic nie było.

— Przecież — odezwała się hrabina — nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słysz, że Flemming wczoraj trochę się niedorzeczy znajdował, ale W. Kr. M. tego mu za złe nie weźmiesz”. Król do czasu śmieje się i przepuszcza — dodała — lecz któż ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu, gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on mnie przysłużą.

Król łagodnym jest jak baranek — rzekła śmiejąc się szydersko — nieprawdaż panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego że gniewając się, popsułby sobie zabawę? Potém gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcej nie widział. Na tém komedia skończona!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmilkł przestraszony wyrzeczonymi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się téj goryczy, jaka płynie z ust pani — rzekł jednakże.

— Tak, masz słusność... — przerwała — gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jój zapłatę, mogłabym mówić inaczej.

¹Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz — Bruder, ich sage dir die Freundschaft auf, wenn du weggehst. Pam. von Loen'a. [przypis autorski]

Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien ale okoliczności; pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzyczynne!! Boć powinnam była śmiać się z Duval, cieszyć gdy Dupare przyjechała i nie wiele więcej warta Denhoffową wziąć za przyjaciółkę?

Nieprawdaż kochany szambelanie. Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod rękę na lipskim jarmarku!! w takiej zgodzie serdecznej!!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa... — dodała — nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

— Słuchaj — rzekła zbliżając się do niego — wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi: słuchaj! Ja ci to przebaczam — kończyła — wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im to coś słyszał, odemnie, niech znają głąb mojej duszy: między nimi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś słyszał odemnie, z żywych ust hrabini Anny Cosel, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz gdy napotkam Augusta, w łeb mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci.

Powiedz im i to panie van Tinen...

Van Tinen pobałdł śmiertelnie.

— Pani hrabino — zawołał — jest to w istocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Posądzasz mnie pani niesłusznie, ale ja zostaję w służbie króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysięgłem mu na wierność. Tego, co slysze z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tém, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę.

To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronię? — zapytała Cosel — ja cię o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową, August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciółom, na których pani nie zbywa do nowego spiknięcia się na jej zgubę, to da im oręż w ręce!

— Alboż im na orężach zbywa — przerwała — jeden mniej, jeden więcej, nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada, im wszystko dobre. Czyż, gdybym nawet była pokorną, uszłabym prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we mnie wroga... moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skalać i zbezcześcić nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom, van Tinen stał jak na mękach.

— Widzisz, dodała, taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, roztworzyła tylko duszę skrwawioną, nic więcej.

W czasie rozmowy, oczy jej piękne to szklily się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzył w końcu, zapomniawszy swęj roli, jakby na niezrównaną artystkę, ze starożytnę tragedyi greckiej. Miała w sobie Cosel wszystko, co stanowi Medę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen nieraz wychodzili poruszeni jej wymową i pięknoscią promieniejącą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się także oderwać z wlepionemi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogłaś mnie pani boleśniej upokorzyć niczém nad to wyznanie — rzekł — wystawiłaś mnie na próbę. Nacóż mam to kryć przed nią: jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina spytanym będę; na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwycone zostaną i w sumieniu mém będę cierpiał, żem się do jój nieszczęść przyłożył.

Van Tinen w tój chwili był szczéрым.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać — odezwała się Cosel. Myślisz że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? nie!! nie! mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce — napowrót... zrzeknę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi: bohater stał się polyszynellem, bóstwo zmazało się kałem... a więc plugawy świat! i życie ohydne.

Szambelan starał się ją pohamować: płakała.

— O moje sny złote! o moje marzenia dziewicze, gdzieście się rozwiąły!! nie ma was... nie ma!

— Racz się pani uspokoić — przerwał coraz mocniej wzruszony i pomięszany posłaniec — nie uwierzysz pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jój; że moje przybycie...

— Niceś nie winien — odparła Cosel — pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź tój niepocziwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim górę.

— Zaklinam panią — odezwał się — uchodź ztąd... więcej powiedzieć nie mogę.

— Jakto? — spytała Cosel — czy i tu mi jeszcze co zagraża? czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnią, jak król polski Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał?

Van Tinen stał milczący: zacięte usta świadczyły, że więcej powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? szepnęła sama do siebie: ziemi braknie... ja daleko żyłbym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mną co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan chcąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwyił za kapelusz.

— Żal mi pani szczerze — rzekł — lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach... nikt w świecie ani uratować, ani na los jój wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabinéj.

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

— Moi przyjaciele? a policzcie mi ich kochany panie van Tinen — odezwała się żartobliwie.

— Masz ich pani więcej niż sądzisz — rzekł gość — ja pierwszy!

— A! pan pierwszy! prawda — dodała — takich, jak pan, wielubym naliczyć mogła. Przynajmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić swe ogromne łupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! takich! takich!! — rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmieszany, iż nie umiając nic odpowiedzieć już, ukłonił się z lekka i ścigany czarnymi oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

VI

W Dreźnie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zręczności, materiału i żywiołów.

Król starzał a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stokroć jest do zbawienia trudniejszym. W młodości bawi to nawet co smutnémbymy być powinno, później rozrywka staje się posępną, wszystko czczém i pustém. To w czém dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August téż był coraz do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amorach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się zmysły. Czczą galanterya francuzka okrywała to swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniej, jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzeć jak biedny jeleni miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkim uśmiechów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącą ucho włoską muzyką. Aby się napawać melodią, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zrozumienia że niechętnie o niej słyszy: nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściej w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą, jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiadano że znaczne z sobą summy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendahl, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, niepytając króla nawet ślali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwycić, a korzystając z tego, owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednemi zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jęj byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jęj zawdzięczał kanclerz Beichling że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić; Löwendahl przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku, nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę, nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej; jeden Friesen nie wziął jęj za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju ażby ją zgubiła.

Jątrzone więc króla codzien, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczów Cosel zrazu walczył z sobą. Żał mu jęj było. Nie pokazał się zaraz na dworze, ale go Löwendahl wyspiegował i zawezwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazł, mów — zawołał — zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niej dotąd pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna... Nam daleko z Denhoffową i Pocięją jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda że ogromnie króla kosztują i on sam mówi że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tém lepiej. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? mówi dotąd o przyrzeczeniu ożenienia? odgraża się że strzeli..?

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

— To pewna, że nieszczęśliwa kobięta.

— Nieszczęśliwa! sama sobie winna! Trafiły się jęj najlepsze partye, najwierniejsi sprzymierzeńcy, oszalała na tém przyrzeczeniu ożenienia, sądzi się ciągle królewską żoną, niemal królową? czy i dotąd?

— Tak się zdaje, bo w niczém mi się nie zdaje zmienioną — rzekł van Tinen.

— Ale mówże wyraźniej, opisz coś widział? — nalegał Löwendahl.

— Przyznaję się wam, iż to com widział i słyszał serce mi zakrwawiło. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy; ale w nieszczęściu swém wzbudza uszanowanie: jest do prawdy cudowną, jest wielką.

— Więc tém niebezpieczniejszą — dodał śmiejąc się Löwendahl — ale zbrzydnać musiała?

— Zbrzydnać? — podchwycił pięrszy — piękniejszą jest niż kiedykolwiek była, ani śladu łez, ani bólu na tęg marmurowęg twarzy. Od lat ośmiu najmniejszęg zmiany w świeżości, najłżejszego zmarszczka: promienieje młodością.

— Tém gorzęg! — powtórzył Löwendahl — tém gorzęg; król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędłęg zawczasu twarzycze Denhoffówęg, znowuby na nim mogła zrobić wrażenie.

— Niewątpliwie — potwierdził van Tinen — bo je czyni na każdym.

— Mówileś z nią?

— Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całą goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i do nieść zwiększając Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznaną, biedną, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody... Przykrzyło jej się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi dobrze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendahl tegoż dnia stawił się u pani Denhoffowej, wybrał godzinę gdy sama była z siostrą i począł od pochlebstw które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel i zakończył tём, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała: — A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego i używa dawniej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko co się tu działo i dzieje w najszykardniejszych malowach kolorach. Jestto niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli.

— Zresztą — dodał Löwendahl — mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzeli.

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki na której siedziała, zakrywając oczy..., pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważał — zawołała — to są brawady bezsilne!

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabinę nie znali — przerwał Löwendahl — szczególnie ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jestto kobieta, która nigdy nic próżno nie mówi.

— Szczęściem niema żadnego podobieństwa ażeby kiedykolwiek z królem spotkać się mogła — dodała Pocijowa.

— Jakto? czyż pani sądzi że ona czekać będzie sposobności a nie szukać jej? Wszak tak samo jak potrafiła raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezna, czekać na króla choćby w ulicy.

— A! tak! tak! — poczęła gorąco Denhoffowa — ja przeczuwam niebezpieczeństwo... Król jest nieuważny, tę kobietę należy... ja nie wiem? cóż z nią zrobić?

Loewendahl ruszył ramionami.

— Kto woli swój używać nie umie, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem: rozumié pani.

Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Loewendahl zdał się tego domyślać i dodał:

— N. Pan nigdy dla osób które chociaż krótko kochał nie był surowym, świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły; ale są wypadki...

Na tę naradę nadeszła najzręczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensją, przegładająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne białe ręce, okryte pierścieniami wystawująca chętnie na uwielbienie. Powitała Loewendahla z uprzejmością poufałą, z uśmiechem i popatrzwszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniósł z sobą przyjaciel domu; tam gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie względy: litościwa w innych razach, stawiała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całym jej mieniem i przyszłością: co im zagrażało, doprowadzało ją do szału.

Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

— Ale, bo też szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! wyzywa go! urąga się, sama winna będzie jeśli sobie ciężki los zgotuje. Temu raz koniec polożyć należy.

Marynia miała króla przestrzedz... złożono to na nią; lecz po namyśle marszałkowa znalazła iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Loewendahl w tak dobre ręce powierzwszy sprawę swój zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w Ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingeru, świeżo, wspaniale i z przepychem królewskim dokończony. Była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządzony był obyczajem i smakiem wieku, w kwatery kwiatów poobsadzone bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mytologicznych figur ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe, w których przygotowano siedzenia, dozwalały parom przechadzającym się używać spoczynku w cieniu i ukryciu. Na balkonach galeryi otaczających dokoła Zwinger, grały muzyki, a melodee ich rozchodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora. W pośrodku ogrodu rozbity namiot jaśniejący całą illuminacją, stanowił salę improwizowaną, w której po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybył ubrany cały w niebieskie jedwabie ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo i chciał sobie znać młodsze jeszcze pierwszych swych podróży po Europie przypomnieć lata. Denhoffowa także tego wieczora była w sukni blado niebieskiej i w bieli i było jęj wcale do twarzy. Zmuszając się do wesołości powitała króla, którego każdy bawić musiał, pod karą niełaski i zaczęła od pustych żarcików. Część wieczora upłynęła na śmieszkach, do których Pociiejowa dobrze pomagać umiała.

Pani Hetmanowa i siostra jęj były w jak najlepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby była być zazdrosną, nigdy tego uczucia oznaki najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa mała, delikatna, jeszcze napozór wężlejsza od siostry, daleko była wytrzymalszą od nięj. Polska i Saksonia naówczas zdumiewała się owęj sławnęj konnęj podróży jęj z Frielinem z Warszawy do Gdańska i napowrót odbytej z takim pośpiechem, iżby pocztyliona znużyła. Pociiejowa ani dnia po nięj nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffowęj w ciężkich razach pomagała przy królu w rozmowie, w naprowadzeniu jęj na co było potrzeba i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki, wtrącić coś o Cosel.

August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawnięj za czasów hrabinęj bawił się łatwiej i z większą ochotą, że może tamtęj żalował.

Pełen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam, nic żalować i o niczém pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwyliła tę zręczność by ująwszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Cosel; lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nie szczęśliwie, gdy w pomoc jęj czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabinęj.

Królowi się to widocznie nie podobało: spuścił głowę i nic nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

— Kochana hrabino, chcięj być o mnie spokojną; czuwa nademną wielu proszonych i nie proszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nie rad mówię o tém: chodźmy i wmięszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturm do Augusta spelzł tedy na niczém. Flemming i Loewendahl powtórzyli po wieczerzy przy kielichach, to co te panie poczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król, dał im mówić i słuchał.

Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakróż.

— Słuchaj Loewendahl — rzekł szydersko — dajesz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojęj osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i której winienieś to czém cię zrobiłem; powinienbym ci być wdzięczny, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym.

Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Loewendahl umilkł, podstawił tegóż wieczora wprawdzie van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki skończyła się na niczém.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jęj piękność, jęj sława, zbyt ciekawą osobą, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto się ubiegać o jęj znajomość.

Większa część osób otaczających dwór Fryderyka, znaną jęj była z pobytu kilkakrotnego w Dreźnie. Nudzono się tak bardzo jednostajnymi paradami wojskowemi, które

król codziennie odbywał i wieczorami u N. Pana lub królowej, iż każdy spragniony był jakiegóś rozrywki.

Król sam częściej bawił w Potsdamie lub Wusterhausen niż w stolicy, nie chybił nigdy zaciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potem posłuchanie ministrom lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potem zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy, grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytuń... tak schodził czas w dosyć poufałym ale też i nudnym kółku do jedenastej: o tej godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędowie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmym u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u któregoś z dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się też tu śmiano pocichu, a nade wszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na seryo. Wojsko saskie przydane w złoto, galony, lamy i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskim, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytym, mało strojnym, w którym czerwony mundur huzarski i trochę galona stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi powiewała tu wszędzie jedna, biała, z dumnym nad lecącym orłem godłem: *Nec soli cedit!* Naówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą, przyszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo wstępu do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannewitz wypłaciła królowi — policzkiem, nie spojrzawszy pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karbach i życie wiódł tak oszczędnie, iż od jego stołu wstawano się zwykle nietylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło, jak z góry przykazano. Szlachta próbowała wprowadzić nieco się opodatkowaniu opierać; ale Fryderyk zapowiedział jej z góry, że jego władza, jak skała z brązu nie da się pożyć niczym.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które nazad szły do skrzyń nazajutrz.

Miewał król fantazje, lecz wcale innego, niż August rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po chudej wieczerzy, zbierali się poufali do Tabacznego kolegium, to jest do izby, w której król fajkami częstował. Przy fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Po środku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, jenerałowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić, czy nie i stawiano przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytuniem, było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokrację, urzędników... główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebierały miarę, gdy się w Wusterhausen mięszali do nich niedźwiedzie, a podszczuci zapaśnicy kufłami bić się zaczęli; lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabacznym kolegium i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej aksamitnej sukni z czerwonymi obszegami, haftowanej w zajęcie, w czerwonej kamizelce, w peruce omal niespadającej do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawił i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreźnie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner z obowiązku czytał modlitewkę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi” zdało mu się przywoitszém obróconemu do króla, przeczytać: „Niech Was Bóg błogosławi”. Nie podobało się to królowi:

— Huncwocie, czytaj jak napisano, zawołał — przed obliczem Bożem ja taki jestem huncwot jak i ty.

Po zabawach w tabaczném kollegium, po chudych dworskich obiadkach, których własna córka króla opis nam zostawiła, nie jeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytworniejszj. Znajomi hrabinj Cosel, zaczęli czasem do nię przybywać; znudzona kobieta otworzyła drzwi dla garstki tēj gości i pocichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tēm był uwiadomiony, bo wiedział dobrze o wszystkim, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabinj. Zwykle przychodzili przed wieczorą, a że ona sypiać nie mogła i do pierwszj siadywała, gawędzono dobrze za północ. Drzwi potēm otwierały się pocichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posądzac króla, pod ktōrego schroniła się opiekę o wielką miłość dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i charakterów różnice; nie wystrzegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które ztamtąd dolatywały, a hrabina nie kryła niechęci swojēj dla płochego Augusta. Nie jedna wiadomość ciekawa dostała się ztąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kollegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał dziwić, że Cosel była tak śmiałą, bo napozór wielką miłość i szacunek wyznawał dla wspaniałego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykle młodszy goście zebrali u Cosel, niespodziewanie przywłócił się i stary generał, należący do tabacznego kollegium. Ostudziło to w młodszych zapal do swobodnēj rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymyślań na króla.

Stary generał głową potrząsał i słucał, i dziwić się zdawał, i nie dowierzac. Dosiedział tak do północy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco. Zdziwiło to nieco Cosel.

Stary, ktōry mówił mało, zbliżył się do nię, żegnając ją z wielkiem uszanowaniem:

— Pozwoli mi hrabina uczynić jednę małą uwagę — rzekł ochrypłym głosem — bardzo się u nię przyjemnie czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo ztąd wychodzi na ulicę. Lada wiatr to zanie sie nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego bokiem takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca. Królowiby to było markotno...

Cosel się zmarszczyła.

— Jaktō? — spytała — więc u was w domu własnym między czterema ścianami nie wolno mówić, co kto ma na sercu?

— Mówić wolno — rzekł generał — ale powiedziawszy można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

— Jaktō i ja?

— Kochana hrabino — rzekł wzdychając stary generał — nawet wamby się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkiem... kraj to taki i porządek... A jabym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna a za to nie ma biędy.

Cosel spuściła główkę smutnie.

— Myślicie że ja to mówię jako stary gdęra, ktōremu się coś przywiduje. A! nie, wiercie mi, że może mi kto szepnął abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Nie usłucała jednak przestrogi, a gdy poufale zebralo się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do tēj surowości, ktōrj się nie spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu generał-gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił węsą a potēm zapytał: — czyby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencję i w spokojniejszym kątku w Halli zamieszkać?

— Ja w Halli? — zdumiona przerwała Cosel — a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wię pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie. Nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie wiedziała co ma odpowiedzieć zrazu; słuchała tych pochwał coraz bardziej zdziwioną się niemi okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna — odpowiedział Wartlesleben — Najjaśniejszemu Panu ktoś o tém oznajmił i król wydał rozkazy ażeby tam pani wszelka opieka była daną. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiej już, pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzała milcząca; łzy popłynęły z oczów: załamała dłonie...

— To więc jest rozkaz — odezwała się w końcu — to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi że tam pani będzie lepiej. Hrabina wie, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiewa, sięga daleko... tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda. To mówiąc powstał.

— Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano — dodał: — Czas jest piękny a podróż można odbywać powoli. Lecz że drogi nie zawsze bezpieczne, król JM. ofiaruje jój kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanteria bezprzykładna... Za to powinna mu być pani wdzięczną.

Generał Wartlesleben skłonił się bardzo grzecznie, raz i drugi i wyszedł zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz który ją tu osiągnął, nie myliła się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli; oburzał się w niej duch nieugięty, a każdy pocisk taki nową w niej energię pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wdychając, pracował znowu nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jój dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnemi; ludzie strwożeni rozeszli się pocichu i zdało im się że spojrzeli na ofiarę, którą wieziono na rusztowanie.

VII

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokąznym mieszczańskim domu, nieopodal od gmachu w którym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale; w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dni siedziała w tém oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jój, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek co się na niej malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał tej kobiety i odniedawna zjawiała się tak w tém oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna; wzrok jój nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbłąkał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość czy w przyszłość. Czasem tylko gdy tłum się zebrał, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczynała głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jój nikt; służa przynosiła jój z sąsiedniej garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijscie: puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było naówczas w Halli mowy o czém inném, prócz o tém cudnym zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miały jój oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niej pani; pańskością tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jój zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną kobietą. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb pokoju i długo potem niewiadać było nic, oprócz białej firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodyni natarczywie badana przez sąsiadki, służki nawet na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruzcili ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora,

obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak, przechadzał się czasami ulicą to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznamy, który tak wyglądał jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwległym murem zasiadali żołnierze i niepotrzebnie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznaną o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel; lecz jakżeż teraz zmieniona.

Ostatnia podróż złamała mężstwo kobiety, duszę jej napełniła trwogą, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nad wyraz biędną. Zemsta co ją ścigała, była tak długą, niezblaganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką: w Halli była już niewolnicą. Zaklika który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczną. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia, oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział co powie.

— Mów pan z czém przybyłeś — odezwała się Cosel — bo wiem że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się pani — rzekł van Tinen — jedno i drugie. Woląłem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mniej miał na jej nieszczęście względów.

— Nie miej pan względów — odpowiedziała Cosel — mów otwarcie; cierpię wiele, ale mężstwo w sobie wyrabiam: na wszystko jestem gotową.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno — odezwał się van Tinen — na trochę rezygnacyi i łagodności. Wszystkoby jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegóż chcesz odemnie?

Van Tinen westchnął.

— Jam posłaniec, z czém mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma które jej dał niegdyś... przyrzeczenia...

— I sądzi że mu je oddam, abym z żony spadła na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen — dodała spokojnie — jeśli po to tylko przychodzisz, jedź nazad i powiedz że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru!

— Pani, na miłość Boga — począł przysłany — nie zarzekaj się! Możesz uporem swym sprowadzić największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawalka papieru odzyskać możesz wolność... wszystko...

— Serce Augusta — szepnęła Cosel — a! nie! nie; nie wierzę w nie: niema go tam w tej piersi brylantami obsypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto ostygłej. Nie odzyskam nic, bom na wieki co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na tej próbie, siedział parę godzin nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale litując się pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiniej; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem.

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto; cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena, hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielet człowieka: żółty, blady, obciągnięty skórą sfaldowaną, straszny, a niemy. Gdy spojrział na ludzi, od tego wzroku nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść co szuka tylko pozoru aby się stała wściekłą.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpiecznie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej zmywy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czéms wracając, i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko: — nieprawda, wszak już jestem uwięzioną?

— Strzegą nas dokoła.

— A ciebie?

— Mnie dotąd nie.

— Trzeba byś mnie porzucił i był wolnym. Zaklika stanął i drżąc począł całować.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegoż życie przywiążę? więc chyba iść i w studnię... i umrzeć.

— Nie — odparła Cosel — to nie koniec mojej niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba żebyś ty był wolnym, dlatego ażebyś może mnie uwolnił.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będziesz wiedział gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafi; dam kartkę do niego, potrzeba ażebyś je miał.

— Ale ja — oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań: skłonił głową posłuszny.

— Najprzód idź, spróbuj, pytaj, czy cię puszcza; zdradź mnie: mów że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób co chcesz. Na piersiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie Zakliko?

Podawała mu rękę drżącą.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni!

— Ja? — oburzył się Zaklika — i oczy tak mu dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. Ja? — powtórzył i strząśł się.

— Umrzec mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł: nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadził z sobą najętego sługę i dziękował za służbę.

Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali podedrzwiwami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla tej pani której życie był oddał, uczyła go tego co najmniej umiał: chytrości. Poszedł do urzędu wzywając rady i pomocy, mówił że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać niema prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział ile szlachty polskiej pochwytanéj na granicach chodziło pod karabinami pruskimi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztowném.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiowano wiedząc że się kłóci ze swoją panią i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna — powiedziała Cosel — głoś wszędzie żeś mnie porzucił i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej w pogotowiu. Usłyszysz co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną przybądź do mnie, jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeśli byś ściągnął podejrzenie, a pochwycić cię miano, papier który masz przy sobie zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszc go póty, póki iskierek będziesz miał nadziei że siebie ocalić i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie — dodała brwi marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie! jak ja ginę; ale niech oni nie wiedzą o tém, niech jak groźba i postrach wisi nad niemi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tchu jéj zabrakło, podała mu rękę, którą Zaklika przyklękawszy całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od leż jego mokrą wyrwała Cosel, załamała ręce i zawołała:

— Są jeszcze ludzie i serca...

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojniejszą, więcej zrezygnowaną.

Zdawało mu się że namyśliwszy się może zwróci to przyrzeczenie i że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce postrzegł że się mylił tłumacząc tak jej uspokojenie. Cosel powiedziała mu gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal: nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię poczciwy mój kuzyn Loewendahl, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nie prawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak mój kochany panie van Tinen — dodała pierścień z palca zdejmując — żal mi cię niefortunny bogów posłańcze; chciałabym żebyś choć méj dobrej woli miał pamiątkę: przyjm ten pierścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mego godzinom, nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mniej jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić. Cosel się rozśmiała dziko.

— Oszczędź sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wiem co do słowa co mi powiedzić możesz, ale słowa te odbite od mego uporu próżne się toczą po ziemi. A! dosyć tego już, dosyć, kiedy się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjeźdnym przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagląc ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

— Żal mi pani — rzekł — tak serdecznie mi żal pani; nie mogę przewidzieć jaki los ją spotka: lecz...

— Wiem że zawsze być musi smutnym dla mnie — odezwała się Cosel — ale to bynajmniej mego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie, lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie! oszukać ją! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendahl może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać odemnie nie może. To nie jego wola! Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wioził z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość tej kobiety, mężstwo, wytrwanie, charakter jej robiły na nim wrażenie coraz większe, tak że zachwiał się, zawstydził roli którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim: czuł się upokorzonym.

Wracał gniewając się więcej na tych co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianém mężstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen czas miał spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką uroczystość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu: nie wezwano go więc aby się stawił, bo wszyscy czém inném byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie spieszył. Rad był że w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zameczek ze swemi wieżyczkami. Całe ówczesne towarzystwo przy królu bawiące zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciół ks. Teschen, hrabina Königsmarck, obok Denhoffowej i Pocijowej.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono naprędce sale i gabinety połączone z sobą galeryami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecyi i czółnach hollenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbito nad stawem; dwa rzędy baraków wystawionych naprędce, nie starczyły

na pomieszczenie i powozy służyć musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod gołym niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że nie każdy się kładł bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmięszal się w tłum, błądził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dziką mu się wydała. Król który tu sam gospodarzył, niezwykłością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisjonowanych swych amatorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości gdy mówił z księżną Teschen, Königsmarck pogardliwym okiem rzuciła na Denhoffową, gdy król jej czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swém dziełem, illuminacją, wspaniałością fety, którą wydał, i nie spoczął aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobrymi przyjaciółmi do puharów i toastów.

Tu językom puszczono wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie.

Przebrano wszystkie intrygi dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych.

Löwendahl siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się że tego głodysza van Tinena dziś tu widział — rzekł król z przekonaniem.

— Wrócił z Halli — odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pusty kąt sali.

— Van Tinen był wysłany do Cosel? cóż przywiózł?

— Co zwykle od niej wszyscy — zamruczał Löwendahl — nikomu jej nie żal tyle co mnie, lecz z uporem tym niema ratunku.

— Trzeba było w zamian za to pismo ofiarować jej swobodę i, coby chciała!

— Powiada że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to trzeba — dodał Löwendahl.

— Tak, jutro list wystosować do króla JMości pruskiego, prosząc o wydanie hrabinie — dokończył król — co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jej N. Pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć tej zuchwale wypowiedzianej mi wojny. Dostyc już tego. Głowę mi nią obija Denhoffowa: wiecznie o tém słyszę.

Dać mi z tém pokój raz przecie!!

Te słowa królewskie wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanej zabawami wyobraźni, podchwyczone, i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomniał je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego żądając wydania hrabinie, położono za powód nietylko jej śmiałe przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgróźki publiczne mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kuryera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwilę się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się waćpan do Halli — odezwał się król do niego — znajdziesz tam hrabinę Cosel. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy Saskiej... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowej, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stanąwszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności, nie spieszył tak bardzo z pochwytniem pani Cosel. Przeszedł się parę razy pod jej oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tém się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała i kazał się jej oznajmić.

Jakkolwiek hrabina przygotowaną była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jej bladością. Ducharmoi skłoniwszy się oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jej do granicy, gdzie zostanie oddana władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jój z oczów.

Od téj chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jój rękę; zeszła machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do saméj granicy, nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; Hrabina drgnęła: przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydaną być miała. W téj chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny kameryzowany zegarek: oboje podała oficerowi.

— Weź to pan na pamiątkę odemnie.

Ducharmoi się wzdragał.

— Proszę pana, błagam, weź — dodała — niech to się nie stanie łupem tych obrzydłych sasów.

Wypróżniła woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb powozu, zapuściła firanki i nie spytała nawet ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

VIII

Z dawnéj służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznané ją otaczały. Obejście się wprawdzie było dosyć łagodne i piérwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilném spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla, zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwém, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatułki, papiery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydneho zaboru tego, co się zwało jój własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętnej, czującej się niewinną, a prześladowanej z zimném i obrachowanym okrucieństwem? Naprzemian łzy i gniewy, to omdlenia i do szału podobne obłąkanie i śmiech dziki, obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą...

Zaledwie dawszy jój spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu... dokąd? nie mówił nikt.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karecę... jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognioném po słońca zachodzie, pokazały się mury zamku, wieże, i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jój zupełnie było nieznané. Zamek zdawał się pusty i dawno niezamieszkały. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Sługi musiały prowadzić osłabłą po wschodach wązkich, które wiodły na piérwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jój przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wązkimi, z ogromnymi kominy, z grubymi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone, a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękana.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach, które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebo pochmurne rumieniło się na wschodzie, sługi spały jeszcze... w korytarzu słychać było chodzącą straż tylko, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, które głęboko w framudze osadzone, dzienny blask przez szyby w ołów oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jęj nic w życiu widzianego przypomnieć. Przed jęj oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokręgu. Wśród nięj gdzieś sterczała kupka drzew, widać było dachy i z za zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małej osadzie. Dołem szedł gościniec, sadzony karłowatemi wierzbami. Na gościńcu nikogo... tylko z głowy spuszczone porykując, szło stado krów ku pastwiskom i pastuszek odarty je poganiał...

Okolica była nieznaną.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichemi kroki weszła Cosel do drugiej, obszerniejszej komnaty.

W środku jęj stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kilka stołków, na murze dwa stare zapylone dziko patrzące wizerunki...

Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i hełmy. Za tą komnatą sklepioną, jak pierwsza, była jeszcze krągła izdebka w wieżycy z oknem, na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórze, i osady, i znowu inny kraj nieznaną, wśród którego na górach jeszcze, parę gniazd rycerskich sterczało.

W krągłej baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednej jęj pulce, rzucona niegdyś, niepodjęta przez nikogo, wałała się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jęj się wysliznęła i kartami łóznami rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zamczyska, w którym głosu życia ludzkiego słycać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwijając się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoiwszy trochę ciepłego napoju, który połknęła sama, nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ława pozwalała usiąść i patrzeć w świat, choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stada; potem tuman kurzu leciał po nięj wirując i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły nie policzone. W południe zastawiono jadlo. Jedna z kobiet namawiała do stołu. Cosel poszła i patrząc na swój obiad więzienny rozplakała się.

Inne były owe biesiady gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jęj czarnymi oczyma. Oczy te nie zgasły, ale szczęście jak mara szyderska pierzchnęło... I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama przed sobą do tęg nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła że Zaklika szukać jęj będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna chodziła do okna, dokoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i wychyliwszy się zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa? Dzieciak nie zrozumiał, nie rychło się zebrał na odpowiedź, nie śmiało przebąknął: „Nossen!”... i umknął przerażony.

Imię nawet nie dobrze było jęj znane. Parę razy przypadkiem niegdyś obilo się o jęj uszy. Wiedziała teraz że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współwinných, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszej niż oni doznali niewoli!

A z niewoli tęg nie było w świecie człowieka coby ją chciał lub mógł uwolnić. Przyszedł jęj znowu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca.

Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się że jeszcze umyślnie zwolnił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypomniwała wiernego sługę: zadrzała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i ocierając nią niby opylone czoło, dał też znak iż spostrzegł ją. Był to w istocie Zaklika. Z postawy, ruchu, choć w dali poznać go mogła. Serce jej silniej uderzyło. Ten przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał... ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął oglądając na zamczysko i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się ztąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namysliwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmana.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blady; drzwi pozamykał i najprzód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony iż z nikim w Dreźnie ani się spotkał, ani mówił, że wrzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiero odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się iż szmeru własnej mowy się lęka.

— Wy nic nie wiecie — rzekł — kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjść musiało zapewne, ale dziś już miary jej nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, lodowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, przechodzi mu to prędko; gdy obrażony zawezmie się, nieubłagany jest.

Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

— Tak, Cosel jest zgubiona — mówił Lehmann — gdy król komu złe wyrządzi, już go ścigać będzie i nie dopuści nigdy do oczu swoich. Cosel mu odmówiła oddania przyrzeczenia jakie jej dał. Ona go nie zwróci, on jej nie przebaczy. Rozkazano zabrać jej wszystko. Löwendahlowi poruczono szukać wszelkiego jej mienia, pieniędzy, klejnotów, summ. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także.

Król sam polecił szukać i spisać co było, aby, jak mówi, ocalić to dla jej dzieci i wyrwać jej z rąk środki pomsty i uciezki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Odemnie też odebrano wszystko. Król przysłał, sprzeciwić się niepodobna; książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! juścić nie tę zatajoną summę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc dobył zaszytą w rękawie kartkę: bankier wziął ją rękami drżącymi.

— A wiesz ty — spytał — coby było nam dwóm, gdyby tę kartkę i tę summę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami. Flemming, Löwendahl i inni chwyciliby radzi zręczność zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę summę im wydałeś? — zapytał zrozpaczony Zaklika łamiąc ręce.

Lehmann patrzył nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj — rzekł — przysiąż mi najprzód na to co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzczyć chciano nie zdradzisz...

Z szuflady bióra Lehmann wydobył zastawiony u niego przez ks. Teschen krzyż brylantowy.

— Przysiąż mi na to — zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł: „przysięgam.” Złożył potem krzyż do szuflady i dodał: odemnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzył nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdują pieniądze gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potem i hrabina mi je też dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

— Jam nigdy nic nie miał i u mnie nic szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehmann się zawahał jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął pocichu liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą karafkę; potem siadł zadumany w końcu stoła, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku niemu i zobaczył go uspionym, zrozumiał dopiero co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjął go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na palcach przeszedł do drugiego krzesła izraelita i usiadł czekając niecierpliwie aż się obudzi. Pragnął on bardzo aby to jak najprędzej nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem, lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zaklika który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wstyd mu było że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniądze, pocichu zgarnął je do trzosa w którym miał trochę swojego grosza i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy — rzekł — żal mi was szczerze, ale jak od pocziwego czynu hamować? Widziałeś mnie żem się lękał, nie miéj za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednéj rzeczy, ale posłuchaj wprzódy. Miałem hrabinéj summy znaczne i długo, w naszych rękach pieniądz się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takiém nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niéj i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek który trzymał ukryty pod suknią, milcząc prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie: ja ciebie nie znam.

— To dla niéj — rzekł Zaklika ściskając go za rękę.

— Wyjdź ogrodem — dodał izraelita.

Bał się nadto będąc znajomym pokazać w mieście Rajmund, aźby nie obmyślił co miał czynić. Na przedmieściu nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas nie jeden domek Wendów, którzy dawniej po całym byli Dreznie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach: tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z nimi znajomość. Rybak z którym się najpierw poznał zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązała się między nimi drużba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biédna. Niedyś mieli oni tu spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jéj zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jéj brzeg, ale mało z téj piaszczytéj ziemi było pożytku. Hawlik téż rolnikiem nie był, wolał stawiać więcierze, isć z niewodem lub z wędką. Czasem się téż poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne, lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał pod chatą z nimi wieczorami i tak rozmawiali długo o swéj biédzie. Wend lepsze czasy pamiętał, wszystko to w okół było nasze, mówił, ale różnemi sposoby wyżegli nas z ojcowizny; teraz się swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać czém nas Bóg nie stworzył, lub wymierać. Po miastach nas nie dopuszczą do niczego: dość by kto Wendem był, aby go popchnięto. Maleje liczba nasza, widzimy jak ginimy, a niema na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zgon.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieśń serbska, nie wazyli się jéj nucić, chyba po nocy i pocichu i dzieci się jéj uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika ilekroć mu trzeba było niewidzialnemu być w mieście, dla konia był chłew, choć niepokazny, dla niego posłanie na górce, i misa kaszy na wieczręę i szklanka piwa, ale serca pocziwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy też o nic nie pytali, ani co robił, ani pogo przybył; tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy widzieli że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślami się biedzić. Nie wiedział czy mu bezpiecznie się tu pokazać aby języka dostać, i czy go albo nie uwiężą lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrożnie się zakapturzywszy poszedł mostem naprzeciw Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spotkawszy najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swęj godzinie szedł lub jechał zawsze, na zamku pełnić służbę, która się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym, że się go u mostu o dziewiątej spotka. Dla większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na wschodkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Jakoż o godzinie naznaczonej stary trefniś ze swym spiczastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, poczał go nogą trącać niepoznając.

— Hej, mości panie! jakże mam nazywać? czy mój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił, trefniś go poznał.

— Co się to z was zrobiło, mości Unglücku? — zawołał — wyglądasz jakbyś się ożenił? Hej?

— Powracam z podróży?

— Katolik! prawda? to chyba z czyśca?

— Włóczyłem się po świecie — odparł Zaklika — cóż się tu u was dzieje?

— Co? chcesz żebym ja ci historyografem był tego co na wołowej skórze nie spisać? — rozśmiał się Fröhlich. — Co się u nas dzieje? dobryś! Spytaj co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie co się z moją dawną panią stało? — zapytał Zaklika...

— Ani nawet kto była twoja dawna pani?

— Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

— Cyt! na Boga! któż to imie wspomina? przy królu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się niema z czego, a ty wiesz że ja śmiechem żyję i pewnie umrę ze śmiechu².

— Ale powiedzże mi choć co się z nią stało.

— Jakto? ty nic nie wiesz? gdzieś był?

— Daleko...

— Myślę że i daleko o tém mówić muszą. Ta w której niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono w niewoli u niego... i potrwa dłużej jęj niewola niż panowanie trwało.

— A gdzie jest? — zapytał Zaklika.

— Mówią że siedzi gdzieś na zamku w Nossen, ale dla nięj pewnie co paradniejszego zbudują — rozśmiał się Fröhlich z nalogu a smutnie. Nie! nie! niechciałbym być kobiętą. Prawdę rzekłszy i mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy co są nijakiego rodzaju, mówią że im też na świecie niekoniecznie wyśmienicie — paplał Fröhlich — gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa osłego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy aręj śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny: dodaj że apetyt nie wymyślny i starą miotłą żywić się umię.

Możę być szczęśliwsza istota?

— Nossen! Nossen! — powtarzał zamyślony Zaklika zapomniawszy o trefnisiu.

— Ja o osle a ty o Nossen! co ci po tém Nossen, nie gadajmy o smutnych rzeczach: bądź zdrów.

Fröhlich włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta poszedł, Zaklika został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia niepokazując się nikomu ruszył po nad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel, domyślił się jęj po białęj chustce, a czuł że jęj z sobą pocięcę przyniesie.

²pewnie umrę ze śmiechu — Fröhlich istotnie ze śmiechu umarł w Warszawie, zob. Dr. Vehse. [przypis autorski]

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skór pytał, i tak się rozgościł pod „złotą podkową”, a niby za towarem chodząc miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, a straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytniej nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło aby niemi uciekać można; to też i straży u okien żadnej nie postrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórku i na korytarzach u drzwi hrabiniej.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było łatwo, ale że góra była łysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wylize.

Gospodarz z pod złotej podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem znajdował iż ostrożność radziła dobrze się wyleżeć i wypocząć, ażby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczery już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmistrzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tej pani, której wprzódy złocista ciżba skinienia patrzyła.

Prawiono dziwy o uwięzionej...

Zaklika został niepodejrzany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowanie skór, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednej strony kędy były lasy i pusty gościńiec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tej jednak strony czy wychodziło jakie okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego sadła u gospodarza i położył się myślać, jakby mu zamydlić oczy i pobyt w gospodzie przeciągnąć.

IX

Rano gdy przy piwie grzaném siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo też, z wielkim hałasem, bo dawniej żołnierstwo nie chodziło inaczej.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu, i jeden też z nich pilno przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej! — rzekł sparszy się oburącz na stole — my bo się gdzieś znamy?

— Pewnie — odparł Zaklika — bom ci to ja dworsko służył długo, pókim się do handlu nie rzucił, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was też na straży u króla pana miłościwego widział.

— A! toś ten co łamiesz podkowy! — zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, żem i wołu za róg wzięwszy w miejscu osadził, ale teraz już i z baranem nie wiem czybym tej sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił uśmiechając i podparł na stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał: przyjaźń się zawiązała dobra...

— No! dostało się nam za pokutę — odezwał się żołnierz — na wartę do Nossen! koło kogo? spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić.

Żeby choć byli dodali hrabiniej z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czterdzieści. Nawet na tej pustyni niema ochoty z niemi pobarasz-kować.

— A długoż będziecie tu siedzieć?

— Któż to może wiedzieć? Już ze snu człowiek puchnie, bo niema co robić, tylko o mur plecami i chrap...

— W kartyby można grać — rzekł Zaklika.

— Z kim, o co? mało przy nas grosza, i ochota odpadła...

Ziewnął pijąc piwo, znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika, zagadawszy się niby odprowadzać ich zaczął, coraz dalej, coraz dalej aż do bramy, aż w dziedzińcu i tak niepostrzeżony się aż na korytarze się wsunął.

Reszta żołnierzy biwakująca na słomie, nie dziwiła się przybyszowi; owszem radzi mu byli: siadł z niemi do gawędy i rozruszał znudzonych... Znalazły się karty, przegrał im parę talarów... Dopieroż byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby wzięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł przejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika.

Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu się nie udało.

Zaklika chorując ciągle, targując skóry, marudząc, starał się wkraść do zamku; nieposadzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku w której osadzono hrabinę przytykała do drugiej prawie pustej; mieścił się w niej oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy potrafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i starał się go poznać bliżej. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedziało się powoli w którą stronę okna mieszkania hrabinę wychodziły i że drzwi żelazne od baszty od których miał klucze murgrabia otwierały się na wielką salę, w której z dawna niepotrzebne urzędowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom, radby był zamek oglądać, ale na to stary dozorca zmilczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinę, a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić w murgrabi. Popatrzyli na siebie... zmilczał.

— Hrabinie — rzekł Zaklika — pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie co zapewniają że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie dziwiłbym się panie Herzog, gdyby który się tu zjawił i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, żebyś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił?

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłonią brodę gładził mruczając.

— Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — zapytał Zaklika.

— Byłaby to dyabelska pokusa — odparł stary — zrobiłbym jak Luter: palnąłbym dyabła w łeb kałamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? — spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim panom to się może upieć gdy co podobnego zrobią, ale chudych pacholków wiodą na rynek i pod stryżek.

— A! nie takąż to wielka winowajczyni hrabina, ani takby to wielka była wina dać jej pomówić dwa słowa z przyjacielem...

Takto się gada — dodał Zaklika — aby się gadało, ano gdyby się przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak do świstania ściągął i brodę pogładził. Minę miał śmieszna, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła mu jak napój mocny do głowy.

— Jeśli asindziej wiesz o takim przyjacielu hrabinę, co mógłby dać bitych, twardych talarów pięćdziesiąt, to mu odemnie powiedz niech przyjdzie: pogadamy. Obejrawszy się wkoło Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domyślał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z niemi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w tej godzinie, gdy kobiet nie ma przy hrabinie, gdy ona sama; zapukamy do drzwi... rozmowa długa nie będzie.

— Gdyby nie te baby, co przy niej są — mruknął Herzog — wszystkoby było łatwem. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczem wiedzieć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa.

Narady te trwały długo, Herzog, człek już bywały do takich robót, wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdało mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem pobięła do nich i ze swęj strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czekać, a co uczynić się tylko da — zrobię.

— Ułatwić ucieczkę! ucieczkę! — poczęła żywo Cosel, — umrę zaduszona tęp powietrzem. Staraj się, płac, czyń co chcesz!

— To dotąd jest prawie niepodobnym, a przynajmniej wymaga czasu — żywo rzekł Zaklika — spuście się na mnie, iż uczynię co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuście sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki.

Oznajmię co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął: jedną służę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole „złota podkowa”...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do modlitwy, podziękowała Opatrzności, składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biędny, na którego ona z góry swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać raczyła, nie zdradził ją przecie!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nieukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie zlakomiło go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojną krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co tylko się da. Nie tyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabinęj, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwym, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronna, a ze starych murów, podcieniów, przejść, pozostały ganki, którymi i na zamek się dostać, i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jej dawne drzwi zawalone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale nie dosyć było z zamku wyjść, należało obmyślić środki uciezki szybkiej do granicy i miejsce schronienia, którego by August nie mógł dosięgnąć tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim, nic na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Szlązk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych dalekich i powinowatych, a wiedział że Sas, oprócz stronników, miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko co było potrzeba do uciezki, wcale niełatwym się zdało w Saxonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż jedzie się starać, a przygotowywać do uwolnienia hrabinęj. Z Herzogiem zaś na wyjeźdnem w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszej sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów cichusienko moglibyście wyciągnąć gdzie nad Ren, wysławszy wprzód familyą i żylibyście w własnej chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nic nie odpowiedział, głową trząsł.

Z żołnierzami na wyjeźdnem, napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem że tu znów za skórą przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyczytał, mogły na wszystko starczyć, lecz uciezka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem gorączki, wyczekując nowych wieści. Codzień biegała do okna, ściągała sznurek próżny, spodziewała się jakiejś wiadomości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jej się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swoją; tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze służ, którą jej narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjemne; młodsza wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej się obchodzić nawet z osobami obcymi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła *ty* i zapewniała o swęj łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnęj wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczej też odzywała się i do Magdaleny, młodszej sługi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zesła tonu. Nie potrafiła ją jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jęj towarzyszkę i obudzając między niemi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne, podziały lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jęj życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakliki z powrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreźnie zachody, to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni, musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić, człowieka dostać i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budziszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło już z Königsteinu miano uwolnić, aby miał czém powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu i jesień przyszła, i zima, a w tęg porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Cosel rozmówić dłużej i umówić dokładniej, tak że ucieczka na piérwsze dni wiosny odłożoną została. Nie było wątpliwości, iż Herzog skuszony zapłatą ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedsięwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmyślu i strachu zbytńi dają pomocnikom. Herzog nieco podpity, wybąknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta przemyślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swęj niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jęj więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tęg lepszym się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził nic nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnej małżonki. Czekano tylko wiosny. Cosel uspokojona nieco nadzieją swobody przy zbliżających się świętach Bożego-Narodzenia, hojnym podarkiem ujęła obiedwie kobiety. Zaklika świętować miał z Serbami swoimi między Budziszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała... chciała by jęj towarzyszyła, gdyby z wiosną, co się w losach jęj miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia, strach ją ogarniał. Walczyła z sobą... Pod pozorem widzenia się z rodziną wyprosiła się na dni kilka do Drezna. Siostra jęj była przy dworze Denhoffówj: pojechała do nięj. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskięj, a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cosel mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendahl'a. Piérwszym skutkiem było przyaresztowanie kobiet obu.

Tęgoż samego dnia jeszcze, nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwojono straże, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. W nocy pod oknami zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznanomego, który wraz z urzędnikiem poleconém miał przetrząśnienie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań gniew nią owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile? Nie śmiała pytać o nic, a lękała się żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem po nazwisku nikt go tu nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ściagać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczoną w obecności tych co ją odebrać chcieli. Dowodów zamierzonej ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącęj. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć się stało nieznośniejszym. Przysłano sługi nowe, wylękle i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościwą. Broniła ją tylko duma i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, mimo bardzo nasępionej twarzy, litościwszego serca niż inni, zbliżył się do hrabinę ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie biédnego chłopca, którego nieraz w straży przy królu towarzyszącego w lepszych czasach N. Panu widziała — rzekł cicho. — Pełnię tu smutny i ciężki obowiązek; wiesz pani tylko dla tego się nie wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić nieco boleści. A! nie pogarszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia — zawołała — powiedz mi co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem — odezwał się oficer — rozkazy wyszły od króla przez marszałka Löwendahla. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto więc?

— Zdaje mi się że oprócz sług nikt — rzekł oficer. — Będę przychodził codzień — dodał — będę nad miarę surowym przy ludziach, ale w czém potrafię, pomogę i radbym przynieść ulgę.

Skłonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka. Zaklika który w Dreznie dowiedział się z odgłosu powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkryto... przyczaił się czekając ażali jego ścigać nie będą. Rozumiał to dobrze iż mu się pokazać około Nossen nie można, a czuł zarazem iż oznajmić należało hrabinie że jest wolnym, że zatem na niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc przebrany za żebraka przekradł się do zamku. We dnie z sąsiednich za-rosli dopatrzył że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod nim przechadzał się na straży. Trudném się stało oznajmienie o sobie hrabinę, łamał głowę napróżno jak tego dokaże. Włócząc się mimo mrozu i śniegu po okolicy, drugiego dnia napotkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykłe na podarki wili Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka, schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrawszy ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wéndów nieraz podarki kupował.

— W Nossen — rzekł — możecie mości Treue zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, sług koło niej dosyć, a grosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Byle się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyszczały.

— Dziękuję — zawołał podając rękę — za dobrą radę, na myślby mi to nie przyszło!

— Biédna to teraz kobiéta, dodał Zaklika, ale jój resztki więcéj warte niż nasze bogactwa... A słuchajcie panie Treue, jak się tam wproście do niej, to jój pocichu starego sługę przypomnijcie, bom ja nigdy u niej służywałem.

— A cóż powiem? — zapytał Treue.

— Powiedzcie jój że wierny jój sługa co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie.

— A z Nossen dokąd pociągniecie? — zapytał przy rozstaniu Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta zapasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzeba! — rzekł w głowę się skrobiąc Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zajęciami chodzę, to się może spotkamy.

Treue jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek. Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takiej, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej się było porozumieć, ale posłał wprzódy zapytać hrabinę, czyby co kupić chciała. Dla samej rozrywki i widzenia nowéj twarzy, Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biédnego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywka. Roztargnioną ręką rozrzucała pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue dopatrzywszy chwili w której nikogo nie było, zbliżył się do niej i rzekł pocichu:

— Kazano mi powiedzieć pani, że jój wierny sługa co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabinój jakby blask nowego życia, promień radości który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział? — spytała.

— On sam, on sam, jasna pani — odparł Treue — spotkałem go tu w okolicy podobno na myślístwie.

Po tych słowach hrabina szybko zakupiła co jój pod rękę wpadło i Treue zdziwił się nie pomału jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastęrczył mu się znowu Zaklika. Stanął wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

— A cóż? — zapytał Polak — powiedzieliście téż o mnie?

— A ha! a jakże — rzekł Treue — i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem w istocie dobry interes na zamku i w miasteczku, Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedzieć że téż dobry uczynek spełnił, ale z tém się powstrzymał.

W Dreznie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki piérwsze i drugie i męczyć póki by się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczono obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia nie wynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August sam teraz obawiając się hrabinój, pilno czuwał nad jój losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na piérwszą wiadomość o pogłosce iż ucieczka zamierzona została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdys biskupi Meisseńscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiędzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu; ten zamek na którego drodze spotkała starą Mławę i wróżby piérwsze przyszłego losu...

W téjże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby wieżę św. Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrażonym. Nieugięty umysł téj kobiety urągał się z jego władzy i potęgi, a jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to zuchwałstwo nie darowane, nie przebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt, ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie i straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewieziona została.

Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wnijsć do hrabinój z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może los jój jeszcze zwiastował.

Cosel na piérwszy szmer niezwykajny w zamku zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych starój Biblii siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochała go nieszczęśliwa), spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jój się że na święta nadchodzące przyszłe jój w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryzióórka było dla niej zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w rękę, a okulary w drugiem: ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz? — zawołała Cosel.

— Rozkaz N. Pana, który natychmiast spełnionym być musi — rzekł ochryplym głosem urzędnik. — Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jój najlaskawiej do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szału podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkaniej, potem ryk i jęk... urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach, bólu, płaczu i osłupiałym milczeniu na przemiany wieszona, d. 25 grudnia 1716... stanęła w bramie Jana i Donata i oczy załamane podniosłszy, ujrzała przed sobą groźną wieżę ś-to Jańską, przeznaczoną jój na więzienie.

X

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną... Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się stare budowle i podtrzymywane, opustoszałe ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; dowódca zamku Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę, dla uwięzionej, nieszczęśliwej ulubienicy Augusta przeznaczono jedną wieżę Johannisthurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednej obszerniej izby sklepionej składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawnym przeznaczeniu.

Dawniej pani pałacu czterech pór roku, starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty. Niższe piętro — Burgverliess już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalnym. Dwa wyższe Johannis-gefängnis i Richter-gehorsam... przygotowane dla hrabiniej. Jedno z nich przeznaczonym było na kuchnię i dla ludzi, drugie dla niój.

Gdy wydobytą z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnej sześciokątnej izby na przestral oknami wązkiemi oświeconej, ubogiej, nędznej, smutnej; gdy obejrzała się dokoła, rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby głowę zbolalą roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szal i wściekłość opanowały ją, tak że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jój losów choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jój piękność, niedola, rozpacz, wyciskały łzy. Dodani jój stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szału, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jój zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szal a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpliwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, której niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpacz. Żołnierze pod murami chodzący na wartach, stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się jakby dawne izby tortur odbzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milczące trzymało ją na łożu wpół umarłą znikaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Cosel porwała się z łoża... zażądała papieru... chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendahlowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je kto śmiał otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dnie całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jój chwilę nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpacz przesyły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszej bytności swój na zamku, przypomniła sobie te mury, które ją wówczas prze-

raziły posępne ściany swemi. Z okien jęj widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i w dali sine wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żołdactwa, znęcaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszym przewinieniem tego jęj naznaczonego dworu, grzmiał chrypliwy głos Wehlen'a, który nie rozumiał najmniejszego pobjażania w obec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci co pisali instrukcje, nakazywali wprawdzie grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet marzenie ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury wysokie dokoła, wieża Ś. Jana wznosiła się po nad niemi wysoko, oknami poprzerynana, tak że straż, niemal co chwila, mogła, podniósłszy oczy, widzieć niewolnicę. Dwa podwórca bramami warownemi zamknięte przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły stráže, przy murach byli żołnierze, sam zamek na wysokości górze panującej okolicy, każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabinę stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jęj więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześniej.

Twierdza wprawdzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale ztąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo też pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabinęj. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęła dopiero czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabinęj, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą — osłupiał gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar Boży nadał jęj wiekuiłą młodość; śladu przebytych cierpień, widać na nięj nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jęj oczów, białość i świeżość twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiły w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając się upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, obyczaj, mowę panującej. Rozkazywała... a w słowach jęj przebijała się tém większa duma, im nieszczęśliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nieprzeżyte, jednostajne. Cosel miała na zapelnienie ich wspomnienie tylko... a czasem... czasem wracała nadzieja. Przeklinała okrucieństwo Augusta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla nięj niemyym tym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla nięj potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że rzucała je w otchłań bezdenną — a jednak — jednak ulgę czuła, gdy myśl jęj wylała się na ten papier, który być mógł tylko urągowiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać miano? a nawet pozbawić ją dzieci, pod pozorem że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą pałała przeciw niemu?

Gdy z Nossen chwymano naprędcę co należało do uwięzionęj, ktoś rozproszone kartki biblii zagarnął. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczytywała się w nieśmiertelnej księdze, w której tyle ludzkich wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty których część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej księgi. Posłała do Wehlena rozkaz aby jęj biblię kupiono. Komendant odniósł się do Drezna, kazano spełnić żądanie... biblia odtąd nie zeszła z jęj stołu. Na jęj kartach znajdowała jeśli nie pociechę, to zapomnienie. Uczyla się z nięj czém od lat tysięcy było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna! Wiosna... w której się wszystko budzi wesole i młode do życia, a która dla nięj śmierć tylko przedłużać miała. W sąsiednich drzewach zaczęły przelatywać

żwawe ptaki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży, aby je lepić na nowo; drzewa zaczęły zielenić i roztwierać się listkami ku słońcu. Po nad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się do życia, polami szły plugi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, a ona jedna była sama i przykuta. Stanąwszy w oknie i goniąc oczyma zdala ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jej byt; Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała jak czasem żołnierz stojący na straży tak samo oślepiony jej pięknnością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając co tak piękna istota tak straszego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzył ku górze i czuł że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana Fryderyka-Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wązkie wschody, i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepień powietrze, którego słońce ocieplać nie mogło... i wieczne listy co szły na stos, lub biblia i lzy!

Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży ś. Jana był mały klinek ziemi, opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle jak na dostatni grób człowieczy. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się żdźbła trawy i posiane przez wiatry nie nazwane kwiatki ubogie... Wehlen pomyślał sobie, gdyby choć ten ogródek. Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości, było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie tej, co jak kwiat pański zwiędła na lodydze.

Cosel wyjrzała w ten kątek i zobaczyła że go kopano; przyszedł jej na myśl grób, odwróciła się... Dopiero gdy wiosna co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty; Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swoich ogrodach i w Hesperyd ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogła.

Zdawało jej się że gdyby zamiast na kamieniach, mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niej, odżyłaby znowu. Myślała że kwiaty byłyby dla niej powiernikami i towarzyszami. Lecz prosić o to, nie mogła królowa, cierpieć wołała. Witała z rana ogródek i żegnała go gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jej powiedzieć słudze, że ten ogródek jest dla niej, że go sobie objąć może. W istocie uciec ztąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze wschodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jej się upajającym, słońce nieznośnym, światło oślepiającym; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przysła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jej całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękami własnymi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele ich było, mogła więc znając krzaczek każdy i pielęgnując z osobna, wlać weń życie i oczyma go wychować.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jej nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jej zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jej około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komendant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodjęzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzód musieli się poddać starannemu opatrzeniu, aby z sobą nie wnieśli pociechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen, hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słycho o nim nie było; aż jesienią późną Żyd, który przyniósł jej coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrawszy się w około bojaźliwie, szepnął, że ten co podkowy łamał żyje i kiedyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uspioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabinę z Nossen, musiał wszystko rozpocząć na nowo. Nie tajono bynajmniej iż Cosel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała

na niego, i że dotknięta obłąkaniem, mieniła się być królową. Pocichu domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swój i lekkomyślności z jaką w jej ręce dał cyrograf na siebie, za życia żony obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia w istocie, pomimo ciągle ponawianych żądań odebrać jej nikt nie mógł, ani go przez najściślejsze poszukiwania wynaleźć.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził nim nawet Denhoffową; chociaż ta ani tak wielkim przywiązaniem króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami pochłubić się nie mogła.

Dwór nowój pani wprawdzie był dosyć świetny, ale bliższe jej otoczenie żadnego znaczenia politycznego nie miało; ona też oprócz zabaw i rozrywek, nie panowała nad niczym.

Ci nawet co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel: Flemming, Manteufel, Friessen, Lagnasco, Vitzthum zdala się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zasługiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór po 10,000 talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już nawet nie wiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niej przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z temi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów, ostrzegało aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował, ale nie lubił, zapatrzwszy się na los Beichlinga, na to co spotkało Imhoffa po Altrandstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę; nie miał pokoju dopóki się nie zabezpieczył. Posprzedawał dobra swe w Saksonii, powoził pieniądze, i wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Szlązk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marszałkowi Schulenburgowi. W tym roku gdy hrabina uwięziona została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutku i tęsknoty dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszechwładnych metres na królewskim dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg którymi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znanem, pojechał je obejrzeć zblizka. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróżnych bacności; tu się też dowiedział jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając okrążył zamek i zwierzyńiec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabinę czujność była wielka, a do środka nie będąc osobiście dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakąby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże teraz codzien przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył iż powinien wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten co ją przedsiębrał, miał za sobą żelazną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego, starój rodziny, było już pewnem zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Sieniawskiego biskupa kujawskiego, którego za młodu znał, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarży kapitańskiej w wojsku saskim. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwem okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarży, które mu

zaraz następczo. Zaklika miał coś grosza powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sywał obficie: dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtém. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi co roztargnienia lubili przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfederatami, więcéj służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku³ oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych za zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności jakie dokazywali przed zdumionymi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz odarty z pierwszych potrzeb życia pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągaly, a rekrutowanie ich, starym przeszkadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyny rujnowała skarb, a szła na korzyść komissoryatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego znajdowało się w wojsku: awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesa między oficerami były nieustanne. Generałowie żyli z żołnierzy, a ci do rozpacy przyprawieni musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 r. na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu gdy pospieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historia pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w r. 1704, stawi także dobry przykład karności wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miano za niepoczciwe prowadzenie oddziału, a zbytnie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi... Towarzystwo w które wszedł nad hulankę i wesołe życie, prędko zarobek i roztrwonienie ochocze, nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych, patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmę przy puharze do pułkowników królewskich, nie brali powołania swojego na seryo. Gdzie niegdzie wśród téj zbieranej drużyny, w większej części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonej, trafił się rzadki człowiek co żołnierzem być chciał i umiał. Z takiego się tylko wyśmiewano. Nic więc łatwiejszém nie było dla Zakliki jak wdziawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszymi, przygotować sobie drugi dla dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał...

Stary Wehlen o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w warcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania...

Cosel zdziwiła się mocno po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego izraelitę, które ję zwiastowało przybycie tego co łamał podkopy.

XI

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleniało w ogródku, też same kwiatki podniosły z grządek wskrzeszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; z dała w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze wschodków tuż schodziło się do maleńkiego wydzielonego ję kątka ziemi, a i ten dla nię był łaską człowieka, który się ję ulitował.

Nie jeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla nię maleńką laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego nizki przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani aby się ję upadłéj wielkości przypatrywano, lecz znękana potém witała twarz ludzką zapominając że była królową. I nie jeden żołnierz mimowolnie stanął wpatrując się w nią z politowaniem, a młodzi oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień czarnych ję oczów.

³W wojsku... — Wolframsdorf. [przypis autorski]

Jednym z tych co się najdłużej zawsze przechadzali szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzeć pięknej Dyannie, bo ją tak zwano od czasu gdy w osobie bogini występowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie, po części dlatego żeby mieć kogoś musztrować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w warcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karierą.

Henryk von Wehlen wcale w niej zamilowania nie miał, ale matka owdowiała spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majątnego bo był dosyć skąpy, zmusiła syna by się poddał jego rozkazom.

Młody dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się ztąd nie mógł.

Jakiemże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością chłopaka, było przybycie tego nieszczęśliwego a tak pięknego więźnia do pustego zamku! Z pierwszego wejścia na Annę, Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bóstwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną rzucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć i przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani się go mógł domyśleć. On był najprozaiczniejszym z ludzi i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie sobie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszystkich, teraz do żadnej.

Nieznacznie Henryk poddał mu ową litość która stworzyła ogródek u stóp wieży, a później inne drobne usługi dla hrabiniej. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku, i Cosel, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze iż na niego rachowaćby mogła. Woląла wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka, Cosel zobaczyła w podwórzcu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi, Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna, Zaklika opowiadał że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjaciółmi.

— A! kapitanie von Wehlen — mówił drugi kapitan von Zaklika — nie wesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział że tu na tej skale takie pustkowie, taka nuda...

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— A! mój panie — rzekł — kto się chce bawić, temu się do Stolpen niema co wybierać, ale spokojnie patrzeć na piękną naturę i żyć sobie cicho... bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła aby nie dać poznać że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen — rzekł Zaklika — jeśli to nie jest grzechem, toćbyście mnie jako nowego przybysza powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca — zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądanym.

Oba razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się znacznie wyżej niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę.

— Pozwoli pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkiem skierowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniające jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało z między lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ani słowa z razu.

— Jesteście tu gośćmi? — spytała po dłuższej chwili milczenia zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a nie łatwo się znajdzie, ktoby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł — zawołała hrabina. W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały dzień szeroki

widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną mur nie przebity!

Wojskowi stali niemi.

— Cóżście wy zgrzeszyli, że was tu posłano? — dodała.

Zaklika umilkł. — Los chciał — rzekł — jam już niemłody: nigdzie mi nie jest weselój.

Sklonili się i odeszli.

Wehlen porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi też postarał się blisko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko — zawołał — wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu Reichs hrabinę Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co strącona z jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! co za gwiaździsta twarz!!

Mówił to z takim zapalem czerwieniąc, iż odrazu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamyślony, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen — rzekł krótko — nie dziwuję ci się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapалу, mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał...

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierze — zawołał — i uczciwi ludzie; na co się mam zapierać: straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie nie ma.

— Ale na cóż się to wam zdało? — uśmiechnął się Zaklika smętnie. Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęść wysuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— A! na wieki! — przerwał Wehlen — cóż jest wiecznego na ziemi. Ona jeszcze tak mi się wydaje i jest młodą!!

Zaklika się uśmiechnął.

— A wy mnie wydajecie się młodzi! — dodał.

Kapitan Wehlen zawstydzil się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął: — W istocie, macie słuszność: ja nim jestem! młodym, dziecinny! to prawda; lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia, nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wąsy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią z daleka tak, jakby się grzał na słońcu i wzdycha odchodząc do swęj izdebki, dopóki przy warcabach nie zapomni o bogini.

Żołnierze godzinami patrzą się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim, jak ja wartogłowie.

Wehlen ze swoim uwielbieniem dla Cosel, był zarazem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzeć zamek. A było w nim istotnie co oglądać, w siedmioletniej wieży, w podziemnych galeryach i gankach.

Zaklika wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierzach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy, od której zapomniany korytarzyk wiodł niewygodną ciasną szyją na zewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z niemi. Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą przebrana po mężku, mogła zniść ze wschodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły straże, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem.

Myśli te zwiły mu się po głowie, a Wehlen milczenie jego brał w innym wcale znaczeniu.

— Prawda — rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą — wam się to wydaje strasznie, zamurowaniem, nieprzebytym. Wszedłszy w te lochy zimno się robi nie tylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na umęczenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali, jak krety w tej górze, aby w niej ukryć występki lub zdradę, a jednak, wierz mi kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas i tych wież, i bram, i jam, i straży, łatwiej ztąd wyjść i wniknąć, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potem znalazł już sposób dostania się do pokoju hrabinę Cosel, nie obudzając podejrzeń. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnął. Hrabina, milcząc, podała mu rękę do pocałowania.

— Długo, nadto długo — rzekła chmurno — kazałeś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem — odparł Zaklika — kto ostatek waży, jak ja, ten musi być oględnym. Nie o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałaś słuszość — odpowiedziała — ciebie, jako najwierniejszego sługę, muszę zachować na ostatek! Synowiec komendanta najprzód być może użyty.

— Jakto? do czego? — zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja — odparła Cosel.

Wehlen się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiej... jest tu panem. Nie mięszaj się do niczego, zostaw mu wolne pole, pomagaj nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spróbuję uciec.

— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec! — przerwał Zaklika.

— A szalonym tylko, szalone się przedsięwzięcia udają — rzekła Cosel.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmurno Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwała się hrabina — uczyniż mi co więcej nad to, co robisz? Żalby mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszość, wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle, począł Zaklika z ostrożnością, oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym — młody człowiek może nie mieć odwagi począć cokolwiek sam i nie sądzę, żeby to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwała się Cosel — ja sama tém pokieruję, dobrze iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę.

Szmer na wschodach, mówić im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i szedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Cosel odrzucała pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mrucząc postanowił się zastosować do jej woli.

Wehlen od pierwszych dni, wziął go sobie za powiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabinie, i że dla oswobodzenia jej dałby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie? — zawołał rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę — szepnął Rajmund, — tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie, co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrzał się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnemi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępywać u stolika z warcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historii familij saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojonej jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzyć, domyślać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.

— Nie wtajemniczonymu, nie wypadło mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem, co macie w sercu i na myśli; lecz lękam się, aby i drudzy, jak ja, nie dojrżeli u was zbyt jawnych jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań... nie wiem i nie chcę się domyślać do czego.

Wehlen trochę nastraszony, wzięwszy pod rękę, wprowadził go w kąt ciemny.

— Jakto? — spytał — cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyślać nic, a widzę — rzekł Zaklika — iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale*.

— Nie rozumiem! — podchwycił Wehlen — cóż jest we mnie niezwyčajnego? co obudza te podejrzeń? Całą moją winą, żem zakochany, żem szalony, że tą miłością żyję cały!

— Patrzcie żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tém, że ją ludzie dojrzyć mogą i po niej dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i.

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała naglić o przyspieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmienném, niż zwykle.

— Zaklika — rzekła — nie mieszaj się do niczego, bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła — przerwał Zaklika — cóż mam zrobić?

— Natychmiast tam stawić, gdzie ja każę.

Słowa więcej wydobyć z niej nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutném przecuciem jakimś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant niedomyślający się niczego skinął na Zaklikę aby z nim szedł napić się piwa i siąść do zwykłej gry w warcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz który zamykał bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze napozór bardzo prostej a w istocie pochłaniającej człowieka który się do niej przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszeć na zamku, że komendant wygrywający ciągle, śmiał się z niego.

— Co ci dziś jest? kapitanie? — pytał...

— Głowa mnie boli...

Po kilku partyach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna; zapalono świece: Henryka, który zwykle w téj porze przychodził, nie było.

— Pewno mi się wyrwał na miasteczko — odezwał się komendant — bo mu tu nudno, i wołałbym to z lichem — dodał zniżając głos — niż że mi się pod wieżę modli do téj dumnej pani, której w istocie zdaje się że jest królową, i ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę...

Na zamku cicho było, godzina o której wachmistrz odnosił klucze zbliżała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika, najemnik który pono przeszedł służby wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie nim się oparł w saskiej, zjawił się błądy i z twarzą dziwnie wykrzywioną w progę. Wyraz jęj uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant choć go używał, nie lubił, ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

— Panie komendancie — odezwał się Wurm — mam mu donieść o ważnym wypadku...

— Cóż? pali się? — porywając się z krzesła krzyknął Wehlen...

— Nie, ale pański synowiec ucieka w téj chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha! ha!

Stary komendant rzucił się jak szalony, ku drzwiom.

— I! nie ma się czego obawiać — rozśmiał się dziko Wurm — ja na to dawno czekałem, czatowałem: wiedziałem że to nie minie i nagroda nie minie.

— Co za kłamstwo bezecne! — zawołał komendant — jak śmieśz...

— Ja spełniam mój obowiązek — zimno rzekł Wurm — w téj chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk co mnie po pyskach trzepał gdy zły był, głowę da!

Z wyrazem piekielnej zemsty uśmiechnął się wachmistrz... Komendant drżał chwytając to za broń, to za klucze i niewiedząc co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szалу go doprowadzała.

— Kapitanie Zakliko! — zawołał — ratuj mnie, ratuj jego!

— Niéma tu co ratować — odparł wachmistrz — jutro całe miasto się dowie i król i dwór, nadto ludzi tę sprawę widziało. O! ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom i ja na to gotów.

Mówili jeszcze gdy hałas w podwórzu od podziemia wieży o siedmiu wierzach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów, hrabinę która szła przodem niema i blada i Henryka związanego, bo pistoletem jedną był sobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrępowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą biegła nie oglądając się na wieżę. Henryk stał... Stary zbliżył się doń łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biednego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Würma, który szydersko się prześmiewając tryumfował.

Stryj był zmuszony w tej chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna. Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i lzy mu ciekły z oczów; zawołał zwykle go wyręczającego pisarza... Ze łkaniem i przekleństwami ledwie wyjąkane słowa usłyszeć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiając jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę; obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale naostatek winę też przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepoczciwie zamiast zapobiedz nieszczęściu, czekał na nie by z niego korzystać.

Podwojono strażę przy wieży: noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza też oddał pod areszt. Z papierami wysłano kuriera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stolpeński zamek smutniejszym niż kiedyś niemym. Cosel leżała konwulsyami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna wysłani z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen nie mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen tylko i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania starego komendanta, odwoływania się do łaski, i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przeczucie mówiło jej, że człowiek co ją kochał, płacił w tej chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał błądy jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

XII

To była pierwsza próba hrabinę Cosel, uwolnienia się z narzuconych jej więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku, zmieniło się niemal wszystko we Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej, niż zasłużył. Świeży wypadek, zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinię z wieży krokiem ruszyć się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z upojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łożo, Zaklika nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu? — zawołała z oburzeniem.

— Ja, nie z własnej woli ztąd idę, odezwał się Zaklika cicho. Kazano mi wracać do pułku — muszę. Odchodzę dlatego tylko, ażeby lepiej mógł służyć.

— A ja! mam tu wieki czekać — płacząc wołała Cosel... umierać powoli.

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie — zrobię co każesz, nic mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu, Cosel wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła — idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz wiedział lepiej — mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie — wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga: przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek, nie było czasu do stracenia: hrabina wskazała Zaklice drzewo w Pillnitz, pod którym sama zagrzebała wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby późniejszej szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hrabinę, jeśli się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na wschodach zmusił go do spiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem, wierny sługa nie mógł nic więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmywał o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tym razem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi: nakazała Zaklice czekać na siebie w oznaczonym miejscu na granicy z końmi i pieniędzmi. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jej wiele swobody, a tej użyła na zjednanie sobie porucznika Helm'a, który tak samo, jak Wehlen, rozkochał się do szału w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcej wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze probować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jej, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jej, strój, ruchy, spojrzenie, zdradzały stan umysłu niezwykajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w sobie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącém nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnać.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swém nieszczęściu, na łagodnym w Pillnitz wygnaniu, zachwycali się jej wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięćkroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrawszy ją, tak wielką: nadzwyczajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wryło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do pocałowania. Staremu srodze lzy zakręciły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie prześladowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A, pani — przerwał nieśmiało Zaklika — czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego — rzekła spokojnie. — Ten człowiek jest moim, władam nim, zrobi co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradzi!

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan, drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zaklika, wzięwszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezpieczenie — z końmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia, Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą, Zaklika stanął na straży; w ciszy niczém nieprzerwanej upłynęła noc, nadszedł brzask... on czekał napróżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna, i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy, jadący od Stolpen, w gospodzie

rozpowiedzieli, że zamknięta w twierdzy hrabina, już po wyśliźnięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i skazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o czém inném. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wązkiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę od strony, gdzie nawet strażę nie chodziły. Tu choć urwisko stromem było, zniżyć z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonemi kamieniami. Podpojone strażę, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce. W ciemną noc dżdżystą, hrabina po mężku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona, Helm czekał na nią w trzecim podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie po cichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkokrotnego upadku, oboje się spuścili wzdłuż bazaltowych słupów do podnóża. Na gościńcu nie opodal czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień, jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały... narobiła krzyku. Co żyło zerwało się, komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku, dostrzeżono otwór pod murem... puściła się pogoń w tej chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z niemi co rychlej do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc gdzie się schronić, za radą jej puścili się polami ku blizkim zaroślom, sądząc, że tam się ukryć potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił; spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zabrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie, lecz na strzał wnet nadbiegli inni, i pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy do hr. Orzelskiej o opiekę i łaskę. Nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieszony został do Drezna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucje odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało cizby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimoto ciekawych było wiele, gdyż historia młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który jak opowiadano, w więzieniu kokardę jej całował, rażno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł oddział wojska, wprowadzono Helma... Oczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazyi idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufrizowanych. Kilka powozów z liberyą wspaniałą, ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze, odkomenderowani żołnierze nabili broń, oficer który miał dać znak do strzału stanął... ofiara już była gotową, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalazłby ludzi ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczém i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, cizba rozplynęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nic się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nietknięto jednak hrabinę, ani ścieśniono tej małej cząstki swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć w sumieniu swém sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać...

Czuł on że teraz kolej przyszła na niego i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzałszy od tych co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale iż Wehlen życiem, a Helm przypłacił całą przyszłością swą, szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszalałej niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy, kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowy, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tém, czy zręczniejszemu mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabiniej.

Po głośnym wypadku z Helmem, jakiś czas wypadało nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszywojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Między innemi był tam i przyjaciel jego, niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka nie pomierny, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czémże się miała wszcząć rozmowa jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny czuwać ciągle musiano.

— E! — rzekł stary żołnierz — nie chcę ja sądzić co drudzy robią, a zwłaszcza król JMość pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem téj srogości nad kobietą i téj obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jej zmienić nie mogło, ani więzienie, ani lzy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jój chwały, jak ja, gdym przy dworze był — rzekł Zaklika — dopiórobyście poznali niebezpieczeństwo.

Myślicie że król się lęka jój pistoletów? a! nie, obawia się oczów jój i władzy jaką miała nad nim, bo wie że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jójby leżał prosząc o przebaczenie...

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, bałamut!

— Radbym też ją zobaczyć — odezwał się Zaklika — bo to zawsze ciekawa rzecz, taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

— Któż ci broni? we dnie jój nie wykradniesz! — rzekł Kaschau — idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymałszy to pozwolenie Zaklika poszedł na wieżę ś-go Jana.

Na drugiem piętrze był pokój Anny Cosel, gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpowiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok którego w życiu swém nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel ręką jedną na nim wsparta, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogromną biblią... i dumiała. Ubrana

była tak niezwykłym smakiem, iż Zaklika uląkł się czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długimi, pas na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pergaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękną była w istocie, lecz niepodobną do owjej Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jój rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona słysząc kroki nie oderwała oczów od księgi, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepionym w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś czy żywą istotą? — zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy — rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogę jeszcze rozkazywać komu?

— Mnie — odpowiedział Zaklika — dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych kolój na mnie — odezwał się — ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

— O! nie — odpowiedziała — wszystko w życiu ludzkim jest z góry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegoż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrząsała głową.

— Dlatego że ja w inny sposób będę wolną — rzekła. Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnym przeznaczeniu, czytam je w tej księdze. Łaski niema na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jój poddać, ją badać i uczyć się jój: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy, zamknął usta Zaklice: nie wiedział co mówić dalej.

— Zostaniesz tu? — zapytała Cosel.

— Sam nie wiem? mam-li zostać? powiedz pani? jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczeni poradzić — rzekła — czekaj: nie tak!

Zamknęła klamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwę; potem rozwarła biblię nagle, spojrzała na prawą stronę jój: oczy padły na księgi Jozue, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

I znowu rzekł im: „Nie lękajcie się, ani się trwóźcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnymi; tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciółom waszym, przeciwko którym walczyście...”

Zamyśliła się. — Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocną będę z tobą, ale nic poczynąć nie trzeba, a czekać głosu Bożego. Ale jakże możesz ty tu pozostać?

Zaklika, którego ta biblii wyroczenia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba — rzekł — w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy zrzucić.?

— Zrzucić tę liberyę ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów — przerwała żywo Cosel. — Niewierni są, poganie, bałwochwalcy, gwiazdo-kłonce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszej po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać co mam i przybyć do Stolpen. Kaschau który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Cosel — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła biblię i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem żem z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niem szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden

człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie, Bóg w nagrodę lub za karę splótni z moim, musisz cierpieć razem, a w chwili tryumfu pójdiesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić, Cosel jakby przejęta czytaniem biblii, zapomniała o tym co ją otaczało. Zaklika postawszy u drzwi i oznajmiwszy że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Cóż z nią mówił? — zapytał.

— Stałem u drzwi napróżno i rozmówić się nie mogłem — szepnął Zaklika — zastałem ją nad biblią; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy czy zadumy: przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej... A jakżeście ją znaleźli? zmienioną?

— Zapewne — odparł Zaklika, nie chcąc się z tym wydać że ją później widywał — jakże niema nią być? Cosel królowa musi być odmienną w pamięci od Cosel niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli chodząc po wałach i dokoła murów a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przeno-cować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego nadszkiełował mu wielce, i chciał bawić opowiadaniem... lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz gdy otwarto bramy wrócił do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwyczajny i mowa nawet odmienną: weselszy promień igrał na czole.

— Patrz — rzekła — to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! matce odebrać jej własność. W godzinach długich niewoli, myślą tylko odgaduję, jak porosły? Nie poznałabym ich pewnie, a oneby się odemnie odwróciły z przerażeniem.

Prosiłam by mi je choć widzieć dano! Niestety! dzieci króla nie moje! Powiedziano mi że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot troje, tak moich jak tylko dzieci matce być mogą, których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to — ? rozumiesz... jak się serce pękać musi.

Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca Niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a nimi...

Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A! gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzuciłyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą że nie żywa lub gorzej niż umarła, obłąkana, szalona...

Zaklice się lzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów zamilkła.

— Idź — rzekła — idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb, powrócić powinieneś i dotrzeć tu. Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze już nie zobaczył Cosel przy kwiatach, stała w górnym oknie, ubrana jak wczoraj z książką w rękę, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając jakie go tu losy czekać miały, Zaklika posłuszny, wróciwszy na kwatere w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał co miał i jednego dnia smutnej jesieni, zajechał na gospodę do Stolpen, oświadczając gospodarzowi, iż tu na ustroniu myśli zamieszkać.

Trafiał się dworek do nabycia tanio, i kapitan kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarowali.

XIII

W r. 1727, we trzy lata po nieszczęśliwój z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tém co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegetowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tém ani się starając o to. Do jój smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jój znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

W pośród tych ruin jeden tylko król August Mocny, stał zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jój nie mogąc...

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, napróżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniejszém sądziła pójść za mąż. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselój zawsze na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwałe, nad więzy coby dłużej krępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofia Dieckau córka tajnego radcy Dieckau z Czeplina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król prędko za mąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potém zakochał się August w Henryecie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wygnała ją do klasztoru, zkąd później Stanisławski żoną ją wywiózł do Polski...

Po tych wszystkich przemijających zapalach, nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem szytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania... Król przy niój odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojej; starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstenberg, który swym zakładem z Hoymem, sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a później stał się jój najzjadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna, z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego ministrowie piérwsi przeczuwając co go czekało, wyparli ze swój rady, odejmując mu wszelkie czyny, udział w państwa sprawach: król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu jak z alchemią, bigoteryą i myślistwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiej.

Ten co namiestnikiem będąc, wszystkich z góry wiódł i przez panią Reuss calemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony marzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, było to przeżycie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którém Hilchen, Reuss, pani Reichenbach jój siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały... znikł zupełnie. Rozpierzchno się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzód oddalony od króla przebył w Szwecyi; za niego i za siebie czynną niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jój strąceniem. O ile sam Vitzthum był nieznaczącym, o tyle ona, pani Rachela jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawiała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jój ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiécój intrygi przeciw pani Przebendowskiej, którą Sasi dla ułatwienia sobie zwali panią Brebentau... W czasie poselstwa męża w Szwecyi Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko co miała zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtém będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nie przyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, powaśnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt

kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przymawiać: od słowa do słowa przyszło do łajañ i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszość, zgromił włocha i skazał go za obejście się grubiańskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles odsiedziawszy trzy miesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i dostawszy się do Nadarzyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł go on nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział i nazajutrz d. 13 kwietnia 1726 r. przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (ks. Lubomirskiej) był na kolacyi, bawił się jaknajweseliej i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potem jechał potajemnie do Nadarzyna, wzięwszy z sobą jednego tylko sekundanta, hr. Montmorency.

Z rana między piątą a szóstą stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkim męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strzelił i ugodził Vitzthuma tak śmiertelnie, iż trupem z konia się zwałił. W téjże samej chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. S. Gilles nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze Teatynów. Król rozżalony nakazał nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gilles'a odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtora żołnierza, w téj samej chwili St. Gilles za laika przebrany umknął na Berlin i Lipsk do Włoch...

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do familijnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta. Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników...

Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genialnemu synowi Maurycemu saskiemu, marzył Flemming o księstwie kurlandskiem dla siebie, a o żenieniu pięćdziesiąt ośmioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną), a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się był na to małżeństwo, przyszłoby było do skutku.

Niecny Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na słowie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu” przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarzcząc z Flemmingiem, nie rzucał kłamki dworskiej, choć król na niego patrzeć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam zawsze panował szal zabaw i potrzeba nienasycona rozrywek. Przybycie Orzelskiej pobudziło do nowych wystąpień tak jak przed kilką laty ożenienie syna, odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem...

W pośród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazya sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych łaknął popisów.

W tym roku, król wiosny pięknej w Pillnitz zażywał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbarth towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak — rzekł Wackerbarth — znam miejsce i kamienie, którychby one nie wzięły: za to ręczę.

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbarth spojrzal na króla, zdawał się zafrasowany tém że mu się to słowo wyrwało i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nic nie mogą.

— W Stolpen! — zawoła August i twarz mu się okryła chmurą — a, w Stolpen!

Była milczenia chwila, król się przechadzał niespokojnie, znać było iż go jakaś fantazyja dręczyła, której zadość uczynić nie chciał czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Można by kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbarth spojrzawszy trwożliwie na króla, który jakby ubodnięty tém wejrzeniem, zawołał: — Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów...

Wackerbarth zmilczał, jakby czekając rozkazów i niedowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przepisywać, okazać.

— Poślij waćpan do Stolpen — odezwał się — dwa działa, każ mi przygotować baterie naprzeciw tych słupów, będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, z rana — dodał — póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne. Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze mimo wszelkich przeszkód możliwych, we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen... Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch nie zwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnie mi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę nie mogąc pojąć co się stało i sądząc że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonii granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swém *Herr Jeses!* powtarzaniem nieustannie zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać — co się stało? i z kąd pośpiech był tak wielki.

— Król! N. Pan! — krzyknął oficer pędząc ludzi — król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest i jeśli macie ludzi ślijcie ich z łopatomi, trzeba naprędce usypać baterie do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie? — krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na górę zamkową! — śmiejąc się powtórzył oficer — czyż mnie nie rozumiecie.

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tylu, jakby na urągowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabinéj! włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwycić odzież, ubierać się bez przytomnie, machinalnie. Chciał biedz, oznajmić jéj o tém, przygotować ją, nakłonić do przeżycia téj próby na którą miała być wystawioną.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosel ścisnął mu serce, łzy dobywały się z oczów.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — a! to nie może być! W ostatniej chwili zawstydzi się, zaboje, nie przyjedzie. To nie może być.

Co się z nią stanie?

Szarżało na dworze gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone, wiadomość że król przybywa jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miasta, z wiosek sąsiednich żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania bateryi naprędce. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła. Konni krzyżowali się na drogach, wszyscy potracili głowy.

Jedną baterię już sypać zaczynało w zwierzyńcu przy tak zwanéj Röhrpforte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns Gärtehen)...

Gdy Zaklika do bram przypadł na rozcież otwartych, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zmiatano, znoszono gruz, komendant chrypl od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynać. Około wieży św. Jana cała służba żeńska i męzka hrabinéj Cosel, stała w najdziwniejszych ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała sądząc że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc co się stało

i co przygotowywać mogło. W otwartym oknie blada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po wschodach pół żywy załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, cała drżąca.

— Król! — zawołała — król! a! rozumiem!

— Król do mnie przybywa...

— Pani — przerwał Zaklika — król przybywa kul swoich dział na słupach u góry próbować.

Cosel się rozśmiała.

— Prosty! naiwny człowieku! — zawołała — i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błędził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szukał pozoru... Chce mnie widzieć. On wie że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić jak dał słowo. Niech mnie ubiorą jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chcę być piękną! Chcę mu przypomnieć tę Annę, przed którą klękał...

— Król! — powtórzyła z zachwytem — mój król! mój pan!

I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stał niemy.

— Wołaj sługi moje — dodała — niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jej na białą szyję spadały, ujawszy w dłonie, biegła po ciasnej izdebce.

— Wołaj mi sługi coprędzej! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową. Mój król! mój pan... August!

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam siadł na wschodach i niemy, zboląły, pół martwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało! Liczono minuty, liczono sekundy, nielitościwie bicze smagały dla pośpiechu pracujących, baterye rosły w oczach, ale i dzień rosła straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropioną, dyszały wonią łąki rozkwitłe; cała natura, jak dziecię w kolebce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku jak w poruszonej osiem gnieździe syczało, ruszało się, roilo.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawalki, starszyzna dobywała najświeższych rynsztunków, komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, przeciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież N. Pana przyjąć czémś należało. Co tu znaleźć coby ust pańskich było godnym? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się faszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu, miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego. Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, godzien ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczili obrusa, gospoda dostarczyła wiele, bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych bateriach. Było już po czwartej, czas upływał z szybkością przerażającą... lada chwilę można się było spodziewać N. Pana, który zapowiedział, że z Pillnitz dodnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów” wyrostka, aby mu dał znać gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześniej celowali półkartauny tak, aby kule na pewno w słupy bazaltowe biły. Zabawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazyi musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś bajecznym obłężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczuple swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W tej samej chwili burmistrz, ławnicy, mieszcianie z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od szpichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościniec; na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku ażeby powitać Pana biciem we wszystkie swe dzwony. W miasteczku co żyło świętecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu widny z daleka, zbliżał się żywo; nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym kłusem dorodnego, pięknego, wspaniałej postaci mężczyznę. Za nim

gonili adjutanci, szczupły dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu drugi orszak, jakby doganiając pierwszy pośpieszał.

Milczenie głucho zaległo szeregi... oczekiwano. Coraz widoczniej rozeznąć było można niebieski żustokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schylonym do samej ziemi; biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bęben i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomięszany, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia ku baterii przy Röhr-Pforte w zwierzyńcu i popatrzał chwilę nie mówiąc nic; potem ruszył pod twierdzę na Hannewalde. Przed tą baterią najpotężniejsza masa czarnych słupów, jakby związanych w pęk ogromny wznosiła się. Widać ztąd było wieże, mury i okna Śto-Jańskiej wieży, w których postać biała migiała. Ale król nieśmiało podnieść oczów. Po krótkiej chwili zawrócił do zwierzyńca.

W tej chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Drezna i towarzyszył królowi roztertagnionemu, zasepionemu widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było; dał znak: przystąpili artylerzyści do dział i ogromny huk dał się słyszeć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyliło krzyk dziwny, jakby rozpacz i boleści. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszeć, ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwróconą była na półkartaunę i bastyon, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał skierowany na mur bazaltowy, wprawdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryznięła się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją N. Panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy rosnące z ziemi u stóp bastyonu; kula została strzaskana i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, znać dawniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyższej sterczące; skutek był ten sam: kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tym miejscu gdzie go trafiły... słupy wytrzymały. Za każdym strzałem, pękające kule i kamienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia przy Röhr-Pforte trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim też strzałem, kawał rozbitej kuli około sześciu funtów wagi, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na słodownię, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie N. Panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterii na Hannewalde, król miał tej próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomna; najprzód serce jej chwyciła nadzieja, że August stęskniony dla niej tu przybywał. Ubrała z gorączkowym pośpiechem, z największym staraniem, patrzyła długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczej — szeptała — jestem pewna, przybywa dla mnie. Mógłby strzelać do tych murów w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki. A! nie! to koniec mojej niewoli, to mojego tryumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać było pillnitzką drogę i na niej Nider-Thor. Postrzegła tumany pyłu, serce jej biło, płakała. Wtém dały się słyszeć dzwony, bębny, król wjeżdżał... cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jej się że go usłyszy na wschodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potem milczenie złowrogie... i strzał się rozległ... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się jak wściekła, rozjuszona, z rozrzuconymi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce dygoczące ze wzruszenia odmawiały jej prawie usługi; odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chusty, dobyte pistolet, który ją nigdy nie opuszczał i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak obłąkana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z tej strony słyhać było trzaskające strzały i skały gruchotane, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprostowała się, oczy jej pały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekala.

Za każdym strzałem chwytała się za głowę i serce, jakby niewierząc uszom, nieufając oczom. Śmiech dziki błąkał się po ustach, a łzy napelniały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąc pistolet.

Już prawie znużona tęp oczekiwaniem paść miała, gdy na drodze pod oknem tentent konia dał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół... patrzała.

To był on! on! August! Jechał sam pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła: podniósł głowę, stanął i rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał rwąc konia, który mu się wyrwał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Cosel się uśmiechnęła.

— Litości od ciebie się spodziewać! okrutniku nikczemny, ty co słowa łamiesz i karzesz za nie tych co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czym serce ludzkie dla ciebie? Cosel niewolnica gardzi tobą, brzydzi się, przeklina. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię.

Giń nikczemny!

W tej chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech: Cosel padła. Król jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw że potem nieprzyjawszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał⁴.

XIV

Gdy Zaklika przerażony strzałem i hałasem wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dymił pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże nikomu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się ztąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nie rychło poruszona tym wypadkiem hrabina, wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jój był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw też że wśród tej długiej, jednostajnej niewoli, w umyśle jój chwilami czuć było jakby obłąd jakiś, jakby zwichnięcie i szaleństwo.

Napozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i potem r. 1727 nie rzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potem, mając przez Zaklikę znaczną sumę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała nie radząc się go, nie mówiąc mu nic, wyrwać, przepokupując otaczających. Jednego dnia późnej jesieni, spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrzeczoną pomoc do wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sownie, niezręcznie posiłkowali jój do tej ucieczki. Już była na drugiej stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł, i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwycono ją odprowadzając nazad do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniało jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę później we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku nieobudzając szczęściem podejrzania, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posądzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą niewolnicę, wiadomości o obchodzonym świetnie, świetniej może niż kiedykolwiek karnawale w Dreźnie z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

⁴...nazad do Pillnitz odjechał — Bei dieser Gelegenheit, habe Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66). [przypis autorski]

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał ztąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencja jest tak wielka, iż sędzę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem.”

Magnificencyce te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i ztąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającej się u feldmarszałka, przyszli powitać przybywającego. Następne dni sływały na nużących zabawach, komedjach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dziryków i t. p. Nie przeszkodziło zabawom że wybuchł pożar w Zekauzie, zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sądono się na karuzele, w których król występował po polsku w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myślistwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka W., który był nią mocno zajęty, a król zazdrośny wyplącał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc Fryderyk, mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfalszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czci ani wiary: oszukaństwo jest dlań jedynym prawem... własny interes a różnienie drugich ciąglęm staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła.”

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczuliej się ściskano, a trzpiotano. Jednego dnia król August z księżną Teschen, grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopci francuzcy (żona księcia następcy), włoscy komedyanci (Orzelska), górnicy (Rutowski i p. Manteufel z domu Błudowska), w ostatku chłopci norwegscy (Feldm. Flemming i żona jego z domu x. Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za *pantalona*, a Fryderyk W. za *norweskiego chłopca*!!

Król szczególnie odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiedzy niemi jaśniał nabyty przed piętnastą dniami blisko dwóchset karatowy brylant najczystszej wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorfa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytemi tu przyjemnościami.

Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, że w tém żadnej przyjemności nie czuł, i powracam tak czysty, jak przybyłem.”

Zabawom tym nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühleberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały, który poeci opiewali, ale też i wyśmiewano się z niego pocichu.

Miejsce na obóz samo, oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i w pień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jazdy polskiej i saskiej stało obozem; wszystko nanowo wyekwipowane i na francuzki sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy *grands mousquetaires* konni, grenadyerowie konni, gwardya konna, spahi i kozacy, a z piechoty janczarowie i batalion lejbgwardyi grenadyerów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi, zachwycił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeithen, w drewnianym, naprędcie wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterenami, okrytym zewnątrz płótnem malowanym. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na chorągwi powiewało godło: *Otia Martis*. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych, a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francji przybył nawet Marechal de Saxe.

Więcej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańczono i spalono ogni sztucznych, niż pisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych, podano sławny ów olbrzymi pasz-

tet, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szefli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły, płodny w nie August sam wynajdował i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztychował później ku podziwowi potomnych, historią Mühlbergskich cudów; opiewał je König, poeta nadworny, a Fryderyk W. z nich szydził nielitościwie.

O wszystkich tém donoszono i rozwożono wiadomości po kraju, lud i słudzy je chciwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokradzko, bez czucia powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swój niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dnie szau i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklice: „na ciebie kolój.” On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko — sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen, miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszłej zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Jednego dnia, gdy żydzi razem z innym towarem przynieśli jój hamburgską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innymi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślanego, Cosel oburzyła się, oczy jój, jak zwykle, gdy bywała poruszoną, zaiskrzyły się, odczytała dziwnym stylem napuszonym, opowiadanie... zmięła je i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamyślona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie? — zapytała pocichu.

— A! zawsze — poprostu odparł Zaklika.

— Masz jaki sposób ratowania mnie?

— Będę go szukał.

— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi byłeś — rzekła — ale nie żałuję siebie: gotowam zginąć sama. Muszę się ztąd wyrwać... muszę.

Rajmund stał zamyślony.

— Potrzebujesz wiele czasu?

— Nie mogę się obrachować — odezwał się Zaklika... trzeba raz tak począć, aby dokonać co się zamierzyło.

Skinęła Cosel, Zaklika wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyńiec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawna, wszystkie one najlepszymi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o ucieczkę dowiedziało; należało tę obwarować, aby nie została odkrytą, aż gdy Cosel dostanie się za granicę: potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonie.

Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.

Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdała mu się ta najlepszą, gdy jak najmniej spodziewać się jój mogli na zamku.

Powiedział więc sobie: we dnie.

W bramach zamku ścisłej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabinéj, do komendanta i mężczyźni nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straży jój nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić na zwierzyńiec do koni wierzchowych, któreto dosiąć mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się naówczas ze zwierzyńcem królewskim. Konie miał w pogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał... nic lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabinéj, poddając jój myśl swoją.

Chwyciła się jęj gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą. — Pierwszy dzień dżdżysty, nie ma czego zwlekać — zawołała — trzeba probować. Jestem zdecydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wziąć im gołą ręką... trzeba się więc uzbroić.

— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codzień, czyniono przygotowania; przewidując że tu już nie powróci, sprzedał zabezpiecen swój dworek i spieniężył co tylko było można.

Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się że na dni kilka stała się ślota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było w pogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona, Cosel posunęła się ku pierwszej bramie św. Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił nic nie mówiąc.

W kilka minut potem prawie podobnie okryty Zaklika spiesźnie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo. W drugiej żołnierz zaczął mruczeć.

— A wiele was tu jest? tylko co jeden, już drugi?

Zaklika odsłonił mu twarz.

— Dyabeł cię zna — odezwał się żołnierz — tylko wiem że jeden wszedł a dwóch wychodzi.

— Jakich dwóch?

— Juściżem nie ślepy.

Zaklika nie zważając posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.

— Ależ mnie tu wszyscy znają — rzekł śmiejąc się — czegoż chcecie?

— Idź się tłumacz do komendanta, a nie, to cię nie puszcze.

Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Podskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczone go.

W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierz mruczał.

— Cóżś do niego upatrzył? — zapytał wachmistrz.

— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi a ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł a dwóch ich wyszło? I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był.

A nuż Cosel? — dodał śmiejąc się.

— A no! pleciesz! — rzekł niespokojnie wachmistrz. Staął, pomyślał i poszedł ku wieży św. Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzecim też nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznym było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie uległo już wątpliwości iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzieliwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogoń zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanym jęj miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbłądziła... Zaklika dobiegł do nich, gdy jęj jeszcze nie było. W rozpaczę puścił się szukać nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słycać było.

Straciwszy czasu nie mało spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu; pochwylił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel odzyskawszy przytomność umysłu rzuciła się na siodło, Zaklika chwycił konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbronne dać wziąć Zaklika i wołając na nią aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i pocziwy Zaklika rażony kulą w samo czoło, jęcząc powalił się na ziemię... W téjże chwili żołnierz chwycił konia hrabinęj, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci i poddać się było koniecznością...

Komendant nadbiegł gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionęj, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino — zawołał — licz pani ile życia ludzkiego jój wycieczki daremne kosztują!

Na to nie odpowiedziała nic hrabina.

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Błademi usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi, gdzie był złożony powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nie prędko wyszła. Siedziała po całych dniach zanurzona w Biblii i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniej na los jój patrzyli. Zaklice kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi — rzekła — nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel w chwili gdy się to działo miała już lat 49. Piękność jój, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom; była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od téj pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała Biblią, studyowała kabałę; kazała sobie księgi hebrejskie tłumaczyć: zabijała czas nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził naśladowując pilnie pierwowzór swój Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepych ustąpiły nieco fantazyi budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku: Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski, musieli wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński wprzód holenderskim zwany, zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta; stał już piękny zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem zwinger, mają bajeczną historię swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycyę wysłał do Afryki, jako balast wrzucono w okręt 400 ściętych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić, większa ich część ożyła.

W okolicy Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Piltz i t. p.

W r. 1731 przedstawiono z wielkiem powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w której występowała po siedmkroć piękna Faustyna słynna śpiewaczka, a po siódmém przedstawieniu mąż jój uznał właściwem udać się do Włoch dla dalszego muzycznego wykształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw o któreby się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierzyły; wszakże sejm saski dla saméj reprezentacyi zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu, a Lubomirski, Sepieha, Czartoryski i podkanclerzy lipski byli świadkami jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu i zamieszkał w Willanowie. Tu obchodzono św. Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obchodzony był w Dreźnie. Król znowu ruszył do Polski, zkąd dwanaście par żubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły. N. Pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z p. majorem d'Argelles, który paskwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreźnie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryzkiego i wiele innych budowli. Willanów téż dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomogło to jednak wcale na chroniczną chorobę i sejm został zerwany. Szlachta wcale się na królu nie znała, a król téż cierpieć jój nie mógł. Pocieszając się jechał August z Friesenem i Brühlem oglądać gmachy, które dwa tysiące robotników wznosiło: pyramid-gmach, japoński pałac, koszary, kościół, twierdzę. Król się starzał, choć chciał zawsze młodego udawać. Jeszcze w r. 1697 gdy padł był popisując się przed księżną Lu-

bomirską, stłukł sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się szanować, o czym wcale nie myślał. W roku 1727 musiano zgangrenowany palec u nogi obcinać, a Weiss chirurg który się podjął operacji głowę ważył, gdyby się nie udała. Powiodła się jednak szczęśliwie, pomimo to z trudnością mógł się już na nogach utrzymać i rozmawiając z damami, na taborecie przysiadł.

W ostatnim roku w Lipsku jeszcze obchodził ulubiony swój jarmark noworoczny, oglądał przyprowadzone konie, potem karnawał uroczyście w Dreźnie otworzył, a że sejm się zbliżał, ruszył do Warszawy na d. 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wysiadaniu, spowodowały gangrenę i we trzy dni król nie żył. Dziwna rzecz, że w takim życiu do lat sześćdziesięciu trzech mógł wytrzymać.

Przywodziliśmy wyżej wiele zdań o Augustcie mniej więcej zgodnych w oceniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie hr. Schulenburg wezwany przez Voltaire'a, napisał o Augustcie II:

„Pewną jest rzeczą, że król August polski był jednym z monarchów najwykształconszych, jakich sobie wyobrazić można (*vollendesten*); posiadał sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar rozróżniania największy, nadzwyczajną zręczność i energię, był bardzo pracowity i tak pilny (?) jak prywatny człek, który się chce czegoś dobić; kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć do jakiego stopnia umiał udawać i dyssymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacje znał dobrze, napaści i obrony twierdz, wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcje, ostatek znał artyleryjską naukę jak ci, co się ję z powołania oddają.”

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie między wyznaniem protestanckim a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać; na lat kilka oddalony był z Saksonii i w tej podróży przez Jezuitę Salerno, ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiero w 1717 r. ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austriacką Maryą Józefą. Po siedmioletniej niebytności młody kurfirst powrócił do Dreznia z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczej że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z Warszawy do Saksonii i obwieszczano ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stała długo niema i osłupiona, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się płacząc na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy, nie mogły jej niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jej ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni z Dreznia przybył niejaki Hennicke, który później tak świetną zrobił karierę, kazał się zameldować do hrabiny Cosel, w poselstwie od kurfirsta. Siedziała jak zwykle nad książkami swojemi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do Waszej Ekscellencyi — odezwał się — od Najmiłościwszego Pana, aby jej dobrą nowinę zwiastować żeś pani wolną i możesz gdzie się jej podoba zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

— Ja? wolną? — zapytała. A na cóż mi dziś wolność...? Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzieś pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna? Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hr. Cosel, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

— A! nie! — nie! — powtórzyła — nie, wolności nie chcę, nie mam gdzie się podziać; proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie łzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzieindziej; zostawcie mi ten kątek, proszę; nie pożyję długo.

Hennicke odpowiedział tylko że N. Panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyśleć, że dozwolono jej tu pozostać. Hrabina w r. 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach, nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży s. Jana i przytykającym do niej ogródku. Głównym jej zajęciem i ulubionym czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabała. Otaczała się też ciągle żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensja jej wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepoczciwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jej i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małej ilości. Po śmierci Cosel, kilkadziesiąt sztuk tych monet, znaleziono w jej fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowej. Miejscowych urzędników, duchownego i innych, zwała: „ty”. Osobom które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę.” Po siedemnastu latach niewoli za życia Augusta II, przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanie szląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godne uwagi, że pierwszy strzał który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonii, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery, wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzęć.

Fryderyk W. w czasie wojny, wypłacał regularnie hrabinie Cosel jej pensję, ale w tej lichy monecie, którą zwano efrimitami. Z gniewu hrabina ćwieczkami do ścian poprzybijala wszystkie te talary.

XV

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austriaków, książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszym widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzód była ona protestantką, jak hrabina Königsmark i Marechal de Saxe. Oświadczyła też księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła była wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina biblię, która, jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami, grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nieprzyozdabiało. „Szukała tego skarbu — pisze książę de Ligne, tak uroczyście, z taką troskliwością, że sądził, iż chyba mnie najdroższymi dyamentami obdarzy.”

Książę de Ligne widział ją 82 lat mającą. Wkrótce potem otrzymał od niej list ledwie dający się wyczytać, a trudniej jeszcze zrozumieć i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu orientaliście superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłumaczyć *Pirke aboth*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłumaczenia innych traktatów, płacąc mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz zaciekawiony, chciał wiedzieć dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego adresowane do Drezna, posłaniec ze Schmidefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nieżyczono. W końcu ów nieznaną korrespondent zaprosił p. Bodenschatza do Drezna, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go w istocie w Dreźnie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobiecą twarz poznał zaraz Bodenschatz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała o różne objaśnienia talmudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hr. Cosel, Bodenschatza miała się starać przez ojca swój synowej, hrabiego Holzen-dorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny książę Bairentz zażądał.

Bodenschatz zraził się też tém, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek w roku ósmdziesiątym piątym życia, d. 2 kwietnia 1765 r. zmarła na zamku w Stolpen... a współcześnie zostawili świadectwo, iż zwłoki jój zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności, którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą... pogrzeb także. Dnia 5 kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel urodzonego w r. 1712, generała jazdy, szefa gwardyi i pana na Zaborze nad Odrą w Szlązku... (pod Zieloną górą).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w r. 1770, zostawując jednego syna, który zszedł bezpotomnie. Córka jedna, starsza Augusta Konstancya, wydana za hr. Friesen'a, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza Fryderyka ur. w 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystyana Moszyńskiego. Mąż jój zmarł w r. 1737, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla, ona panowała nad Saksonią. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

Takie były losy tej kobiety, którą najsurowiej sądząc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowiała, niepodobna jój odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swój dostojności wyrzekła, Cosel wołała niewolę, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało jój się honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek, nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niej powiedzieć.

Miłość jój dla Augusta, który nigdy żadnej kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu, jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłudach biednej kobiety, czuć umysł czynny, niemogący wyżyć i bez zajęcia, i sięgający najwznioślejszych zagadnień, któreby niezrozumiale jój życie wytłumaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końcu potrzebowali zapewniać czytelników naszych, iż cała ta historia hrabinę Cosel we wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach, jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nic, do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonii i z profilu. Król August nie ma w niej pięknej roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów pełnych charakteru, któreby dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziały na kraj nasz w najzłubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie, widzimy tu rodziny niegdyś najzaczniejsze, ubiegające się o piętno sromotne łask królewskich, Bielińskich, Denhoffów, Pocijów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie z Augustem, przychodzą do Polski, ale z saską dynastją nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych, ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczeni się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancja jego, na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne, fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy; niewidziane dawniej w rodzinach polskich zgorzenia, przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwije się w posadach. Smutny to widok tém bardziej, że tak napozór wesołą i świetną ma fizyognomią.

Niemniejszymi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego nieudolność i opieszalność zdumiewającą. Naśladowca Ludwika XIV, zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom

o koronę polską, wojnom dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnotrawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzód jeszcze nim Brühl począł wysysać Saxonią, Hoymy, Beichlingi, Fürstenbergi, wyciągnęli z niej dawną jej zasobność. Ani Sasi nam, ani my im, nic do zazdrośczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazyi Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychłej obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ją Niemiec odrodzić mogła — nam na to dłuższego dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi wspinając się wieżami swemi do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieżę ś. Jana, pokoje hr. Cosel, jej ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizyognomią nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nichto strzelał August II niepomny, że tam wśród nich zamknięta siedziała kobieta, której zatrzał życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry, próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hrabina-cosel>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Hrabina Kosel*: powieść historyczna, tom I-II, Gebethner i Wolff, Warszawa 1874.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0433-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).